

STEVEN BURST

Jhereg

Pierwszy tom serii Vlad Taltos

ILLUMINATION

* * *

Akcja cyklu dzieje się w Adrilance, stolicy planety Dragaera, zamieszkaną przez elfy i ludzi, którzy stanowią tu mniejszość rasową. Głównym bohaterem jest baronet Vlad Taltos — należący do dragaeriańskiej mafii uczciwy zawodowy zabójca i czarnoksiężnik.

Vlad, który wszedł właśnie w posiadanie jherega Loisha — inteligentnego, latającego gada, potrafiącego telepatycznie porozumiewać się z właścicielem — dokłada wszelkich starań, by zrealizować trudny kontrakt i nie dopuścić do kolejnej wojny między dwoma domami mafijnymi.

* * *

*Niech wiatr nocny gna po lesie,
Myśliwego na łów niesie.*

*Tchnienie mroku niech zaplata
Ścieżki losu oraz świata.*

*Jheregu! Cichcem mnie nie mijaj,
Wskaż kryjówkę swoich jaj.*

Wstęp

Istnieje duże podobieństwo między wrażeniem wywołanym przez przytknięcie do karku ostrze noża i chłodny powiew wiatru (używając nieco górnolotnego porównania). Wiem, bo doświadczyłem obu, i jeśli się postaram, udaje mi się dokładnie przypomnieć, co wówczas czułem. Chłodny powiew był zawsze znacznie przyjemniejszy. Co do noża. . .

Miałem wtedy jedenaście lat i sprzątałem w restauracji ojca. Wieczór był spokojny i cichy — jedynie dwa stoły były zajęte, a ja szedłem do trzeciego opuszczonego właśnie przez grupę gości. W rogu siedziała para Dragaerian — z jakichś powodów ludzie rzadko do nas przychodzili. Może dlatego, że my także byliśmy ludźmi i to im się nie podobało, a może dlatego, że to ojciec jak mógł unikał kontaktów i interesów z własną rasą.

Przy stole pod ścianą siedziało trzech mężczyzn, także Dragaerian. Zacząłem sprzątać ze stołu, na którym nie zostawiono napiwku, kiedy usłyszałem za plecami westchnienie. Odwróciłem się w momencie, gdy twarz jednego z tej trójki zetknęła się z talerzem, na którym leżało pieczone w sosie pieprzowym. Ponieważ ojciec pozwalał mi już wówczas przyrządzać sosy, moją pierwszą, kretyńską zresztą myślą było to, czy mu sos nie zaszkodził.

Dwaj pozostali podnieśli się, jakby nic się nie stało, i ruszyli ku drzwiom. Zrozumiałem, że nie mają zamiaru zapłacić, i poszukałem wzrokiem ojca, ale był na zapleczu. Ponownie spojrzałem na nieruchomą postać za stołem, zastanawiając się, czy próbować mu pomóc, czy zatrzymać darmozjadów, nim wyjdą.

I wtedy zobaczyłem krew.

Z szyi leżącego twarzą w talerzu wystawała rękojeść sztyletu. Dopiero ten widok uzmysłowił mi, co się naprawdę stało. Zdecydowałem, że nie będę wspominał o zapłacie żadnemu z wychodzących. A oni wcale się nie spieszyli — szli normalnym krokiem ku drzwiom, tyle że poruszali się naprawdę cicho. Minęli mnie, a ja się nie poruszyłem. Chyba nawet nie oddychałem, a na pewno zdałem sobie sprawę, jak głośno wali mi serce.

Ktoś zatrzymał się za moimi plecami. A ja pozostałem sparaliżowany, modląc się w duchu do Verry, Bogini Demonów.

W tym momencie coś zimnego i twardego dotknęło delikatnie mojego karku.

Nawet nie drgnąłem, tak mnie sparaliżował strach. Gdybym mógł, zamknąłbym oczy, ale nie mogłem, więc gapiłem się prosto przed siebie. Nie zdawałem sobie wtedy z tego sprawy, ale Dragaerianka siedząca przy stoliku w rogu zaczęła wstawać, patrząc na mnie. Zauważyłem ją dopiero, gdy jej towarzysz próbował ją powstrzymać, ale odtrąciła jego rękę.

Usłyszałem cichy, niemal jedwabisty głos mówiący mi prosto do ucha:

— Nic nie widziałeś. Rozumiesz?

Gdybym miał choć część tego doświadczenia, które posiadam obecnie, wiedziałbym, że tak naprawdę nic mi nie groziło od chwili, gdy usłyszałem jego głos — jeśli chciałby mnie zabić, byłbym martwy w momencie, w którym poczułem ostrze noża. Nie posiadałem jednak tego doświadczenia, więc zacząłem się trząść. Chciałem kiwnąć głową na znak, że rozumiem, ale nie mogłem. Dziewczyna tymczasem prawie do nas doszła i stojący za mną musiał ją zauważyć, bo ostrze nagle zniknęło i usłyszałem za plecami szybkie, oddalające się kroki.

Trzęsło mną tak, że nie byłem w stanie tego opanować.

Dziewczyna położyła mi delikatnie dłoń na ramieniu. Na jej twarzy zobaczyłem wyraz sympatii — nigdy żaden Dragaerianin tak na mnie nie patrzył — i na swój sposób było to przeżycie równie wstrząsające co poprzednie. Miałem ochotę paść w jej ramiona, ale nie poddałem się. Zdałem sobie natomiast sprawę, że mówi do mnie cicho i łagodnie:

— Już wszystko w porządku. Poszli sobie. Nic się nie stanie, możesz się uspokoić. Nic ci nie będzie. . .

W tym momencie do sali wpadł mój ojciec.

— Vlad! Co się tu dzieje? Dlaczego. . . — zobaczył trupa i urwał.

A potem zwymiotował.

Zrobiło mi się wstyd za niego i poczułem, jak dziewczyna zaciska dłoń na moim ramieniu; dopiero wtedy przyjrzałem się jej dokładniej. Nigdy nie byłem dobry w ocenie wieku kobiet, ale biorąc pod uwagę, że była Dragaerianka, mogła mieć z powodzeniem zarówno sto, jak i tysiąc lat. W każdym razie na pewno nie była dziewczęciem. Ubrana była w czerń i szarość — barwy Domu Jherega, podobnie jak jej towarzysz, który właśnie zbliżał się do nas. Zabity i jego już nieobecni kompani również należeli do tego domu. Nie było w tym nic dziwnego, gdyż większość naszych gości należała do Domu Jherega lub Teckli. Każdy z domów wziął nazwę od jednego z gatunków zwierząt.

Jej towarzysz stanął obok niej, gdy spytała:

— Masz na imię Vlad?

Przytaknąłem ruchem głowy.

— Jestem Kiera.

Ponownie kiwnąłem głową.

Uśmiechnęła się szerzej i odwróciła do swego towarzysza. Zapłacili i wyszli, a ja zabrałem się do sprzątnięcia po morderstwie i ojcu. Wiedziałem jednak, iż Kiera

nie zapomnę.

Kiedy zjawili się gwardziści, byłem na zapleczu, a ojciec powiedział im, że nikt nic nie widział, bo obaj byliśmy tam w trakcie zabójstwa. Nigdy jednakże nie zapomniałem, co się czuje, mając na karku ostrze noża.

* * *

Miałem szesnaście lat, gdy samodzielnie zapuściłem się w dżunglę porastającą tereny na zachód od Adrilankhi. Miasto pozostało jakieś sto mil za mną, była noc, a ja rozkoszowałem się samotnością mimo świadomości niebezpieczeństwa. Mogłem natknąć się na dzikiego dzura czy lyorna, a nawet na smoka.

Nie próbowałem poruszać się cicho, pod nogami trzaskały mi gałązki i plaskało błoto, gdyż miałem nadzieję, że odgłosy przestraszą potencjalnych czworonożnych myśliwych, którzy chcieliby na mnie zapolować. Logika tego postępowania zyskiwała na absurdalności w miarę, jak ja zyskiwałem na doświadczeniu i teraz to wspomnienie wzbudza we mnie jedynie pusty śmiech.

Niebo nad Imperium jak zwykle było idealnie ciemne, choć dziadek mówił mi, że tam, skąd pochodzimy, nie ma ono pomarańczowoczerwonej barwy, a nocą świecą na nim gwiazdy. Widziałem je jego oczyma, bo umiał otworzyć dla mnie swój umysł i często to robił. Była to jedna z metod, których używał, ucząc mnie czarów. I to właśnie sprowadziło mnie w wieku szesnastu lat do tropikalnego lasu.

Niebo rozjaśniało dżunglę na tyle, bym widział, którądy idę, choć nie na tyle, abym mógł uniknąć wszelkich kolczastych krzewów i innych drobnych przeszkód terenowych, toteż zanim żołądek uspokoił mi się po teleporcie, miałem już podrapane ręce i twarz. Swoją drogą, cóż za ironia losu — używałem dragaeriańskiej magii, aby zwiększyć swe możliwości jako czarnoksiężnik. Poprawiłem plecak i wyszedłem na polanę.

Miała mniej więcej okrągły kształt, średnicę czterdziestu stóp i porośnięta była gęstą trawą, więc spełniała wszystkie konieczne warunki. Obszedłem ją dokładnie i powoli, przyglądając się uważnie otoczeniu i podłożu. Ostatnie, czego potrzebowałem, to żeby jakieś stworzenie trzymało na jej skraju nogę albo wiło pajęczynę.

Polana była jednak pusta, a otaczająca ją roślinność nie wzbudzała podejrzeń. Wróciłem na jej środek, zdjąłem plecak i wyjąłem z niego: mały, czarny kociołek na żar, czarną świecę, pałeczkę kadzidła, martwą tecklę i kilka zasuszonych liści goryntu używanych na Wschodzie do pewnych religijnych obrzędów (stąd też dla wyznawców niektórych religii krzew ten jest święty).

Starłem liście i uzyskanymi w ten sposób drobinami obsypałem cały brzeg polany, obchodząc go wolnym krokiem. Następnie wróciłem na środek, usiadłem

i zająłem się rytuałem odpężania każdego mięśnia po kolei, aż doprowadziłem się prawie do transu. Gdy moje ciało tak się rozluźniło, umysł nie miał innej możliwości jak pójść w jego ślady. Dopiero wtedy umieściłem węgle wysypane wcześniej z kociołka na trawie. Robiłem to powoli i starannie, trzymając każdy z nich przez moment w dłoni i czując jego kształt i strukturę. W przypadku czarów wszystko może stać się rytuałem, toteż należy poczynić staranne i właściwe przygotowania, nim zacznie się właściwe rzucanie czaru.

Z drugiej strony można było po prostu się skoncentrować i użyć wyłącznie własnego umysłu, mając nadzieję, że się uda. Szansę na sukces były niewielkie, ale były. Ja jednak należę do starej szkoły i uważam, że właściwie rzucony czar, po odpowiednim przygotowaniu rzecz jasna, daje znacznie więcej satysfakcji niż magia.

Po węglach przyszła kolej na kadzidło, które pokruszyłem i rozmieściłem między nimi. Potem wziąłem świecę i wpatrzyłem się z natężeniem w knot, chcąc, by się zapaliła. Mogłem, rzecz jasna, użyć krzesiwa czy magii, ale w ten sposób wprawiałem swój umysł w stosowny stan.

Sądzę, że nastrój wywoływany przez noc w dżungli sprzyjał czarom, bo knot zadymił już po kilkunastu sekundach, a wkrótce potem pojawił się i płomień. Na dodatek nie poczułem nawet śladu psychicznego zmęczenia towarzyszącego zwykle rzucaniu czaru. Ten co prawda był niewielki, ale ja także nie byłem jeszcze doświadczonego czarnoksiężnikiem. Nie tak znowu dawno zapalenie świecy powodowało takie zmęczenie, że nie byłem zdolny nawet do telepatycznej rozmowy.

„Uczę się, dziadku.”

Za pomocą świecy rozpałem węgle, koncentrując się, by wywołać dobry ogień. Potem ustawiłem świecę w trawie i znieruchomiłem otoczony słodkawym aromatem. Zamknąłem oczy i czekałem. Pokruszone liście goryntu dawały gwarancję, że na polanę nie dostanie się żadne zabłąkane zwierzę, mogące mnie zdekoncentrować.

Po jakimś, nie wiem jak długim czasie otworzyłem oczy i spojrzałem na żarzące się węgle. Zapach kadzidła wypełniał powietrze, a wokół panowały cisza i spokój. Byłem gotów.

Wpatrzyłem się w węgle i wyrównałem oddech. Zacząłem recytować powoli, by nie zgubić rytmu i nie pomylić się. Wypowiadając każde słowo, posyłałem je w dżunglę tak daleko jak tylko mogłem, tak jak mnie nauczono. Był to stary czar i jak twierdził dziadek, od tysięcy lat skutkował. Na Wschodzie naturalnie.

Dokładnie wymawiałem każdą sylabę i kładłem każdy akcent, obracając dźwięki na języku tak, by mój umysł w pełni zrozumiał wszystko, co mówiłem. Każde słowo nosiło piętno mojej świadomości i zachowywało się niemal jak żywe. W końcu ostatnia sylaba zniknęła w nocnej ciszy i pozostało mi tylko czekać.

Teraz rzeczywiście czułem wyczerpanie, ale ten czar był naprawdę potężny

i cały czas musiałem mieć się na baczności, by nie wpaść w głęboki trans. Po serii głębokich oddechów wstałem i przeniósłem martwą tecklę na skraj polany, tam gdzie mogłem ją widzieć, siedząc na środku. Wróciłem na swoje miejsce i czekałem.

Sądzę, że już po paru minutach usłyszałem łopot skrzydeł. Otworzyłem oczy i na skraju polany, w pobliżu martwej teckli dostrzegłem jherega wpatrującego się we mnie. Przez długą chwilę przyglądaliśmy się sobie, nim jhereg podszedł ostrożnie do mojego daru i skosztował go.

Jeśli była to samica, to przeciętnej wielkości, jeśli samiec — był naprawdę duży — skrzydła miały rozpiętość mojej ręki, a od czubka łba do końca ogona miał tyle, ile ja od ramienia do nadgarstka. Jeśli mój czar zadziałał, powinna to być samica. Jhereg uważnie badał rozdwojonym językiem każdy kęs gryzonia, nim go oderwał, przeżuł starannie i połknął. Jadł powoli, cały czas mnie obserwując.

Kiedy prawie skończył, zacząłem nawiązywać kontakt telepatyczny — teraz miało się okazać, czy mi się powiodło. Szybko usłyszałem pytającą myśl — z początku słabą i bezosobową, ale szybko wyraźniejszą.

„Czego chcesz?” — usłyszałem nagle z zaskakującą wyrazistością.

Teraz nadeszła chwila próby. Jeśli jhereg zjawił się tu na skutek mojego czaru, był samicą, która niedawno złożyła jaja, i to, co zamierzałem zasugerować, nie wywoła jego gniewu, który mógł oznaczać atak.. Jeśli zaś po prostu przelatywał w okolicy i postanowił skorzystać z darmowej kolacji, mogłem mieć kłopoty. Co prawda zabrałem ze sobą zioła, dzięki którym jego jad nie powinien mnie zabić, ale między „nie powinien” a „nie zabije” jest zasadnicza różnica.

„Matko” — pomyślałem tak wyraźnie jak umiałem. — „Chciałbym jedno z twoich jaj.”

Atak nie nastąpił, nie poczułem też zaskoczenia czy wściekłości przybysza wywołanych tą sugestią. Oznaczało to, że czar zadziałał i zaczęły się targi. Poczuję podniecenie, które natychmiast stłumiłem, i skoncentrowałem się na jheregu.

To, co teraz miało nastąpić, było bardziej rytuałem, ale w znacznej mierze zależało od tego, jakie wyrobiła sobie zdanie na mój temat.

„A co mu oferujesz?” — spytała.

„Długie życie, świeże mięso bez walki i swoją przyjaźń.”

Zastanawiała się długą chwilę, nim zadała kolejne pytanie.

„A o co prosisz w zamian?”

„O pomoc, jakiej będzie mógł mi udzielić w moich przedsięwzięciach, o radę i o jego przyjaźń.”

Długo nic się nie działo. Ona stała nad szkieletem gryzonia, ja siedziałem, a oboje przyglądaliśmy się sobie.

„Podejdę do ciebie” — zdecydowała w pewnym momencie.

Co też zrobiła, wbijając długie pazury w trawę. Po obfitym posiłku jheregi są czasami zbyt ociężałe, by bez rozbiegu móc wzbić się w powietrze, dlatego

z konieczności stały się niezłymi biegaczami. A pazury doskonale pomagają im w szybkim przemieszczaniu się po każdym właściwie podłożu.

Samica stanęła przede mną i spojrzała mi w oczy. Dziwnym było dostrzec w gadzich ślepiach tak niewielkiego zwierzęcia inteligencję pozwalającą na rozmowę z nim na prawie takim samym poziomie jak z innym człowiekiem. Mózg musiała mieć nie większy od połowy mego kciuka, a nie przeszkadzało to w niczym. Cała sprawa była nienaturalna, ale to uświadomiłem sobie dopiero później.

Po długiej chwili poleciła:

„Poczekaj.”

Odwróciła się, rozpostarła skrzydła i po paru krokach rozbiegu odleciała.

Znów zostałem sam.

Przelotnie pomyślałem, co też powiedziałby mój ojciec, gdyby jeszcze żył. Na pewno nie pochwaliby tego, co robię. Czary były dla niego zbyt „wschodnie”, zbyt ludzkie, a on przez całe życie za bardzo starał się stać Dragaerianinem.

Zmarł, gdy miałem czternaście lat. Matki nie znałem, ale sądząc po komentarzach ojca, kiedy się wściekał, była „wiedźmą”. Czyli mówiąc normalnym językiem — czarownicą. Krótco przed śmiercią ojciec zebrał wszystko, co zgromadził przez czterdzieści lat prowadzenia restauracji, i kupił tytuł. Dzięki temu obaj zostaliśmy pełnoprawnymi obywatelami Imperium i uzyskaliśmy stały dostęp do Imperialnej Kuli, co pozwalało na użycie magii. Ojciec robił co mógł, by rozwinąć we mnie zdolności magiczne — znalazł adeptkę Lewej Ręki Jherega, by mnie uczyła, i zabronił mi kategorycznie zajmować się czarami. Wynajął też fechtmistrza, który miał nauczyć mnie posługiwania się bronią w dragaeriańskim stylu. Ojciec zabronił mi także, ma się rozumieć, dalszego zgłębiania tajników ludzkiej szermierki.

Na szczęście nadał żył mój dziadek. Gdy pewnego dnia wytłumaczyłem mu, że magia mnie nie interesuje, a jeśli chodzi o walkę na białą broń, to nawet gdy dorosnę, będę za niski i za słaby, by zostać mistrzem w tej sztuce, której mnie uczą, nie powiedział słowa krytyki pod adresem ojca, ale zaczął mnie uczyć tego, co powinna wiedzieć uczciwa czarownica, i tego, jak powinien fechtować myślący o własnej skórze człowiek.

Przed śmiercią ojciec miał tę satysfakcję, że opanowałem magię na tyle, by móc się teleportować. Nie wiedział, że po każdym teleporcie było mi niedobrze, że kiedy robiłem to zbyt często, wymiotowałem. Nie miał też pojęcia, że czarami maskowałem ślady pobić przez okoliczną młodzież dragaeriańską, która ilekroć przyłapała mnie samego, jednoznacznie okazywała, co myśli o człowieku z pretensjami do uprawiania magii. No i nie podejrzewał nawet, że Kiera uczy mnie bezszelestnego poruszania się i przemieszczania w tłumie tak, by nikt na mnie nie zwracał uwagi. Wykorzystywałem te wszystkie umiejętności w praktyce, odkąd tylko nabyłem jakiejś takiej wprawy. Nocą wychodziłem z solidną pałą i jeśli tylko udało mi się spotkać któregoś z prześladowców włączającego się samotnie,

najpierw pozbawiałem go przytomności, a potem zostawiałem na pamiątkę kilka połamanych gnatów.

Być może gdybym był lepszym magiem, zdołałbym uratować ojca... Nie wiem tego i nigdy się nie dowiem.

Po jego śmierci mimo obowiązków związanych z prowadzeniem restauracji miałem więcej czasu tak na naukę czarów, jak i fechtunku, a to dlatego, że przestałem uczyć się magii i tracić czas na szermierkę w stylu, do którego nie nadałem się fizycznie. Stałem się nie najgorszym czarnoksiężnikiem, aż w końcu dziadek stwierdził, że już niczego nie zdoła mnie nauczyć, i powiedział mi, co muszę zrobić, by dalej doskonalić swe umiejętności. I dlatego właśnie siedziałem samotnie na polanie...

Rozmyślania przerwał mi cichy łopot skrzydeł. Samica wróciła — tym razem przyleciała prosto do mnie, wylądowała i wyciągnęła prawą łapę. Ścisnęła w niej niewielkie jajko.

Stłumiłem radość i wyciągnąłem prawą rękę, starając się, by nie drżała. Kiedy oddała mi jajko, zaskoczył mnie fakt, że było ciepłe. Ostrożnie wsunąłem je w zanadrze, w specjalnie wszytą kieszeń, tak by cały czas miało kontakt z moim ciałem.

„Dziękują, matko. Oby twe życie było długie, jedzenie obfite, a dzieci liczne!”

„A ja ci życzę długiego życia i obfitych łowów.”

„Nie jestem myśliwym.”

„Ale będziesz” — odparła, odwróciła się i odleciała.

* * *

W następnym tygodniu omal dwukrotnie nie rozgniotłem jajka, które cały czas nosiłem na piersiach. Pierwszy raz, gdy wdałem się w bitkę z parą osiłeków z Domu Orki, a drugi raz przenosząc skrzynię z przyprawami, gdy robiłem zakupy do restauracji.

Oba incydenty wstrząsnęły mną, toteż postanowiłem lepiej pilnować, by jajku nic się nie stało. Po pierwsze — nauczyłem się dyplomacji, po drugie — sprzedałem restaurację. Pierwsze okazało się znacznie trudniejsze od drugiego, jako że moje naturalne odruchy były zdecydowanie niedyplomatyczne, więc cały czas musiałem się mieć na baczności. W końcu jednak nauczyłem się zachowywać uprzejmie wobec Dragaerian, którzy mnie obrażali, a przede wszystkim odczyłem się nazywać ich elfami, jako że to zawsze prowadziło do mordobicia. Podobnie zresztą jak nazwanie człowieka „wschodniakiem”. Sądzę, że ten trening w znacznej mierze doprowadził mnie później do sukcesów zawodowych.

Restauracji zaś pozbyłem się z prawdziwą ulgą — prowadziłem ją samodzielnie od śmierci ojca i choć zapewniało to środki do życia, jakoś nie sprawiało mi cienia radości. Nigdy też nie mogłem sobie wyobrazić przyszłości w roli restauratora.

To posunięcie równocześnie jednak dość bezceremonialnie sprowadziło na mnie problem, jak też mam zarabiać na życie, tak chwilowo, jak i na dłuższą metę. Dziadek zaproponował mi spółkę w swoim czarnoksięskim interesie, ale wiedziałem, że sam ledwie może z niego wyżyć. Dostałem też propozycję od Kiery, że nauczy mnie fachu, ale ludzie-złodzieje nie dostają tyle co inni od dragaeriańskich paserów. A poza tym dziadek nie pochwalał złodziejstwa.

Sprzedaż restauracji pozwoliła mi przeżyć jakiś czas bez martwienia się o to, co będę jadł jutro. Ile za nią dostałem, jest mniej istotne — byłem młody i mało doświadczony. No i musiałem też zmienić mieszkanie, jako że to nad restauracją stanowiło część nieruchomości i należało się nowemu właścicielowi.

Kupiłem sobie przy tej okazji lekki rapier, a raczej zamówiłem takowy, by mieć broń dopasowaną do mej postury i ułożoną do ręki. Wykonał go płatnerz z Domu Jherega, zdzierając ze mnie bezwstydnie, ale miałem wreszcie broń, którą mogłem skutecznie parować ciosy cięższych dragaeriańskich szpad i równocześnie dość lekką, by ripostować. A każdy człowiek umiejący fechtować był w stanie zaskoczyć i ugodzić dragaeriańskiego szermierza nie przyzwyczajonego do stylu innego niż prosty styl swej rasy.

Mając chwilowo zapewnioną przyszłość, mogłem zająć się swoim jajem.

* * *

Jakieś dwa miesiące po sprzedaniu restauracji grałem sobie spokojnie w karty na niewysokie stawki w lokalu, w którym nie zwracano uwagi na rasę gości. Tej nocy gra toczyła się przy czterech stolikach, a ja byłem jedynym człowiekiem na sali.

Usłyszałem podniesione głosy przy sąsiednim stoliku, lecz nim zdążyłem się odwrócić, coś z tyłu grzmotnęło w moje krzesło. Przez moment wydawało mi się, że rozgniotłem jajko o brzeg stołu, więc zerwałem się na równe nogi. Panika ustąpiła miejsca wściekłości — złapałem krzesło i rozwaliłem je na łbie durnia, który na mnie wpadł. Osunął się na podłogę i znieruchomiał, a drugi, który właśnie miał mu przylać, zatrzymał się i wyglądało na to, że waha się, czy ma mi podziękować, czy przyłoić. Na wszelki wypadek uniosłem to, co mi w ręku zostało z krzesła, czyli nogę, i czekałem, na co się zdecyduje. Wtedy poczułem na ramieniu czyjąś dłoń, a na szyi ostrze noża.

— Nie potrzebujemy tu bójek, rozrabiako — powiedział ktoś prosto w moje prawe ucho.

Już się odwracałem, by go kopnąć, ale zadziałał wielomiesięczny trening — usłyszałem własny spokojny głos:

— Przepraszam, zapewniam, że to się nie powtórzy.

Po czym opuściłem prawicę i pozbyłem się nogi od krzesła. Nie było sensu próbować mu wyjaśnić, co naprawdę się stało, jeśli nie widział, a jeszcze mniej jeśli widział. Kiedy w coś był wmieszany człowiek, zawsze była to jego wina. Nie poruszyłem się.

Ostrze noża zniknęło z mojej szyi, a głos odparł:

— Masz rację. To się nie zdarzy ponownie: wynoś się i nie wracaj!

Kiwnąłem głową, zostawiłem pieniądze na stoliku i wyszedłem, nie oglądając się. Uspokoilem się w drodze do domu. Incydent nie powinien mnie obejść i nie należało walić tamtego krzesłem po łbie — to nie była moja bójka. Pozwoliłem, by strach pokierował moim postępowaniem, i zareagowałem, nie myśląc, co nie powinno się zdarzyć. Dałem sobie słowo, że się nie zdarzy.

Wspinając się po wiodących do mieszkania schodach, wróciłem do starego pytania: co zrobić ze sobą. Zostawiłem na stoliku równowartość prawie złotego imperiała, czyli czynsz za pół tygodnia. Wychodziło zaś na to, że mam talent jedynie do czarów i lania Dragaerian — na jedno i drugie istniało niewielkie zapotrzebowanie.

Wróciłem, wyciągnąłem się na szezlongu i wyjąłem jajko, chcąc do reszty uspokoić nerwy. I skamieniałem — na skorupce było pęknięcie. Musiałem jednak uszkodzić je, gdy pchnięto mnie na stół, choć sądziłem, że do tego nie doszło.

Wtedy to w wieku szesnastu lat poznałem, co to prawdziwy gniew. Przed oczami błysnęła mi biel — zobaczyłem na jej tle twarz tego, który zabił moje jajko. Nie tego, który oberwał, lecz tego, który pchnął go na moje krzesło, bo to on był prawdziwym zabójcą. I postanowiłem zupełnie spokojnie, że go odnajdę i zabiję. Jeśli o mnie chodziło, on już był trupem, tylko jeszcze o tym nie wiedział. Wstałem i ruszyłem ku drzwiom, nadal z jajkiem w dłoni.

I zamarłem ponownie.

Coś było nie w porządku. Miałem uczucie, którego nie potrafiłem zidentyfikować, a które było na tyle silne, że przedarło się przez ścianę gniewu. Spojrzałem na jajko i omal nie usiadłem, zrozumiawszy nagle, co to takiego. Nieświadomie nawiązałem kontakt telepatyczny z istotą w jego wnętrzu.

Pojęcia nie mam jak, ale dzięki temu wiedziałem, że mój jhereg nadal żyje.

Gniew opuścił mnie równie szybko, jak się pojawił. Na drżących nogach wróciłem na środek pokoju i najdelikatniej jak umiałem położyłem jajko na podłodze.

A potem usiadłem obok niego i zacząłem badać telepatyczną więź. Pierwszym uczuciem, które jasno odebrałem, była determinacja. Czysta i tak silna, że aż się zdziwiłem. Nigdy dotąd nie czułem tak silnego, pojedynczego uczucia, któremu

nie towarzyszyłyby choć ślad innych. Odruchowo odsunąłem się trochę, choć nie wiem, po co to zrobiłem, i obserwowałem, co będzie dalej.

Rozległy się dwa wyraźne stuknięcia i pęknięcie powiększyło się. A zaraz potem skorupka odpadła i wśród jej kawałków zobaczyłem malutkiego, niezbyt ładnego gada. Był ciasno otulony skrzydełkami nie większymi niż mój kciuk i miał zamknięte oczy. Spróbował się poruszyć, ale nie bardzo mu to wyszło.

Po paru sekundach spróbował ponownie i poczułem, że powinienem coś zrobić, tylko nie miałem pojęcia co. Otworzył oczy — a byłem już pewien, że to on, a nie ona — ale jakoś nie wydało mi się, by skupił na czymś konkretnym spojrzenie. Poruszył leżącym na podłodze łebkiem, a ja poczułem bijące od niego zaskoczenie i strach.

Spróbowałem przekazać mu ciepło i poczucie bezpieczeństwa, ale nie wiedziałem, jak mi to wyszło, więc powoli zbliżyłem się i wyciągnąłem do niego rękę. Musiał dostrzec ten ruch, bo spróbował uciec, lecz mu się nie udało. Najwyraźniej nie kojarzył ruchu z uczuciami, które odbierał, gdyż poczułem jego strach. Złapałem go delikatnie i w nagrodę doświadczyłem po raz pierwszy dwóch rzeczy: pierwszego zrozumiałego słowa i pierwszego ukąszenia. Ząbki miał tak małe, że ledwie zdołał przebić skórę palca, a o truciznie żal było wspominać, ale nie ulegało wątpliwości, że kielki były ostre i wiedział, jak ich używać. Słowo zaś było zadziwiająco zrozumiałe:

„Mama?”

Zastanowiłem się przez moment i odpowiedziałem:

„Nie. Tata.”

„Mama” — zgodził się i przestał wyrywać.

Umościł się na mojej dłoni i zrozumiałem, że jest wyczerpany. Ja także byłem, a poza tym obaj byliśmy głodni. W tym momencie dotarło do mnie, że nie mam pojęcia, czym należy go karmić. Cały czas zdawałem sobie sprawę, nosząc go, że któregoś dnia się wykluje, ale jakoś nigdy nie przyszło mi na myśl sprawdzić, co jedzą małe jheregi.

Zaniósłem go do kuchni i rozejrzałem się za mlekiem. Udało mi się znaleźć niewielki dzbanek, więc wylałem jego zawartość na talerzyk i położyłem na blacie. Obok umieściłem malca. Bez trudu zrozumiał, co to takiego — wsadził łepkę do talerza i energicznie zajął się piciem. A ja dalszymi poszukiwaniami. Znalazłem kawałek skrzydełka sokoła. Położyłem je delikatnie na talerzu, z którego tymczasem ubyło sporo mleka. Znalazł je prawie natychmiast, urwał kawałek i zaczął żuć. Żuł ze trzy minuty, nim przełknął, ale za to nie miał z połknięciem żadnych problemów. Odetchnąłem z ulgą.

Potem poinformował mnie, że jest bardziej zmęczony niż głodny, więc wzięłem go i zaniósłem na szezlong. Wyciągnąłem się, położyłem go sobie na brzuchu i zdrzemnąłem się. Obaj mieliśmy całkiem przyjemne sny.

* * *

Następnego dnia wczesnym popołudniem ktoś zaklaskał pod moimi drzwiami. Kiedy otworzyłem, rozpoznałem gościa natychmiast — to w jego lokalu byłem poprzedniego dnia i to on był uprzejmy zakazać mi tam na przyszłość wstępu, dla lepszego zrozumienia przykładając nóż do szyi.

Ponieważ z natury jestem ciekawski, zaprosiłem go, by wszedł.

— Dziękuję — powiedział. — Jestem Nielar.

— Proszę usiąść. Ja jestem Vlad Taltos. Wina?

— Dziękuję, nie. Nie spodziewam się pozostać tak długo.

— Jak pan sobie życzy.

Wskazałem mu fotel. Sam siadłem na szezlongu i wziąłem w dłoń jherega. Nielar na jego widok uniósł brwi, lecz nie odezwał się słowem.

— W takim razie czemu zawdzięczam ten zaszczyt? — spytałem uprzejmie, gdy milczenie zaczęło się zbytnio przeciągać.

— Po przemyśleniu sprawy doszedłem do wniosku, że być może myliłem się, obarczając pana winą za wczorajsze zajście.

Dobrze, że siedziałem — świat się kończy, skoro Dragaerianin przeprosza człowieka. Mnie się to zdarzyło po raz pierwszy, no ale miałem dopiero szesnaście lat; jak się potem okazało, Nielarowi też, choć przekroczył już dziewięćset pięćdziesiąt.

— To nader uprzejmie z pańskiej strony — wykrztusiłem.

Wykonał niedbały gest i dodał:

— Podobało mi się także pańskie opanowanie.

To dobrze, że choć komuś, bo mnie średnio, ale rozmowa zaczynała być naprawdę interesująca, choć pojęcia nie miałem, do czego mój gość zmierza.

— Chodzi mi o to, że ktoś taki może mi się przydać, jeśli naturalnie nie będzie pan miał nic przeciw temu, by dla mnie pracować. Jak rozumiem, chwilowo nie ma pan zajęcia, więc... — wzruszył wymownie ramionami i umilkł.

Cisnęło mi się na usta parę tysięcy pytań, zaczynając od tego, skąd tyle o mnie wie, a kończąc na tym, co go to obchodzi. Nie zadałem jednak żadnego, lecz powiedziałem:

— Z całym szacunkiem, ale nie bardzo rozumiem, w czym mógłbym się panu przydać.

Ponownie wzruszył ramionami.

— Mógłby pan choćby zapobiegać takim problemom, jakie mieliśmy zeszłej nocy. Poza tym potrzebuję też pomocnika przy odzyskiwaniu długów. Z zasady mam dwóch pomocników do prowadzenia interesów, ale jednemu w zeszłym tygodniu przytrafił się wypadek i chwilowo mam wakat w obsadzie.

Coś w tym, jak wypowiedział słowo „wypadek”, wydało mi się dziwne, ale nie traciłem czasu, by przeanalizować, co konkretnie miał na myśli.

— Ponownie z całym szacunkiem, lecz nie wydaje mi się, aby człowiek wywarł zbyt duże wrażenie na Dragaerianinie, zwłaszcza rozgniewanym. Nie wiem, jak...

— Jestem przekonany, że to nie będzie problemem — przerwał mi uprzejmie, lecz stanowczo. — Nasza wspólna znajoma zapewniła mnie, że da pan sobie radę z takimi sytuacjami. Tak się składa, że winien jej jestem uprzejmość i poprosiła, bym rozważył zatrudnienie pana.

Teraz dopiero rozjaśniło mi się w głowie — Kiera, oby jej bogowie sprzyjali, postanowiła zatroszczyć się o moją przyszłość.

Zaczynałem rozumieć, o jakim zajęciu rozmawiamy.

— Pański zarobek to cztery imperiale tygodniowo plus dziesięć procent od każdego odzyskanego długu. Albo raczej pięć procent, bo będzie pan pracował z moim obecnym pomocnikiem.

Cztery imperiale na tydzień to było więcej, niż wyciągałem z restauracji, kiedy jeszcze ją miałem. A procent od długów, nawet po podziale...

— Jest pan pewien, że pański pomocnik nie będzie miał nic przeciwko współpracy z człowiekiem? — spytałem, nie poddając się optymizmowi.

— To mój problem — odparł, mrużąc oczy. — A poza tym rozmawiałem już z Kragarem — nie ma nic przeciwko temu.

— W takim razie pozwoli pan, że przemyślę pańską propozycję — zaproponowałem.

— Zrozumiała ostrożność. Wie pan, gdzie mnie znaleźć.

Przytaknąłem i odprowadziłem go do drzwi. Pożegnaliśmy się nad wyraz uprzejmie, a gdy jego kroki ucichły na schodach, popatrzyłem na jherega i spytałem:

— No i co o tym wszystkim myślisz?

Tak jak się spodziewałem, nie odpowiedział mi. Wróciłem do pokoju, zastanawiając się, czy kwestię przyszłych zarobków mam załatwioną, czy też problem jedynie przesunął się w czasie. A kiedy usiadłem, przestałem się nad tym zastanawiać, miałem bowiem poważniejszy problem. Jak nazwać swojego jherega?

* * *

Nazwałem go Loioosh. On mówił do mnie „mama”. Szkoiliłem go, a on mnie gryzł. Przez następne miesiące powoli uodporniałem się na jego jad, a jeszcze wolniej, bo przez lata, uodporniałem się — częściowo — na jego poczucie humo-

ru.

Kiedy rozpocząłem pracę w zawodzie, Loioosh był już w stanie mi pomagać. Z początku tylko trochę, potem bardzo: w końcu kto zwraca uwagę na latającego po ulicy jherega? W mieście jest ich sporo, na wsi jeszcze więcej... a jhereg potrafi zauważyć naprawdę dużo...

Powoli, w miarę upływu czasu nabierałem doświadczenia, doskonaliłem umiejętności i zyskiwałem przyjaciół oraz pozycję.

A potem, jak przepowiedziała jego matka, zostałem myśliwym.

*Feniks ponownie rozpada się w kurz,
Smok groźny na tów wyrusza już.
Lyorn dziś warczy, opuszcza róg,
Przed tiassy snami umyka wróg.
Sokoła na niebie znak wartownika,
Dzur cieniem przez noc przenika.
Issola uderza zdradziecko i cicho,
Tsalthoth jak żyje, wie tylko lichy.
Valista na zmianę niszczy i stwarza,
Cichy iorich zna, nie powtarza,
Jhereg tym żyje, co ma po innych,
Chreotha plecie sieć na niewinnych.
Yendi wystrzela zabójczym splotem,
Jhegaala co robi, dowiesz się potem.
Athyra w myśli milczkiem się wkrada,
Strachliwa teckla w trawach jak zjawa.
Orka przemierza podmorskie gaje,
A szary Feniks z popiołów wstaje.*

Rozdział pierwszy

*„Sukces prowadzi do stagnacji:
stagnacja wiedzie do klęski”*

Wsunąłem zatrutą strzałkę w specjalny otwór pod prawą częścią kołnierza peleryny, tuż obok wytrychu. Musiałem to zrobić delikatnie i z wyczuciem — za prosto, i mogłaby sama wylecieć, za bardzo pod kątem, i nie miałbym już miejsca na garotę. O... właśnie tak.

Co dwa-trzy dni wymieniałem broń, na wypadek gdybym musiał którąś zostawić w nieboszczyku czy jego sąsiedztwie. Nie chciałem, by można było dzięki temu dotrzeć do mnie, a każda rzecz, którą człowiek nosi dłużej niż kilka dni, przesiąka jego aurą. Dobra czarownica może dzięki temu bezbłędnie wskazać właściciela.

Można moje postępowanie określić mianem paranoi. W całym Imperium nie było zbyt wielu aż tak dobrych czarownic, a jeszcze mniej czarowników. Nie cieszyli się też równie dobrą opinią co magowie i szansa na to, by zaproszono kogoś do udziału w śledztwie, była bliska zeru. Prawdę mówiąc, nie słyszałem, by ktokolwiek uczynił to w ostatnim czasie. Dokładniej w ciągu ostatnich dwustu czterdziestu trzech lat. Byłem jednak zdeklarowanym zwolennikiem szeroko rozwiniętej profilaktyki, a z własnego doświadczenia wiedziałem, że najłatwiej zapomnieć o drobiazgach, co się z zasady potem mści. Był to jeden z powodów, dzięki którym nadal żyłem i mogłem kultywować swoją paranoję.

Wrzuciłem starą garotę do pudła stojącego na podłodze, wyjąłem zeń nową i zacząłem ją zwijać.

— Wiesz, Vlad, że od przeszło roku nikt nie próbował cię zabić? — usłyszałem głos dobiegający od strony drzwi.

Uniosłem głowę.

— Wiesz, Kragar, że jak będziesz tu włąził nie zaproszony, to w końcu któregoś pięknego dnia umrę na atak serca i zaoszczędzę innym kłopotów?

Kragar zachichotał.

— Mówiłem poważnie — podjął. — Ostatnim razem było to ponad rok temu, kiedy ten dupek... jak mu było?

— G’ranthar — odpowiedziałem.

— Właśnie, G’ranthar. No więc od kiedy próbował sobie bez pozwolenia otworzyć interes na Copper Lane, który zlikwidowałeś razem z nim.

— Zgoda, ostatnio było tu cicho. I co z tego?

— Nic. Tylko nie mogę się zdecydować, czy to dobry omen, czy zły — przyznał.

Przyjrzałem się jego wysokiej, mierzącej siedem stóp postaci. Siedział sobie wygodnie w fotelu pod ścianą. Stanowił dla mnie zagadkę — był ze mną, odkąd dołączyłem do zajmującej się interesami części Domu Jherega, i nigdy nie okazał najmniejszego choćby niezadowolenia z faktu, że przyjmuje polecenia od człowieka. Pracowaliśmy razem już ładnych parę lat i tyle razy wzajemnie ratowaliśmy sobie życie, że zrodziło się między nami spore zaufanie.

— Nie bardzo wiem, dlaczego miałby to być omen dobry czy zły — powiedziałem, kończąc umieszczać garotę w kołnierzu. — Udowodniłem, że potrafię być samodzielny: bez problemów kieruję swoim terenem, płacę komu trzeba i ile mu się należy, a z Imperium kłopoty miałem tylko raz, i to niewielkie. Zostałem zaakceptowany, pomimo że jestem człowiekiem. Pamiętaj też, że przede wszystkim znany jestem jako zabójca, więc kto rozsądny chciałby przysparzać mi kłopotów?

Przyglądał mi się przez chwilę, nim odparł z namysłem:

— Dlatego właśnie nadal chodzisz „na robotę”, tak? Żeby nikt nie zapomniał, co umiesz?

Wzruszyłem ramionami — Kragar był czasami zbyt bezpośredni jak na mój gust. Teraz też. Musiał wyczuć moje niezadowolenie, bo szybko wrócił do poprzedniego tematu.

— Po prostu myślę sobie, że tak długi spokój oznacza, że nie działasz tak szybko, jak byś mógł. To wszystko. No bo tak: z niczego stworzyłeś siatkę wywiadowczą należącą do najlepszych w całym. . .

— Nieprawda — przerwałem mu. — Tak naprawdę nie mam żadnej siatki wywiadowczej. To tylko spora grupa ludzi udzielających mi od czasu do czasu informacji, o które proszę. To nie to samo.

— W sumie to samo, jeśli brać pod uwagę skutki. No i masz dojście do siatki Morrolana, która jest bez dwóch zdań siatką wywiadowczą.

— Morrolan nie jest Jheregiem — przypomniałem mu na wszelki wypadek.

— Tym lepiej, bo możesz dzięki temu dostawać informacje od osób, które nie chciałyby rozmawiać bezpośrednio z tobą.

— No dobra. . . Kontynuuj.

— Niech będzie po twojemu: współpracują z nami naprawdę dobrzy, niezależni fachowcy. A nasi są na tyle kompetentni, by odstraszać ewentualną konkurencję. Po prostu tak sobie myślę, że można by wykorzystać to, co mamy. . .

— Kragar, może byś mi wyjaśnił, dlaczego miałbym chcieć, by ktoś dybał na moje życie? — zaproponowałem, wymieniając sztylet w obszyciu peleryny.

— Nie mówię, że miałbyś tego chcieć. Tylko się zastanawiam, czy to, że nikt nie dybie, nie oznacza, że się staczamy.

Wsunąłem nóż do pochwy na zewnętrznej stronie prawego uda. Był to cienki i sprężysty nóż do rzucania, na tyle mały, by pozostać niewidocznym nawet wtedy, gdy siedziałem. Podobnie zresztą jak rozcięcie w spodniach umożliwiające sięgnięcie po niego. Było to dobre połączenie subtelności i szybkiego dostępu do broni.

— Mówiąc wprost, zaczynasz się nudzić — podsumowałem.

— No... może trochę. Ale to, co powiedziałem, i tak pozostaje prawdą.

— Słyszysz, co on wygaduje, Loiosh? — potrząsnąłem głową z rezygnacją.
— Nudzi mu się, więc chce, żeby ktoś mnie zabił.

Loiosh przeleciał z parapetu na moje prawe ramię i polizał mnie po uchu.

— Dzięki za wsparcie moralne — prychnąłem i dodałem pod adresem Kragara: — Jeśli ktoś zacznie się nam naprzykrzać, damy mu nauczkę, ale sam niczego nie będę zaczynał. Nie mam zamiaru polować na smoki, kropka. Jeśli to...

I w tym momencie urwałem, bo mój mózg zaczął wreszcie pracować. Nie możliwe było, żeby Kragar przyszedł tu tylko po to, żeby sobie pogadać o tym, że powinniśmy zacząć rozrabiać, żeby nas szanowano. Za dobrze go znałem, by uwierzyć w tak głupi pomysł.

— No, dobra. Wykrztuś wreszcie, co się dzieje — poleciłem.

— A niby dlaczego coś miałyby się dziać? — spytał niewinnie.

— To ja tu jestem specjalistą od przeczuć, jakbyś zapomniał. Jako człowiek, wiedzma płci męskiej i tak dalej. Co się porobiło?

Uśmiechnął się leciutko.

— Nic takiego — stwierdził. — Tylko właśnie dostaliśmy wiadomość od osobistego sekretarza Demona.

Z pewnym trudem przełknąłem ślinę.

Demonem nazywano jednego z pięciu członków rady kontrolującej w ogólnym zakresie aktywność zawodową należących do Domu Jherega. W jej skład wchodziła dysponująca największą władzą członkowie i choć oficjalnie zaistniała dopiero po Bezkrólewiu, działała skutecznie na długo wcześniej. Głównie rozstrzygała spory wewnątrz organizacji i pilnowała, by sprawy nie stawały się na tyle głośne, by musiało interweniować Imperium. Od Bezkrólewia jej rola uległa modyfikacji — to rada reaktywowała organizację stanowiącą, Dom Jherega, gdy Imperium na powrót zaczęło funkcjonować, ustaliła dość precyzyjne reguły, wyznaczając obowiązki i prawa poszczególnych grup zawodowych. No i każdy, kto zajmował się czymkolwiek w ramach organizacji, oddawał radzie część zysków.

Według powszechnego przekonania Demon był numerem drugim w organizacji. Jak dotąd z kimś będącym na jego poziomie spotkałem się tylko raz —

gdy toczyłem wojnę z innym Jheregiem. Członek rady niedwuznacznie polecił mi szybko ją zakończyć, grożąc, że w przeciwnym razie sam się tym zajmie. Nie pozostały mi miłe wspomnienia z tego spotkania.

— Czego chce? — spytałem.

— Spotkać się z tobą.

— O cholera! — rzuciłem. — Wiesz dlaczego?

— Nie. Na miejsce spotkania wybrał lokal na naszym terenie, jeśli ma to jakieś znaczenie.

— Niewielkie, ale ma. Który?

— Restaurację „Blue Flame”.

— Aha. . . I z czym ci się to kojarzy?

— Jeżeli dobrze pamiętam, byłeś tam dwa razy „na robocie”.

— Dobrze pamiętasz. To dobre miejsce, jeśli chce się kogoś zabić. Ma wysokie alkowy, szerokie przejścia, miły półmrok i leży w okolicy, w której wszyscy pilnują swoich spraw.

— To by pasowało. Spotkanie ma nastąpić jutro, dwie godziny po wybiciu południa.

— Po wybiciu południa?!

Kragar spojrział na mnie zaskoczony.

— Przecież mówię, że po południu. Czyli po obiedzie, a przed kolacją. Musiałeś się już spotkać z taką porą dnia.

— Ja się z tą porą spotkałem, a tobie umknęło jej znaczenie — poinformowałem, posyłając w stronę jego głowy gwiaździsty shuriken.

Wbił się w ścianę tuż obok jego ucha.

— Zabawne jak cholera. . . — burknął.

— Nie narzekaj, tylko pomyśl. Jak byś się zabrał do zabicia zabójcy? Zwłaszcza takiego, który uważa, by nie wpaść w rutynę, jeśli chodzi o rozkład dnia i trasy, którymi się porusza?

— Co?! . . . Zaprosiłbym go na spotkanie, tak jak Demon ciebie.

— Właśnie. I naturalnie dołożyłbyś starań, by je tak zorganizować, aby wzbudzić jego podejrzenia.

— Może ty byś tak zrobił. Ja na pewno nie.

— O to mi chodzi! Zorganizowałbyś wszystko tak, by wyglądało to na typowe spotkanie w interesach. Czyli w czasie karmienia, bo zwykle zapraszający stawia obiad czy kolację. A to znaczy, że nie ustalibyś godziny spotkania na porę pomiędzy posiłkami, zgadza się?

Kragar przez chwilę milczał, najwyraźniej próbując nadażyć za moją pokrętną logiką.

— Fakt — przyznał w końcu. — Jest w tym coś nienormalnego. Pytanie: dlaczego?

— Nie jestem pewien... ale postaraj się dowiedzieć się czegoś o Demonie. Spróbujemy to przeanalizować i może do czegoś dojdziemy. To może nic nie znaczyć. Ale...

Uśmiechnął się i wyjął z wewnętrznej kieszeni peleryny niewielki notes.

— Demon — zaczął czytać. — Prawdziwe imię i nazwisko nieznane. Młody: najprawdopodobniej nie ma jeszcze osmiuset lat. Przed Bezkrólewem nikt o nim nie słyszał. Pojawił się zaraz po jego zakończeniu i osobiście zabił dwóch członków starej rady, którzy przeżyli zniszczenie Dragaery, plagi i inwazję. Odbudował potem organizację, mając nadzieję na większe zyski. Wydaje się, że to jego pomysłem było pozwolenie ludziom na kupowanie tytułów w Domu Jherega.

— A to się robi ciekawe... — przyznałem. — Więc to jemu powinienem podziękować za to, że ojciec za wszystko, co zaoszczędził przez czterdzieści lat, kupił sobie tytuł, dzięki któremu nie tylko jestem człowiekiem, ale również stałem się Jheregiem. Muszę znaleźć jakiś stosowny sposób na okazanie mu wdzięczności.

— Gwoli sprawiedliwości należy dodać, że gdyby twój ojciec nie kupił tego tytułu, nie miałbyś okazji brać udziału w interesach Domu Jherega — dodał Kragar.

— Może i racja. Nie przerywaj sobie.

— Nie muszę, bo to właściwie wszystko. Nie dotarł na sam szczyt, ale bardziej wygląda na to, że osiągnął, co chciał, a potem poinformował resztę, że to jest właśnie szczyt. Wtedy panowało solidne zamieszanie, więc takie rzeczy uchodziły. No i był — i jest — na tyle dobry i twardy, że utrzymał tak swoją pozycję, jak i reguły, które stworzył. Z tego co wiem, nie zdarzyła się ani jedna poważna próba pozbawienia go władzy, głównie dlatego, że ma zwyczaj neutralizować potencjalnych rywali na długo przedtem, nim zaczną stanowić poważne zagrożenie. Pamiętasz tego całego Leonyara, którego załatwiliśmy w zeszłym roku?

Skinąłem głową.

— Myślę, że kontrakt na niego dał Demon, choć tego nigdy się na pewno nie dowiemy. Tak jak mówiłem: to przewidujący jegomość i lubi zawczasu pozbywać się potencjalnej konkurencji.

— Myślisz, że mógł mnie uznać za „potencjalną przyszłą konkurencję”?

Kragar zastanowił się głębiej.

— Sądzę, że mógłby, choć nie widzę powodu, dla którego miałby to robić. Nie wywołujesz kłopotów, a przez ostatnich parę lat nie rozwijasz się tak szybko, jak byś mógł. Jedyny raz, kiedy było o tobie głośno, to ponad rok temu w czasie wojny z Larisem, ale wszyscy dobrze wiedzą, że to nie ty zacząłeś.

— Mam nadzieję, że wiedzą. Demon chodzi „na robotę”?

— Nie można tego jednoznacznie stwierdzić, ale sporo wskazuje na to, że tak. A na pewno chodził, bo pierwszych dwóch członków rady zabił własnoręcznie.

— Pięknie! A więc niezależnie od wszystkiego, co mógł sobie zaplanować, muszę się liczyć z tym, że może chcieć ukatrupić mnie własnoręcznie.

— Przynajmniej powinieneś brać pod uwagę taką możliwość.

— Tyle że dalej nie rozumiem... słuchaj: powiedz, czy mam rację. Komuś takiemu jak Demon coś takiego przez przypadek nie może się zdarzyć.

— Coś jakiego?

— Coś takiego jak przypadkowe zorganizowanie spotkania w sposób, który musi wzbudzić podejrzenia.

— Jest to rzeczywiście mało prawdopodobne... o co chodzi?

Pytanie musiało dotyczyć mojej miny, która, jak sądzę, była w tym momencie warta dużych pieniędzy.

— O to, że może chodzić wyłącznie o jedno! — oznajmiłem.

— Czyli o co? — spytał ostrożnie Kragar.

— Zorganizuj mi trzyosobową obstawę, dobrze?

— Obstawę? Ale...

— Możesz ich przebrać za kelnerów czy szatniarzy. Właściciel nie będzie protestował, bo ten lokal należy w połowie do mnie. O czym Demon zresztą na pewno wie.

— Nie sądzisz, że to do niego dojdzie?

— Oczywiście, że się o tym dowie, i o to właśnie chodzi. Widzisz, on zdał sobie sprawę, że perspektywa spotkania z nim na pewno wzbudzi moje obawy i podejrzenia. Więc celowo tak wszystko zorganizował, by potwierdzić te podejrzenia. Dzięki temu mam pretekst do zorganizowania sobie ochrony, jaką uznam za stosowną. To tak, jakby dopisał: „Rób jak uważasz, bylebyś się czuł bezpieczny, ja się nie obrażę”. Tyle tylko, że nikt by w taki dopisek nie uwierzył... — potrząsnąłem głową z podziwem. — Mam nadzieję, że nigdy nie będę miał w nim wroga. To przewrotna sztuka.

— To ty jesteś przewrotny — ocenił Kragar. — Czasami wydaje mi się, że lepiej znasz Dragaerian niż sami Dragaerianie.

— Znam — potwierdziłem zwięźle. — Dlatego, że jestem człowiekiem.

— Dobra: trzech ochroniarzy. — Kragar wrócił do tematu. — Naszych czy wynajętych?

— Jeden nasz, dwóch wynajmij. Nie ma co przesadzać, może znać naszych pracowników.

— Też racja.

— Wiesz, tak naprawdę nadal mi się ten cały pomysł nie podoba... — powiedziałem z namysłem. — Skoro poznał mnie na tyle dobrze, by wiedzieć, jak zareaguję, to jednak może być zasadzka. Nie mówię, że jest, mówię, że może być.

— A nie możesz mu powiedzieć, że nie zdążyłeś?

— Mogę. Wtedy będę miał pewność, że jeśli nawet do tej pory nie chciał mnie zabić, to teraz weźmie się do tego na serio.

— Prawdopodobnie... To co możesz zrobić?

— Ponarzekać i iść na spotkanie. Dobra, tym będę się martwić jutro. Coś jeszcze się wydarzyło?

— Jakiś Teckla wziął po łbie dwie noce temu i stracił wszystkie pieniądze trzy przecznice stąd.

— Mocno oberwał?

Kragar zaprzeczył ruchem głowy i wyjaśnił:

— Pęknięta szczeka i parę siniaków, ale kazałeś informować o wszystkich podobnych przypadkach.

— Właśnie. Sądzę, że sprawcy nie znaleźliście?

— Jeszcze nie.

— To go znajdźcie.

— Będzie kosztowało.

— Pieprzyć koszty. Odstraszenie klientów będzie nas drożej kosztowało. Znajdź sprawcę i zrób z niego przypadek pokazowy.

Kragar uniósł brwi.

— Nie aż tak pokazowy — dodałem szybko. — Ma być uczciwie pobity, nie zabity. I wyślij do ofiary uzdrowiacza na nasz koszt. To stały klient, zakładam?

— Wszyscy tu to nasi klienci, jak nie w tym, to w tamtym.

— Fakt. Więc zapłać uzdrowicielowi, a poszkodowanemu oddaj tyle, ile zabrał mu napastnik. Dużo tego było?

— Prawie dwa imperiale. A z tego, jak o tym opowiadał, można by sądzić, że połowa skarbcza Smoków.

— Dla niego pewnie tak było... Wiesz, co zrobimy? Zaprosz go tu, a ja mu osobiście zwrócę pieniądze i pogadam z nim o tym, jak to bywa niebezpiecznie na ulicach i co ja, to znaczy współobywatel Imperium, o tym sądzę. Potem wróci do domu i będzie wszystkim znajomym opowiadał, jaki to fajny gość z tego wujka Włada, choć człowiek, i to ze Wschodu. Może da się z tego jeszcze wykręcić jakiś nowy interes...

— Wcielenie geniuszu — Kragar nie ukrywał ironii.

— Wiem — potwierdziłem skromnie. — Jeszcze coś?

— Nic ważnego. Załatwię tę obstawę na jutro.

— W porządku, tylko wybierz dobrych. Jak już ci, zdaje się, mówiłem, ta cała sprawa mnie niepokoi.

— Paranoja.

— Prewencja i profilaktyka to przeżycie.

Skinął głową bez słowa i wyszedł.

A ja owinałem wokół prawego nadgarstka Spellbreakera. Złoty łańcuszek długości dwóch stóp był jedyną bronią, której nigdy nie wymieniałem z prostego powodu, że nie miałem drugiej takiej. Ba, nie słyszałem nawet, by druga podobna

istniała. Łańcuch ten łamał bowiem lub odbijał każdy czar i każdą magię, z którymi bezpośrednio się zetknął. Dzięki niemu naprawdę trudno było mnie zaatakować w ten sposób, zwłaszcza kiedy byłem na to przygotowany. Tym razem wydawało się to mało prawdopodobne, ale i tak nie miałem najmniejszego zamiaru zostawiać go w domu. Sprawdziłem, czy dobrze leży, i spojrzałem na Loiosha nadal siedzącego na moim ramieniu.

Przez całą rozmowę z Kragarem był dziwnie milczący...

„O co chodzi?” — spytałem go telepatycznie. „Masz złe przeczucia odnośnie do jutrzejszego spotkania?”

„Mam złe przeczucia odnośnie do Teckli w tym biurze. Będę go mógł zjeść, szefie? Będę?”

Parsknąłem śmiechem i ze świeżym entuzjazmem wróciłem do wymiany uzbrojenia.

Rozdział drugi

*„Nic nie zastąpi dobrych manier —
poza jeszcze lepszym refleksem”*

Restauracja „Blue Flame” znajdowała się przy krótkiej uliczce zwanej Copper Lane, odchodzącej od Lower Kieron Road. Zjawiłem się w niej kwadrans przed czasem i starannie wybrałem miejsce, siadając plecami do drzwi. Skoro Loiosh i obstawa nie byliby w stanie ostrzec mnie o niebezpieczeństwie, to siedzenie twarzą do drzwi też niczego by nie zmieniło. Tak, jeśli spotkanie nie było pułapką, a podejrzewałem, że nie jest, dawałem Demonowi wyraźnie do zrozumienia, że mu ufam, i niwelowałem wrażenie „braku szacunku”, jakie mógł odnieść, widząc, że mam obstawę. Loiosh siedział na moim lewym ramieniu, przyglądając się drzwiom wejściowym.

Zamówiłem białe wino i czekałem, obserwując salę. Jednego z obstawy rozpoznałem, gdy nakrywał stół, dwóch pozostałych nie byłem w stanie, co znaczyło, że są dobrzy że Demon być może także ich nie zidentyfikuje. Powoli sączyłem wino, rozpamiętując niedawne spotkanie z Tecklą, ofiarą napadu. Już nawet nie pamiętałem jego imienia, ale rozmowa przebiegła tak, jak planowałem, choć kosztowała mnie więcej wysiłku, niż zakładałem. Musiałem przez cały czas tłumić wesołość wywoływaną przez telepatyczne prośby Loiosha coraz natarczywiej domagającego się, bym mu pozwolił choć spróbować gościa.

Wino piłem w starannie odmierzonych dawkach — ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowałem, był spowolniony refleks. Zgiąłem nieznacznie prawe kolano, sprawdzając rozmieszczenie noży w bucie, i odsunąłem o cal stół — ponieważ siedziałem w alkwie, krzesła odsunąć nie byłem w stanie. Zapamiętałem też rozstawienie przypraw na blacie: człowiek nigdy nie wie, czym będzie się opłacało rzucić jakby co.

I czekałem.

Pięć minut po wyznaczonym czasie — zgodnie z imperialnym zegarem — usłyszałem ostrzeżenie Loiosha. Położyłem prawą rękę na stole, tak by moja dłoń znajdowała się o dwa cale od lewego mankietu. Do stołu zbliżył się ochroniarz, kiwnął mi głową i cofnął się. Po jego ruchach widać było, że jest zawodowcem.

Po przeciwnej stronie stołu usiadł dobrze ubrany Dragaerianin w barwach Domu Jherega.

Czekałem, aż się odezwie — to on zorganizował spotkanie, więc do niego należało nadanie rozmowie takiego tonu, jaki chciał. A poza tym nagle zaschło mi w ustach.

— Pan Vladimir Taltos? — spytał, wymawiając tak imię, jak i nazwisko właściwie.

Przytaknąłem, upiłem łyk wina i spytałem:

— A pan to Demon?

Przytaknął. Zaproponowałem mu gestem wino, nalał sobie i wypiliśmy za zdrowie. Za uczciwość toastu nie dałbym wiele, ale dłoń mi nie drżała, gdy unosiłem kielich. Dobrze.

Pił wino drobnymi łydkami i przyglądał mi się. Ruchy miał wolne i kontrolowane, co usypiało czujność. Zauważyłem, gdzie trzyma nóż w prawym rękawie, i dostrzegłem kilka specyficznych wybrzuszeń w jego pelerynie. On z pewnością dostrzegł podobne w mojej. Jak na pozycję, którą zajmował, rzeczywiście był młody — miał jakieś osiemset, może tysiąc lat, czyli trzydzieści pięć lub czterdzieści, przekładając na ludzki wiek. Miał też oczy, które nigdy nie otwierały się do samego końca — zupełnie jak moje. Kragar miał rację: to był zabójca.

— Rozumiemy — przerwał milczenie, bawiąc się kielichem — że chodzi pan „na robotę”.

Zachowałem obojętny wyraz twarzy, choć sporo mnie to kosztowało. Czyżby chodziło o zwykły kontrakt? No, nie taki zwykły, skoro osobiście składał mi propozycję — zasadą stosowaną od niepamiętnych czasów było używanie pośredników. Z drugiej strony mógł to być wybieg, bym przestał się mieć na baczności. . .

— Obawiam się, że to pomyłka — zapewniłem go. — Nie zajmuję się podobnymi sprawami. . . Mam natomiast przyjaciela, który czasami chadza „na robotę”.

Spojrzał na moment w bok, nim odparł:

— Rozumiem. . . Mógłby mnie pan z nim skontaktować?

— On rzadko wychodzi. . . mogę przekazać mu wiadomość, jeśli pan chce.

Przytaknął, nadal nie patrząc na mnie.

— Sądzę, że pański przyjaciel także jest człowiekiem? — spytał.

— W rzeczy samej jest. Czy to robi jakąś różnicę?

— Być może. Proszę mu powiedzieć, że chcielibyśmy, by wykonał dla nas pewną zleconą „robotę”. Jeśli naturalnie jest w tej chwili wolny. Mam też nadzieję, że ma on dostęp do pańskich źródeł informacji, podejrzewam bowiem, że tym razem będzie potrzebował wszystkich możliwych.

Aha, zaczynało mi świtać, dlaczego spotkał mnie taki zaszczyt. Zdawał sobie sprawę, że mam inne niż organizacja sposoby uzyskiwania informacji, i prawdopodobnie uznał, że najłatwiej będzie je wykorzystać. Pozwoliłem sobie na lekki

optymizm — to mógł być po prostu kontrakt, choć nadal nie rozumiałem, dlaczego zjawił się tu osobiście.

Naturalnie było parę pytań, które odruchowo cisnęły mi się na usta, zaczynając od prostego — dlaczego ja. Naturalnie nie zadałem żadnego, bo nie uzyskałbym odpowiedzi — oczywiste było, że nie udzieli mi więcej informacji, nim nie otrzyma ode mnie wstępnego potwierdzenia. A nie chciałem go dawać, nie wiedząc więcej.

„Jakieś sugestie, Loiosh?”

„Spytaj go, kto jest celem.”

„Nie chcę, bo to oznacza przyjęcie kontraktu.”

„Jedynie jeśli odpowie.”

„A dlaczego sądzisz, że tego nie zrobi?”

„Jestem jheregiem, pamiętasz? Mamy przecucia w takich sprawach.”

Jedną z niekwestionowanych zalet Loiosha poza wrodzonym, złośliwym poczuciem humoru był zwyczaj cytowania moich wypowiedzi. Robił to, gdy tylko uznał za stosowne. Problem sprowadzał się do tego, że tym razem mógł po prostu mówić prawdę.

Demon milczał uprzejmie podczas naszej telepatycznej pogawędki. Albo dlatego, że o niej nie wiedział, albo dlatego, że postanowił być naprawdę uprzejmy. Gdybym miał obstawiać, postawiłbym na to drugie.

— Kto? — spytałem zwięźle.

Spojrzał na mnie i przyglądał mi się naprawdę długo. Potem odwrócił głowę i powiedział:

— Ktoś, kto jest dla nas wart sześćdziesiąt pięć tysięcy imperiali w złocie.

Dobrze, że nie piłem — jak nic bym się zakrztusił. Nie potrafiłem zapanować nad twarzą, bo kwota stanowiła mniej więcej dwudziestokrotność normalnego honorarium! Za takie pieniądze mogłbym żonie zbudować zamek, o którym ciągle mówiła! I to ze dwa razy! Albo przejść na emeryturę! Albo mogłbym. . .

— Kto się panu tak naraził? — spytałem, nie podnosząc głowy. — Cesarzowa? Uśmiechnął się nieznacznie.

— Czy pański przyjaciel jest zainteresowany?

— Nie, jeśli to Cesarzowa.

— Proszę się nie obawiać. Nie oczekujemy drugiego Maria.

Popełnił błąd, mówiąc to, bo sprowokowało mnie to do myślenia na temat, który dotąd nie przyszedł mi do głowy: za takie pieniądze bez kłopotu mógł wynająć Maria, więc dlaczego nie wziął najlepszego w branży?

Najlogiczniejsze wytłumaczenie było takie, że ofiara była tak znaną osobistością, że po jej śmierci na wszelki wypadek należało usunąć także zabójcę. A tego z Mariem lepiej nie próbować. Ze mną mogło się udać — nie byłem aż tak dobrze chroniony i nie miałem do dyspozycji aż takich środków, by Demon nie był w stanie sobie z tym poradzić.

Tłumaczyło to także, dlaczego zjawił się osobiście. Skoro planował pozbycie się mnie po „robotcie”, bez znaczenia było, że wiedziałem, kto ją zlecił, a unikał w ten sposób konieczności wybicia pół tuzina pośredników, co musiałyby zwrócić uwagę innych członków organizacji. Wynajęcie kogoś po to, by go potem zabić, nie było specjalnie honorowe, ale skuteczne i już się zdarzało.

Zaprzestałem chwilowo tych radosnych rozważań. Musiałem się dowiedzieć, o co tu chodzi. Miałem pewne podejrzenia, ale skoro nie byłem dzurem, musiałem mieć więcej niż podejrzenia, by zacząć działać. Pozostało podstawowe pytanie: kogo Demon chciał się pozbyć? Wysoko postawionej osobistości, na przykład lorda któregoś z domów? Było to prawdopodobne, ale dlaczego? Kto aż tak mógł mu się narazić, skoro zawsze postępował ostrożnie i nie miał wielu wrogów?

Na dodatek był w radzie i... zaraz! To mogło być właśnie to! Albo któryś z członków rady próbował się go pozbyć, albo Demon w końcu uznał, że lepiej być jednak numerem pierwszym w organizacji. Jeśli w grę wchodziłaby ta druga ewentualność, sześćdziesiąt pięć tysięcy nie było wystarczającą zapłatą, bo ten, kogo miałbym zabić, był tak dobrze chroniony, że prawie nieosiągalny.

O co by tu jeszcze mogło chodzić... ktoś wysoko postawiony w hierarchii organizacji zdecydował się rozmawiać z Imperium? Było to możliwe, acz nader nieprawdopodobne. Demon nie popełniłby aż takiego błędu... to musiał być członek rady, co oznaczało, że wykonawca kontraktu będzie miał duże problemy, by po jego wypełnieniu pozostać przy życiu. Z dwóch powodów: będzie wiedział, kto zlecił „robotę”, i będzie zbyt dużo wiedział o wewnętrznej wojnie na szczycie. Zacząłem kręcić przecząco głową, gdy Demon uniósł dłoń i powiedział:

— To nie tak, jak pan sądzi. Jedynym powodem, dla którego nie próbujemy wynająć Maria, jest to, iż z kontraktem związane są pewne warunki, których by nie przyjął.

Przez moment poczułem gniew, ale nie okazałem tego. Sześćdziesiąt pięć tysięcy stanowiło przekonujący argument, dlatego uważałem, że zgodzę się na warunki, które odrzuciłby Mario. Zastanowiłem się nad tym głębiej — Demon miał opinię uczciwego, ale suma wskazywała na pewien poziom zdesperowania, a jeśli byłby wystarczająco zdesperowany, mógł zdecydować się na zrobienie rzeczy, których dotąd nie robił.

Sześćdziesiąt pięć tysięcy imperiali w złocie tłukło mi się uporczywie po głowie, ale razem z inną, znacznie niższą kwotą: sto pięćdziesiąt imperiali. Tyle średnio kosztował pogrzeb.

— Sądzę — powiedziałem, starannie dobierając słowa — że mój przyjaciel nie byłby zainteresowany kontraktem na członka rady.

Pokiwał głową z uznaniem dla mojego toku myślenia i odparł:

— Jest pan bliski prawdy. Chodzi jednakże o byłego członka rady.

Ot, następna zagadka!

— Nie sądziłem, że istnieje więcej niż jeden sposób opuszczenia rady — powiedziałem ostrożnie.

Nie dodałem, że gdyby chodziło o ten mi znany, to moje usługi nie byłyby z pewnością potrzebne.

— My też nie — przyznał Demon. — Ale Mellar znalazł. . .

W końcu wiedziałem, o kogo chodzi. Mellar. . . był dobry, twardy i umiał myśleć. Miał na dodatek dość środków i zdecydowania, by wspiąć się na szczyt i na nim pozostać. Teraz pozostała kwestia, dlaczego Demon podał mi jego nazwisko: czy planował zabić mnie po „robocie” albo też zrobić to, jeśli jej nie wezmę, czy też próbował mnie przekonać?

— Jaki to sposób? — spytałem i upiłem łyk wina.

— Zabrać dziewięć milionów w złocie, czyli cały fundusz operacyjny rady, i zniknąć.

Tym razem się zakrztusiłem.

Na święte jaja imperialnego Feniksa, gość miał tupet! Okraść radę Domu Jhe-rega! Był to, można powiedzieć, szczyt bezczelności. Na myśl o możliwych konsekwencjach zaczęła mnie boleć głowa.

— Kiedy. . . kiedy to się stało? — wychrypiałem.

— Wczoraj — odparł zwięźle Demon, przyglądając mi się z zaciekawieniem.

— To się nazywa bezczelność, co?

Przytaknąłem i dodałem:

— Trudno to będzie długo utrzymać w tajemnicy.

— Zgadza się. Prawdę mówiąc, długo nie uda się tego utrzymać w tajemnicy — przez moment jego oczy stały się lodowate i zrozumiałem, skąd wziął się jego pseudonim. — Zabrał wszystko. Każdy z nas ma naturalnie własne środki i używamy ich do poszukiwań, ale biorąc pod uwagę skalę operacji, zbyt długo nie zdołamy ukryć prawdy.

— A kiedy to się rozniesie. . .

— Lepiej, żeby on był martwy — dokończył za mnie. — Albo każdy obsrany złodziejasek w Imperium będzie sądził, że może spróbować podobnego numeru. I któremuś w końcu się to uda.

W tym momencie dotarło do mnie, że mogę spokojnie przyjąć ten kontrakt — jeśli go zabiję, wszyscy będą mi wdzięczni. Natomiast jeśli nie wezmę, stanę się nagle nikomu niepotrzebnym, dużym ryzykiem, a w efekcie nieco później niedużym nieboszczykiem.

Demon kolejny raz odgadł tok mojego rozumowania.

— Nie — oznajmił. — Zapewniam, że jeśli pan odmówi, nic się panu nie stanie. Wiem, że możemy panu ufać, to jeden z powodów, dla których właśnie pana wybraliśmy.

Przyszło mi do głowy, czy przypadkiem nie czyta mi w myślach, ale odrzuciłem tę możliwość. Człowiek nie jest łatwym obiektem do sondowania i wątpię, by

Demon był w stanie to zrobić tak, bym niczego nie podejrzewał. A gdybym nawet tego nie zauważył, z pewnością odkryłby to Loiosh.

— Naturalnie jeśli pan odmówi, a potem coś się panu wymasknie... — Nie musiał kończyć: i tak poczułem ów zimny dreszcz.

— Sądzę, że musiałyby to być zrobione szybko — dodałem, ignorując ten dreszcz.

— I to jest właśnie powód, dla którego nie możemy wynająć Maria. Nie zgodzi się na pośpiech i nie mamy sposobu, by go ponaglić.

— A sądzicie, że mojego przyjaciela będziecie w stanie?

Wzruszył ramionami i odparł rzeczowo:

— Płacimy za to, jak sądzą.

Musiałem się z nim zgodzić.

Nigdy dotąd nie przyjąłem kontraktu z granicą czasową, jak na razie w tym przypadku nie była ona określona, ale sam fakt, iż należało się spieszyć, z pewnością skomplikuje moje poczynania. Nie wiedziałem tylko jak bardzo.

— Ma pan jakieś podejrzenia, gdzie on może być? — spytałem.

— Podejrzewamy, że skierował się na Wschód. Ja bym tak zrobił na jego miejscu.

Potrząsnąłem głową.

— To bez sensu — oceniłem. — Dragaerianie na Wschodzie są traktowani podobnie jak ludzie tutaj, jeśli nie gorzej. Byłby postrzegany, przepraszam za porównanie, jak demon. I wyróżniałby się jak broń Morgantich w Cesarskim Pałacu.

— To wszystko prawda, ale organizacja ma w tym rejonie znacznie mniejsze możliwości i mało współpracowników, więc dłużej potrwa, nim dowiemy się, gdzie go szukać. — Uśmiechnął się ponuro. — Poza tym najlepsza adeptka Lewej Ręki szuka go od momentu, w którym odkryliśmy, co się stało, i dotąd nie potrafiła go znaleźć.

Wzruszyłem ramionami.

— Mógł założyć blokadę magii śledzącej.

— I z pewnością to zrobił.

— No więc co w tym...

— Nie ma pan pojęcia, ile mocy zostało w to zaangażowane — przerwał mi łagodnie, lecz stanowczo. — Powinniśmy już dawno przełamać tę blokadę, bez względu na to, jak długo byłaby przygotowywana i jak dobry mag by ją zakładał. I złamalibyśmy ją, gdyby znajdował się w obrębie stu mil od miasta. A w najgorszym wypadku wiedzielibyśmy, w którym rejonie się znajduje, bo zlokalizowalibyśmy ją. A nie wpadliśmy jak dotąd nawet na jej ślad.

— Więc gwarantuje pan, że nie ma go w promieniu stu mil?

— Gwarantuję. Istnieje co prawda możliwość, że zaszył się w dżungli na zachodzie, ale jeśli tak jest, znajdziemy go w ciągu góra dwóch dni. Ja natomiast sądzą, że uciekł na Wschód.

Pokiwałem głową ze zrozumieniem.

— I dlatego wybrał pan mnie. Bo mogę działać tam znacznie skuteczniej niż ktokolwiek z pańskiej rasy.

— Właśnie. Jak też dlatego, że ma pan godną podziwu siatkę wywiadowczą.

— Moja siatka nie obejmuje Wschodu — poinformowałem go.

Co było prawie zgodne z prawdą — miałem tam niewiele źródeł informacji i to przeważnie oddalonych od siebie, co poważnie utrudniało weryfikację uzyskanych wiadomości. Nie widziałem jednak żadnego powodu, by mu o tym mówić — nie musiał wszystkiego o mnie wiedzieć.

— Cóż, w takim razie jest w tym dla pana dodatkowa atrakcja: po zakończeniu „roboty” będzie pan miał znacznie większą siatkę i to obejmującą nowy rejon.

Uśmiechnąłem się, doceniając celność riposty.

— A więc chce pan, by mój przyjaciel odszukał Mellara, zabił go i odzyskał złoto?

— To ostatnie byłoby miłe, ale nie jest niezbędne. Najważniejsze jest upewnienie wszystkich, że nie opłaca się próbować nas okradać. Nawet Kiera tego dotąd nie próbowała, a jest najlepsza w swoim fachu. Dodam także, że traktuję całą sprawę bardzo osobiście i będę nader wdzięczny temu, kto ją załatwi.

Zastanowiłem się jeszcze raz nad wszystkim, co usłyszałem, a Demon uprzejmie milczał. Sześćdziesiąt pięć tysięcy i wdzięczność Demona były zdecydowanie miłą perspektywą od sztyletu Morgantich między żebrami.

— Mam użyć broni Morgantich? — spytałem.

— Niekoniecznie, choć musi to być śmierć ostateczna. Sposób jest mi obojętny: jeśli będzie pan musiał zniszczyć jego duszę, mówi się trudno. Najważniejsze jest, by został zabity i by nikt nie był w stanie przywrócić go do życia.

— Rozumiem... Powiedział pan, że adeptki Lewej Ręki usiłują go odnaleźć?

— Najlepsze.

— To nie pomoże w zachowaniu tajemnicy.

Demon lekko wzruszył ramionami.

— Wiedzą, kogo mają szukać, nie dlatego. Przedstawiłem to jako sprawę osobistą między nim a mną. Może pan o tym nie wie, ale Lewą Rękę poczynania rady interesują mniej niż zwykłego alfonsa z ulicy. Natomiast jeśli ta sytuacja za długo potrwa, rozniesie się, że go szukam, i ktoś, kto zauważył wcześniej, że rada ma problemy finansowe, zacznie myśleć. A wtedy łatwo dojdą do prawdy.

— No dobrze... podejrzewam, że mój przyjaciel będzie zainteresowany tym kontraktem. Oczywiście na początek potrzebowałby wszystkich informacji o Mellarze, jakimi pan dysponuje.

Demon wyciągnął w bok rękę. Ochroniarz stojący w bezpiecznej odległości podszedł i wręczył mu raczej imponujący plik papierów. Po czym natychmiast cofnął się na poprzednie miejsce. Demon wręczył mi kartki ze słowami:

— Proszę bardzo.

— To wszystko?

— Wszystko, co wiemy, ale obawiam się, że znajdzie pan tam mniej danych, niżby pan chciał.

— W porządku. . . — przekartkowałem papiery. — Widzę, że byliście naprawdę zajęci.

Uśmiechnął się tylko.

— Jeśli będę jeszcze czegoś potrzebował, skontaktuję się z panem — ostrzegłem.

— Naturalnie. Oczywiście pański przyjaciel będzie mógł uzyskać wszelką pomoc, jakiej będzie potrzebował.

— Czyli, jak rozumiem, nadal będziecie go szukać? Macie dostęp do lepszych magów niż mój przyjaciel, więc byłoby dobrze, gdybyście dalej szukali go w ten sposób.

— Mamy taki zamiar — zapewnił mnie. — I powinienem dodać coś jeszcze: jeśli znajdziemy go pierwsi i uznamy, że trafiła się okazja, załatwimy go, nie czekając na pana. Proszę nie uznać tego za brak szacunku, ale sytuacja jest raczej wyjątkowa i przede wszystkim liczy się czas.

— Nie podoba mi się to, ale rozumiem.

Nie była to miła wiadomość, bo choć nie oznaczała konieczności zwrotu pieniędzy, z całą pewnością stanowiła dodatkową komplikację. A komplikacje zawsze mnie niepokoiły.

Wzruszyłem ramionami i powiedziałem:

— Sądzę, że pan także rozumie, iż jeśli jakiś Teckla wejdzie mi w drogę, a mój przyjaciel uzna to za konieczne, po prostu go zlikwiduje. Nie wynika to z braku szacunku, ale z konieczności.

Demon przytaknął bez słowa.

Westchnąłem z ulgą — osiągnięcie wzajemnego zrozumienia było czasem niezwykle finezyjną sztuką.

Uniosłem kielich.

— Za przyjaciół — zaproponowałem.

Uśmiechnął się i uniół swój.

— Za przyjaciół — odpowiedział.

Rozdział trzeci

„Każdy jest drapieżnikiem”

„Robota” ma trzy odmiany. Każda ma inny skutek, cel, cenę i karę.

Najprostsza i wcale nie najczęstsza, jednakże nazywana „standardową”, polega na tym, iż chce się kogoś zniechęcić do konkretnego działania, skłonić, by postąpił w określony sposób, lub ostrzec. Cena zaczyna się od tysiąca pięciuset imperiali i rośnie w zależności od trudności w dotarciu do celu, a zabójca ma po prostu usunąć wybranego osobnika i guzik go obchodzi, co będzie dalej. Najczęściej ciało zostaje znalezione przez krewnego czy przyjaciela i od niego zależy, czy zechce lub też czy będzie go stać na to, by poddać je ożywieniu.

Ożywienie, przywrócenie do życia lub wskrzeszenie — bo w użyciu pozostają wszystkie te określenia — to proces kosztowny. W trudnych przypadkach cena może dojść do czterech tysięcy imperiali. A nawet łatwy przypadek wymaga zatrudnienia doświadczonego maga i nigdy nie ma gwarancji, że się uda.

Mówiąc po ludzku — jeśli ofiara się obudzi, to ma świadomość, że ktoś (przeważnie wie kto) ma głęboko gdzieś, czy ona będzie dalej żyła czy nie, i już wydał przynajmniej tysiąc pięćset sztuk złota, by tego dowieść.

Jest to raczej niemiła świadomość, wybitnie zwiększająca ostrożność w dalszym postępowaniu. Mnie przytrafiło się to raz, kiedy zacząłem się rozpychać i włąłem na terytorium jegomościa nieco bardziej doświadczonego i silniejszego. Wiadomość, jaką mi przekazał, była prosta: „Mogę cię załatwić, kiedy mi przyjdzie ochota, i zrobiłbym to dokładniej, ale nie jesteś wart więcej niż tysiąc pięćset imperiali, gówniarzu”. I poskutkowało. Ożywiła mnie Sethra Lavode po tym, jak Kiera znalazła moje zwłoki w rynsztoku. Wycofałem się i od tej pory nie próbowałem go niepokoić.

Jeszcze nie...

Trzeba zaznaczyć, że istnieją dość ściśle przepisy dotyczące okoliczności, w których można kogoś legalnie zabić. Wymagane są między innymi: „przepisowy teren do pojedynków”, „cesarski świadek” i inne takie duperele. Płatne zabójstwo prawie nigdy nie kwalifikuje się jako legalne, więc dla każdego zabójcy najważniejsze jest, by ofiara nie zobaczyła jego twarzy. Ponieważ jeśli by ją zobaczyła, została ożywiona i poszła na skargę do Imperium (co w przypadku Jherega

byłoby wbrew zwyczajom, ale nigdy nic nie wiadomo), zabójca zostałby aresztowany, osądzony i najprawdopodobniej skazany, co oznaczało koniec kariery. Życia też, bo Imperium paliło ciała skazańców, toteż wskrzeszenie nie wchodziło w grę.

Drugą, niezwykle rzadką odmianą zabójstwa jest zabójstwo ostateczne. Wyobraźmy sobie na przykład, że wynajęty przez nas zabójca zostaje złapany i śpiewa wszystko urzędnikom Imperium, by uratować swoją nic zresztą nie wartą duszę. Co należy zrobić? Należy zebrać stosowną, dużą kwotę i wynająć jednego z najlepszych. Należy się z nim spotkać, wręczyć co najmniej sześć tysięcy imperiali, i podając, kto jest celem, zaznaczyć, że ma być użyta broń Morgantich. Jest to jedyna sytuacja, w której należy także wyjaśnić dlaczego. Najbardziej nawet bezwzględny zabójca może bowiem nie użyć tej broni, jeśli nie będzie miał naprawdę poważnego powodu. A to dlatego, że jedynie broń Morgantich gwarantuje zniszczenie duszy zabitego. Ja jak dotąd wykonałem dwie takie „roboty” i uważam, że w obu przypadkach ofiary uczciwie sobie na taki koniec zapracowały.

Użycie takiej broni niesie z sobą dodatkowe ryzyko. Zabójca złapany z bronią Morgantich albo podejrzany o jej użycie zostaje specjalnie potraktowany przez Imperium, które zapomina wówczas o zasadzie nietorturowania podejrzanych i nieprzeprowadzania przymusowych sondowań umysłu. A kiedy przesłuchujący skończą, bełkoczący bezsensownie krwawy ochłap zostaje dobity przy użyciu właśnie broni Morgantich, by sprawiedliwości stało się zadość.

Na szczęście istnieje też trzeci, pośredni sposób, stanowiący źródło utrzymania dla większości dobrych zabójców.

Jeżeli ktoś chce się kogoś pozbyć, tak by ten nie wrócił, i należy do organizacji, będzie go to kosztowało co najmniej trzy tysiące imperiali. Przynależność jest niezbędna, bo nie słyszałem jeszcze o zabójcy na tyle głupim, by pracować dla kogoś nie należącego do Domu Jherega. Cena naturalnie zależała od tego, kim była ofiara, jak dobrze była pilnowana i podobnych czynników, najwyższą zaś stawką, o jakiej słyszałem, było... sześćdziesiąt pięć tysięcy sztuk złota. Sądzę, że Mario Greymist otrzymał znacznie wyższą zapłatę za zabicie starego Cesarza Feniksa tuż przed Bezkrólewem, ale nigdy nie słyszałem jaką, choćby w przybliżeniu.

Istnieje kilka sprawdzonych sposobów na to, by zabity pozostał martwy, naturalnie nie licząc użycia broni Morgantich. Znam osobiście trzy i stosowałem wszystkie lub ich kombinacje z dobrym skutkiem.

Pierwszy, to tak schować ciało, by nikt go nie znalazł przez co najmniej trzy dni. Po tym czasie dusza je opuszcza i o żadnym ożywieniu nie ma co marzyć. Najskuteczniej osiąga się to za drobną opłatą, około pięciuset imperiali, wynajmując adeptkę Lewej Ręki, która tego dopilnuje za pomocą stosownej magii. Można ciało naturalnie schować osobiście, ale istnieje ryzyko, że ktoś to zauważy i zaczną się plotki.

Drugi sposób, jeśli nie jest się chciwym, to zapłacić tejże adeptce tysiąc sztuk

złota, albo i tysiąc pięćset, żeby założyła na trupa magiczną blokadę uniemożliwiającą przywrócenie go do życia.

Trzeci zaś, najprostszy i najprymitywniejszy, to uniemożliwić fizyczne wskrzeszenie przez spalenie ciała, odrąbanie głowy, zniszczenie mózgu, poćwiartowanie czy inne żywiołowe użycie wyobraźni i ostrych narzędzi.

Jeśli chodzi o samą „robotę”, to używałem metody, którą wypracowałem w pierwszych latach działalności. Staranne planowanie, doskonałe zgranie czasowe, terminy tak wyliczone, by móc uwzględnić wszystkie istotne informacje uzyskane dzięki długiej obserwacji, i błyskawiczne wykonanie za pomocą jednego precyzyjnego ciosu noża.

Jak dotąd nie zdarzyło się, bym musiał poprawiać drugim.

* * *

Kragar czekał w moim biurze. Podałem mu wszystkie informacje i przekazałem przebieg rozmowy. Nie wyglądał na najszcześliwszego.

— Szkoda, że nie masz przyjaciela, na którego mógłbyś to zwalić — ocenił, kiedy skończyłem.

— O co ci chodzi?

— O... — Umilkł, potrząsnął głową i westchnął. — Wiem, wiem: wzięłeś robotę, to ją sam wykonasz.

— Nie o to mi chodzi. Uważasz, że nie poradzimy sobie z tym?

— Vlad, ten facet jest naprawdę dobry. Nie dość, że przez tyle lat utrzymał się w radzie, to jeszcze ją wyrolował. Nie da się ot tak do niego podejść i wsadzić mu sztyletu w oko.

— A czy ja powiedziałem, że uważam to za łatwy kontrakt?! Będziemy musieli trochę popracować, nim...

— Trochę!

— No dobrze: sporo. Więc popracujemy. Powiedziałem ci, ile za to dostaniemy, a twój procent jest stały. Gdzie się podziła twoja odwieczna pazerność?

— Obumarła. Twoja jest tak duża, że starcza dla nas obu.

Postanowiłem to zignorować.

— Po pierwsze trzeba go znaleźć — oświadczyłem. — Wymyślisz jakiś sposób, by odszukać jego kryjówkę?

Kragar przyjrzał mi się z namysłem.

— Wiesz co, Vlad? Tak dla odmiany może raz ty wszystko przygotujesz, a ja go ukatrupię? — zaproponował.

Spojrzałem na niego wymownie.

Podziałało — westchnął ciężko i przestał błaznować.

— No już dobrze. Powiadasz, że może mieć blokadę na magię śledzącą?

— Z tego, co Demon mówił, ma ją i to dobrą, a poza tym najlepsze w branży już go w ten sposób szukają.

— Hmm... zgadzamy się z założeniem, że prysnął na Wschód?

— Właściwie — zastanowiłem się — nie. Nie zakładamy niczego poza tym, co wiemy. A wiemy tyle, bo Demon ręczy za to, że Mellar nie znajduje się w promieniu stu mil od miasta. W tej sytuacji rozsądniej będzie założyć, że może być wszędzie poza tym obszarem.

— Czyli również w paru tysiącach mil kwadratowych dżungli?

— Tam też.

— Zdaje się, że ułatwiasz mi życie jak możesz — zauważył Kragar.

W odpowiedzi wzruszyłem ramionami.

Pomilczał chwilę i spytał:

— A co z czarami, Vlad? Czy czarownica nie mogłaby go wyśledzić? Wątpię, żeby pomyślał, by się przed tym zabezpieczyć, nawet gdyby mógł to zrobić.

— Poczekaj... niech pomyślę... prawdę mówiąc, nie wiem. Czary nie są do tego tak przydatne jak magia: prawdopodobnie zdołałbym uzyskać jego obraz i lokalizację telepatyczną, ale nic więcej. Nie potrafię określić, gdzie się znajduje, ani podać współrzędnych teleportu czy czegokolwiek, co dałoby się praktycznie wykorzystać. Można w ten sposób sprawdzić, czy żyje, ale to musimy założyć i bez użycia czarów.

Kragar pokiwał smętnie głową.

— Cóż... — odezwał się po chwili — skoro możesz uzyskać namiar telepatyczny, to może dałoby się jakoś włączyć w to Daymara? Daymar jest dobry w takich sprawach.

To był rzeczywiście jakiś pomysł. Daymar co prawda był dziwny, ale telepatia stanowiła jego specjalność. Jeśli ktokolwiek mógł znaleźć Mellara, to właśnie on.

— Nie jestem pewien, czy chcę w to angażować aż tyle osób... — zastanowiłem się głośno — im więcej uczestników, tym więcej potencjalnych przecieków... a on nawet nie jest z Domu Jherega... Demon nie byłby zachwycony...

— To mu o tym nie mów. Mamy go znaleźć, tak? I wiemy, że możemy zaufać Daymarowi, tak?

— No...

— Nie wygłupiaj się! Jeśli go poprosisz, żeby o tym nie mówił, nie będzie mówił. A poza tym gdzie znajdziemy drugiego takiego eksperta? W dodatku nic nie płacąc? Daymar lubi się popisywać, więc zrobi to za darmo. To co mamy do stracenia?

Uniosłem brwi i przyjrzałem mu się wymownie.

— No dobrze, ale ryzyko jest niewielkie, bo Daymarowi nie możemy wiele powiedzieć. Zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, ile możemy na tym zyskać.

— Jeśli będzie w stanie to zrobić.

— Myślę, że będzie.

— Dobra, przekonałeś mnie. Bądź przez chwilę cicho, muszę się zastanowić, czego będę potrzebował.

Ułożyłem sobie w pamięci listę niezbędnych przedmiotów, co nastreczyło pewien problem — wiedziałem dokładnie, czego sam będę potrzebował, ale nie do końca, czego może potrzebować Daymar, a to z prostego powodu, że mogłem się jedynie domyślać, w jaki sposób osiąga on swe podziwu godne rezultaty. Jeśli Mellar nie zabezpieczył się przed czarami, to będzie potrzebny naprawdę prosty czar śledzący... wyszło mi, że mam wszystko co potrzebne poza jednym małym drobiazgiem.

— Kragar, rozpuść informacje, że chciałbym się zobaczyć z Kierą. Naturalnie w dogodnym dla niej terminie.

— Dobra. Jakieś preferencje co do miejsca?

— Nie... czekaj! — przerwałem sam sobie.

Biuro miałem zabezpieczone tak magicznie, jak i za pomocą czarów, zarówno biernie, jak i czynnie. Wiedziałem, że alarmy i zabezpieczenia są dobre, i wolałbym nie ryzykować omawiania tak delikatnej kwestii w miejscu słabiej chronionym z uwagi na możliwość podsłuchu. Wolałem też, by nikt nie widział, że rozmawiam z Kierą, bo mogłoby to się nie spodobać Demonowi. Z drugiej strony Kiera była... no cóż, Kierą. To, zdaje się, nazywa się dylemat.

Rozwiązałem go prosto: nic nie zaszkodzi wstrząsnąć nieco współpracownikami, a jeśli nie ufałbym Kierze, to pozostałby mi już tylko Loioosh... .

— Chciałbym się z nią spotkać tutaj, w swoim biurze — oznajmiłem. — Jeżeli nie będzie miała nic przeciwko temu.

Kragar zamarł z opuszczoną szczęką. Zamknął ją po chwili z trzaskiem i bez słowa komentarza — musiał zrozumieć, że właśnie przeanalizowałem wszystkie za i przeciw.

— Jasne — zgodził się spokojnie. — A co z Daymarem? Wiesz, że niełatwo go znaleźć. Mam wymyślić jakiś sposób?

— Dzięki, sam się tym zajmę.

— Samodzielnie?! — jęknął z uznaniem. — Pracowitość, że pojęcie przechodzi!

— To niech przejdzie jeszcze raz. Loioosh mi pomoże. Lepiej ci?

Zachichotał i wyszedł.

A ja wstałem i otworzyłem okno.

„Loioosh, poszukaj Daymara.”

„Według rozkazu Jaśnie Pana.”

„Nie wysilaj się, twój sarkazm już na mnie nie działa.”

Odpowiedział mi telepatyczny chichot i Loioosh wyleciał na zewnątrz.

Usiadłem sobie wygodnie i wpatrzyłem się tępo w ścianę. W podobnej sytuacji znajdowałem się na początku każdej „roboty” — bez sprecyzowanego pomysłu, jak ją wykonać, i z mglistymi wizjami, jak do tego doprowadzić. Jedyne, co było jasne, to finał — powinna zakończyć się świeżym nieboszczykiem. Tak jak czterdzieści jeden podobnych. Tylko że to zlecenie różniło się od pozostałych kilkunastoma szczegółami. A pamiętałem je wszystkie, bo przy tak starannych przygotowaniach po prostu nie mogło być inaczej. Całe szczęście, że nie miewałem koszmarów...

Same z siebie przypominały mi się rozmaite detale...

Czwarty zabity miał na przykład zwyczaj zamawiania po obiedzie butelki dobrego trunku, który wypijał do połowy, a resztę zostawiał zamiast napiwku. Dwunasty lubił gotówkę w największych jak się tylko dało monetach czy banknotach, które nieśmiało zaczynały wchodzić w życie. Dziewiętnasty był magiem i w każdej wolnej chwili polerował swoją różdżkę specjalną szmatką. Każdy miał jakieś specyficzne przyzwyczajenie — czasami byłem w stanie je wykorzystać, najczęściej po prostu było ciekawostką, która zostawała w pamięci. Kiedy się dobrze kogoś pozna, nie sposób traktować go tylko jako cel czy kolejnego trupa. Acz, z drugiej strony, dla mnie pozostali przede wszystkim celami, na których kontrakty otrzymywałem zawsze w ten sam sposób — przy dobrze zastawionym stole podczas cichej rozmowy, uwieńczonej przekazaniem sakiewki zawierającej od tysiąca pięciuset do czterech tysięcy złotych imperiali. Traktowałem ich równo: zaplanować „robotę” i wykonać ją.

Zwykle najpierw poznawałem dokładnie zwyczaje i nawyki ofiary, śledziłem ją, sprawdzałem jej rozkład zajęć. Czasami trwało to kilka dni, czasami kilka tygodni. Dopiero wówczas decydowałem, gdzie i kiedy chcę ją zabić. Miejsce z reguły determinowało termin, czasami tak dalece, że w grę wchodził określony dzień tygodnia. Potem planowałem samo wykonanie roboty, tak by poszła jak najsprawniej i naraziła mnie na jak najmniejsze niebezpieczeństwo. Samo wykonanie było interesujące tylko wówczas, gdy gdzieś popełniłem błąd lub gdy wydarzyło się coś nieprzewidzianego.

Kragar spytał mnie kiedyś, gdy byłem w wybitnie sprzyjającym nastroju, czy lubię zabijać. Nie odpowiedziałem mu, bo nie wiedziałem, ale skłoniło mnie to do zastanowienia. Nadal zresztą nie jestem pewien. Lubię planować całą akcję, lubię ją rozpoczynać, by zobaczyć, czy w praktyce wszystko wyjdzie tak, jak sobie zaplanowałem, ale nie wiem, czy lubię samo zabijanie. Sądzę, że jest mi obojętne: ani go nie lubię, ani nie mam do niego negatywnego stosunku — po prostu to robię.

Rozparłem się wygodnie w fotelu i zamknąłem oczy. Początek „roboty” przypominał mi zawsze początek rzucania czar. Stawał się dla mnie najważniejszą sprawą, bo chciałem ją wykonać jak najlepiej i to nie sugerując się niczym i nikim. To „jak i gdzie” przyjdzie później. Ponieważ niewiele wiedziałem, pozwoli-

łem, by ta wiedza krążyła po moim umyśle, podsuwając rozmaite pomysły. Niektóre odrzucałem od ręki, inne starałem się zapamiętać, choć robiłem to bardziej podświadomie niż świadomie. Za to gdy już przystąpiłem do planowania, często zdarzało mi się, że któryś objawiał się nagle na podobieństwo natchnienia.

Mogłem wówczas spokojnie uważać się za artystę.

* * *

Ocknąłem się z zamyślenia z uczuciem, że jest coś, co powinienem rozważyć. Ponieważ nie rozbudziłem się w pełni, dobrą chwilę zajęło mi uzmysłowienie sobie, co to takiego. Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że jakaś oderwana myśl tłucze mi się po mózgowicy. Po kilkudziesięciu sekundach pojąłem, że to nie moja myśl. Dałem jej spokój i pozwoliłem urosnąć, aż rozwinęła się w coś zrozumiałego. Odkryłem wówczas, że ktoś próbuje nawiązać ze mną kontakt telepatyczny. A po kolejnych kilkunastu sekundach zidentyfikowałem go.

„Witaj Daymar” — pomyślałem. „Dziękuję.”

„Żaden problem” — nadeszła czysta, spokojna odpowiedź. „Potrzebujesz czegoś?”

Daymar nawiązywał lepszy kontakt i miał więcej mocy niż ktokolwiek, kogo znałem. Rozmawiając z nim, miałem wrażenie, że cały czas musi się mieć na baczności, by przypadkiem nie zniszczyć mojego umysłu zbyt silnym przekazem.

„Chciałbym cię prosić o przysługę.”

„Tak?”

W jakiś sposób to „tak” trwało zawsze cztery razy dłużej, niż powinno.

„Nie natychmiast” — uspokoiłem go. „Najprawdopodobniej jutro. Podejrzwam, że będę musiał kogoś zlokalizować.”

„Zlokalizować?! Jak zlokalizować?”

„Sądzę, że zdołam telepatycznie naznaczyć kogoś, kogo chcę znaleźć, i będę chciał dowiedzieć się w jakiś sposób, gdzie on jest. Kragar myśli, że możesz to zrobić.”

„A jest jakiś powód, dla którego nie mogę go zaraz wyśledzić?”

„Ma założoną blokadę na magię śledzącą. Wątpię, czy nawet ty zdołasz ją pokonać.”

Byłem pewien, że nie zdoła, skoro nie potrafiły tego najlepsze adeptki Lewej Ręki. Daymar nie był aż tak dobrym magiem, ale nie było sensu walić mu tego prosto w oczy. Trochę komplementów i niedomówień w pewnych sytuacjach czyni cuda.

„To jak chcesz go naznaczyć?”

„Wątpię, by zabezpieczył się przed czarami. Ponieważ czary wykorzystują elementy telepatii, powinno mi się udać zostawić w jego umyśle coś, na co nie zwróci uwagi, a co ty bez problemu znajdziesz.”

„Rozumiem. Spróbujesz namierzyć go czarem, a potem ja zlokalizuję go telepatycznie, wykorzystując zostawione przez ciebie ślady. Interesujący pomysł.”

„Dziękuję. Myślisz, że się uda?”

„Nie.”

Zgrzytnąłem zębami i zmusiłem się do spokoju.

„Dlaczego?”

„Ślady nie pozostaną wystarczająco długo, bym zdołał je odszukać, albo od razu je zauważy, bo będą zbyt silne, więc je po prostu zlikwiduje.”

Westchnąłem. Nie ma sensu sprzeczać się z ekspertem.

„No dobra, a masz jakiś pomysł, który mógłby okazać się skuteczny?”

„Mam.”

I cisza.

Obiecałem sobie solennie, że któregoś dnia nakopię mu za to do dupy.

„A jaki to pomysł?”

„Odwrotność.”

„Co proszę?”

Wyjaśnił mi. Zadałem kilka pytań, dostałem mniej lub bardziej zadowolające odpowiedzi i zamyśliłem się głęboko nad tym, jakiego muszę użyć czaru, by osiągnąć efekty, które Daymarowi chodziło. Wyszło mi, że najlepiej będzie wykorzystać kryształ i rozpocząć czar jak każdy inny, a potem... Przypomniałem sobie w tym momencie, że Daymar nadal pozostaje w kontakcie ze mną, a to uświadomiło mi, że na początek należałoby sprecyzować pewne kwestie.

„Pomożesz mi?” — spytałem uprzejmie.

Nastąpiła chwila ciszy, nim nadeszła odpowiedź.

„Jasne. Jeżeli będę mógł obserwować, jak rzucasz czar.”

Jakoś mnie to nie zdziwiło. Westchnąłem ponownie oznajmiłem:

„Umowa stoi. Jak się z tobą skontaktować? Jeżeli będziesz w domu, mogę wysłać Loiosha, ale jeśli nie...?”

Zastanowił się, nim odpowiedział:

„Prawdopodobnie nie będzie mnie w domu. O każdej pełnej godzinie, zaczynając od dziesiątej rano, będę na kilka sekund otwarty na przekaz telepatyczny. Wystarczy?”

„Wystarczy. Skontaktuję się, jak będę gotów.”

„Doskonale. W takim razie do usłyszenia.”

„Do usłyszenia, Daymar. I dziękuję.”

„Cała przyjemność po mojej stronie.”

Prawdopodobnie ostatnie zdanie było prawdą, ale niepolitycznie byłoby to potwierdzić.

Prawie równocześnie przerwaliśmy połączenie.

* * *

Jakiś czas później wrócił Loiosh. Zapukał w szybę, więc otworzyłem okno. Pojęcia nie mam, dlaczego od samego początku zamiast mnie wezwać telepatycznie, woli pukać w okno. Zamknąłem je za nim i wróciłem na fotel.

„Dzięki.”

„Nie ma za co, szefie.”

I wróciłem do lektury. Loiosh przysiadł mi na prawym ramieniu i udawał, że czyta razem ze mną. Może zresztą nauczył się gdzieś czytać, tylko nie uznał za stosowne poinformować mnie o tym. Byłoby to do niego podobne.

Dopóki nie wiedziałem, gdzie Mellar się schował, nic więcej nie mogłem zrobić, więc zacząłem zapoznawać się z informacjami o tym, kim był. To wypełniło mi czas do wizyty następnego gościa, kilka godzin później.

Rozdział czwarty

„Inspiracja wymaga przygotowań”

Mój recepcjonista-sekretarz-odźwierny przez dwa lata pracy u mnie zabił trzy osoby przed drzwiami mojego biura. Jednym był zabójca, którego blef się nie powiodł, dwaj inni zaś niewinnymi durniami, którzy powinni mieć więcej zdrowego rozsądku i nie próbować włączyć na chama.

Sam zaś został zabity raz, opóźniając innego zabójcę na tyle, że zdołałem bohatercko prysnąć przez okno. Bardzo się ucieszyłem, gdy udało się go przywrócić do życia. Od czasu do czasu robił też za osobistą ochronę, gońca czy kogo tam Kragar lub ja potrzebowaliśmy. Prawdopodobnie był najlepiej opłacanym recepcjonistą na Dragaerze.

„Tego... szefie?”

„Tak?”

„No... Kiera przyszła...”

„Doskonale. Wpuść ją.”

„To Kiera Złodziejka, szefie. Jest pan pewien?”

„Całkowicie pewien. Dzięki za troskę.”

„Ale... dobra, szefie. Mam ją wprowadzić i uważać, co...”

„To nie będzie konieczne” — przerwałem mu, nie dodając, że i tak byłoby niewystarczające. „Po prostu niech wejdzie do mojego gabinetu.”

„Jasne. Jak szef sobie życzy.”

Odłożyłem papiery i wstałem w chwili, w której drzwi otworzyły się i weszła filigranowa Dragaerianka. Z pewnym rozbawieniem przypomniałem sobie, że gdy pierwszy raz się spotkaliśmy, uważałem, że jest wysoka. Cóż, miałem wtedy ledwie jedenaście lat, a i teraz Kiera była o głowę ode mnie wyższa. Tylko że teraz byłem już przyzwyczajony do różnicy wzrostu.

Poruszała się z gracją i wdziękiem przywodzącym na myśl Maria. Podpłynęła do mnie i powitała pocałunkiem, który musiałby wzbudzić zazdrość Cawti, gdyby ta należała do zazdrośnic. Odpowiedziałem jej równie entuzjastycznie i odsunąłem fotel, by usiadła.

Kiera miała twarz o ostrych rysach, ale bez charakterystycznych cech któregoś domu — było to typowe dla Jherega. Usiadła, rozejrzała się błyskawicznie po pokoju, rejestrując istotne szczegóły. Wiedziałem, co robi, bo sama mnie tego nauczyła, inaczej nigdy bym nie zauważył. Najprawdopodobniej zresztą dla niej i dla mnie istotne były zupełnie inne szczegóły.

Uśmiechnęła się do mnie i czekała.

— Dzięki, że przyszedłeś — powiedziałem szczerze.

— Miło mi — odparła miękko. — Ładne biuro.

— Dziękuję. Jak interesy?

— Nie najgorzej, Vlad. Co prawda ostatnio jakoś nie miałam zleceń, ale sama też dobrze sobie radzę. A ty?

Potrząsnąłem głową.

— W czym problem? — zaniepokoiła się.

— Znowu zrobiłem się pazerny.

— Aha, już wszystko wiem: ktoś złożył ci propozycję zbyt atrakcyjną, żeby ją zignorować, tak? I okazało się, że sprawa cię przerasta. . .

— Coś w tym guście.

Pokiwała głową, lecz w tym momencie Loioosh wylądował na jej ramieniu. Podrapała go pod brodą, odnawiając znajomość, i dopiero potem powiedziała:

— Ostatnim razem, gdy się tak stało, skończyło się pojedynkiem z magiem z Domu Athyry i to w jego własnym zamku. Takie sytuacje są niezdrowe, Vlad.

— Wiem. Ale pamiętaj, że wygrałem.

— Z pomocą.

— Cóż. . . każdemu może się przydać drobna pomoc.

— Każdemu — zgodziła się. — I to, jak sądzę, jest powód twojego zaproszenia. Musi chodzić o coś dużego, bo inaczej nie chciałbyś spotkać się tutaj.

— Przenikliwa jak zawsze — uśmiechnąłem się. — Nie tylko dużego, ale i parszywego, a przede wszystkim chodzi mi o utrzymanie tajemnicy. Mam nadzieję, że nikt nie widział, jak tu weszłaś, bo nie chcę, by mnie z tobą widziano, nim nie powiem ci, o co chodzi.

— Nikt mnie nie widział — zapewniła.

Kiwnąłem głową, uznając temat za zakończony. Znałem ją i wiedziałem, że skoro tak uważa, nie ma sensu wątpić, czy tak faktycznie było.

— A co powiedzą twoi ludzie? Przecież wiedzą lub dowiedzą się, że tu przyszedłam. — Uśmiechnęła się lekko, świadoma reputacji, jaką się cieszy.

— Żaden problem. Wygadam się, że od lat jesteśmy kochankami.

Parsknęła śmiechem.

— A to pomysł! Powinniśmy o tym pomyśleć dawno temu!

Teraz ja się roześmiałem.

— A co by na to powiedzieli twoi przyjaciele? Kiera Złodziejka sypiąca z człowiekiem?! Fu. . .

— Nic by nie powiedzieli — odparła rzeczowo. — Mam przyjaciela, który chodzi „na robotę”.

— Właśnie, skoro o tym mowa. . .

— To przejdźmy do rzeczy. Jak sądzę, chcesz, żebym coś ukradła.

— Owszem. Znasz niejakiego lorda Mellara z Domu Jherega? Oficjalnie jest, zdaje się, hrabią czy księciem?

Sądząc po oczach, tym razem ja trafiłem.

— Rzeczywiście sprawa cię przerosła, Vlad. To gruby zwierz. Tak, znam go, pomogłam mu parę razy.

— Tylko nie mów mi, że ostatnio! — jęknąłem tknięty nagłym podejrzeniem.

Przyjrzała mi się pytająco, ale nie spytała, o co mi chodzi.

— Nie w ciągu ostatnich kilku miesięcy i nigdy nie było to coś wielkiego. Taka wymiana uprzejmości. . . wiesz, jak to jest.

Przytaknąłem, nie kryjąc ulgi.

— To przyjaciel albo ktoś inaczej powiązany z tobą? — upewniłem się na wszelki wypadek.

— Nie. Po prostu wyświadczyliśmy sobie kilka uprzejmości. Nie jestem mu nic winna.

— To dobrze. A mówiąc o byciu winnym. . . — położyłem na biurku sakiewkę zawierającą pięćset imperiali w złocie, której Kiera naturalnie nawet nie dotknęła.

— Co powiesz na to, żebym był ci winien kolejną uprzejmość?

— Lubię, jak masz u mnie dług. Co on ma, a ty chcesz mieć?

— Może być element ubrania, idealne byłoby kilka włosów. Cokolwiek, co od dawna miało kontakt z jego osobą.

Potrząsnęła głową z doskonale udanym smutkiem.

— Znowu bawisz się w czarownicę, Vlad?

— Starych nawyków trudno się pozbyć. Wiesz, jak to jest. . .

— Wiem. — Wstała i wzięła sakiewkę. — Dobra, nie powinno mi to zająć więcej niż dzień, najwyżej dwa.

— Nie ma pośpiechu — zełgałem uprzejmie.

Po czym wstałem i odprowadziłem ją do drzwi, żegnając ukłonem.

— Ile czasu rzeczywiście jej to zajmie? — spytał Kragar.

— Jak długo tu siedzisz?

— Niedługo.

— Niech ci będzie. . . Nie byłbym zaskoczony, gdybyśmy jutro dostali przesyłkę.

— Nieźle. Rozmawiałeś z Daymarem?

— Tak.

— I?

Streściłem mu przebieg rozmowy. Wzruszył ramionami, słysząc detale techniczne związane z rzucaniem czaru i telepatią, ale w ogólnych zarysach chyba

pojął, o co chodzi. Roześmiał się, słysząc, jak Daymar podłączył się pod rzucanie czaru.

— I co? Myślisz, że się uda? — spytał, gdy skończyłem.

— Daymar sądzi, że tak. Ja też.

Wydawał się usatysfakcjonowany tą odpowiedzią.

— W takim razie dopóki Kiera nie da znać, że ma co trzeba, nic się nie dzieje?

— spytał po chwili.

— Dokładnie.

— Dobrze. To chyba odeśpię zaległości.

— Jeszcze czego!

— A dlaczego nie, o panie?

— Robisz się równie leniwy jak Loiosh.

„Wypraszam sobie, szefie.”

„Zamknij się, Loiosh.”

„Jak sobie chcesz.”

Zebrałem kartki z informacjami o Mellarze i wręczyłem Kragarowi.

— Poczytaj sobie — poleciłem. — Jak skończysz, daj mi znać, co myślisz.

Przekartkował je i skrzywił się.

— Niewiele tego.

— Ano.

— Słuchaj, Vlad, oczy mnie bolą. Może jutro?

— Czytaj!

Westchnął rozdzierająco i zabrał się do czytania.

* * *

Kragar skończył lekturę, chrząknął i spytał:

— Wiesz, co mnie zastanawia?

— No?

— W tym gościu było coś dziwnego, odkąd dołączył do organizacji.

— Co masz na myśli?

— Za szybko piął się w górę. Wdrapał się na szczyt w ciągu ledwie dziesięciu lat. Nigdy nie słyszałem o nikim poza tobą, kto tak szybko szedłby w górę. W twoim wypadku to zrozumiałe: jesteś człowiekiem i jeśli chcesz do czegoś dojść, nie masz wiele czasu. Ale on nie ma takiej wymówki, a zobacz... Zaczął jako wykidajło w burdelu, a po roku był już jego właścicielem. Rok później miał dziesięć burdeli, a po ośmiu latach rządził większym terenem niż nasz stary szef. Rok później wykończył Teriona i zajął jego miejsce w radzie, a po roku zniknął

z kasą. To wygląda tak, jakby miał wszystko zaplanowane, zanim zrobił pierwszy ruch.

— Hmm... rozumiem, o co ci chodzi. Ale dziesięć lat to trochę długo jak na przygotowanie jednego skoku.

— Żartujesz?! Myślisz jak człowiek, Vlad. Przy dwóch, trzech tysiącach lat życia to błyskawiczne tempo.

Przytaknąłem i pogrążyłem się w intensywnych rozmyślaniach.

— Nie rozumiem, Kragar — przyznałem w końcu. — Ile zgarnął?

— Dziewięć milionów — poinformował mnie z szacunkiem Kragar.

— Właśnie. To kupa złota. Gdybym miał dziesiątą jej część w gotówce, przeszedłbym na emeryturę. Ale czy opłacało się, nawet dla takiej kwoty, rezygnować z pozycji w radzie?

Kragar otworzył usta, zastanowił się i zamknął je bez słowa.

— Na dodatek nie jest to bynajmniej jedyny sposób zostania właścicielem dziewięciu milionów sztuk złota — dodałem. — Nie jest też najlepszy, najszybszy czy najłatwiejszy. Mógł zostać wolnym strzelcem i zdobyłby je w mniej niż dziesięć lat. Mógł zrobić skok na skarbiec Smoków i zgarnąć co najmniej dwa razy tyle, nie narażając się na takie kłopoty, jakie ma w tej chwili.

— Zgadza się — przytaknął Kragar. — Myślisz, że nie chodziło mu o złoto?

— Nie do końca. Sugeruję, że mógł na gwałt potrzebować paru milionów i to był jedyny sposób, by je szybko zdobyć.

— No, nie wiem... Mnie się wydaje, że miał to wszystko zaplanowane od początku.

— Dlaczego? Odpowiedz mi dlaczego, a zgodzę się z tobą. Pomyśl logicznie: kto się stara o miejsce w radzie tylko dla pieniędzy? Przede wszystkim robi to dla władzy, a jak ma się taką władzę, to szybko można się dorobić większych pieniędzy. A nikt nie wyrzeknie się dobrowolnie takiej pozycji!

— Może mu się znudziło? Może chodziło mu tylko o to, by znaleźć się na szczycie, a potem poszukał sobie nowego wyzwania?

— Jeśli o to chodzi, to mu się w zupełności udało. Wyzwanie zostało przyjęte, a finał go mocno zaskoczył. A nie kłóci się to przypadkiem z twoją teorią, że sobie to wszystko zawczasu zaplanował?

— Chyba się kłóci... Wychodzi na to, że nie mamy wystarczającej ilości informacji. To, co robimy, to zgadywanka, nie analiza.

— Fakt. To może zabrałbyś się łaskawie do zbierania dodatkowych informacji?

— Ja?! Buty do szewca oddałem, bo mi się zelówki zdarły. Może wynajmiemy jakiegoś fagasa, niech polata za parę groszy?

Dość obrazowo powiedziałem mu, co może sobie zrobić z wynajętym fagąsem.

— No już dobrze — westchnął ciężko. — Już idę, idę. A ty co będziesz robił?

— Zajmował się pracą koncepcyjną. Na początek spróbuję wymyślić rozsądny powód, dla którego ktoś nagle decyduje się opuścić radę i to w sposób gwarantujący, że cała organizacja będzie go szukać. Mam też zamiar skontaktować się z siatką Morrolana i z naszymi informatorami. Chcę zdobyć tyle informacji, ile się tylko da, a nie zaszkodzi, jak obaj się tym zajmiemy. A potem odwiedzę lady Alierę.

Kragar był już jedną nogą za progiem, gdy wypowiedziałem ostatnie zdanie. Zatrzymał się w pół kroku.

— Kogo? — spytał z niedowierzaniem.

— Alierę e'Kieron z Domu Smoka, kuzynkę Morrolana i . . .

— Wiem, kim ona jest, tylko wydawało mi się, że się przesłyszałem. Może jak już to Cesarzową też?

— Do niej nic nie mam. A do Aliery mam parę pytań. Ona jest dobra w sprawdzaniu niektórych rzeczy. A poza tym dlaczego niby nie miałbym tego zrobić?! Od dawna jesteśmy przyjaciółmi.

— Szefie, ona jest Smokiem! Smoki uznają zabójstwo za przestępstwo, więc jak usłyszysz, że . . .

— Kragar, przestań łaskawie uważać mnie za półgłówka i całego idiotę! Co ty sobie wyobrażasz, że pójde do niej i powiem: „Słuchaj, mam zabić Mellara i chcę, żebyś pomogła mi go wystawić?” Wystarczy znaleźć jakiś niegroźny powód, by ją zainteresować Mellarem, a pomoże mi bez zadawania głupich pytań.

— Niegroźny powód, tak? Gwoli ciekawości: masz jakiś pomysł, jak go znaleźć?

— A mam — uśmiechnąłem się paskudnie. — To najprostsze pod słońcem: każe tobie go wymyślić.

— Mnie?! Ja już jestem ciężko przepracowany, nie mówiąc o tym, że muszę znaleźć nie istniejący powód, by udowodnić niewystarczającą motywację dla nieosiągalnego Jherega do zrobienia niemożliwego. Nie mogę jeszcze . . .

— Ależ możesz, możesz. Mam do ciebie pełne zaufanie w tej kwestii.

— Wypchaj się! Jak?!

— Coś wymyślisz.

Rozdział piąty

„Zbytńia spostrzegawczość bywa niebezpieczna”

Jedynym istotnym wydarzeniem, które jeszcze miało miejsce tego dnia, było przybycie kuriera od Demona. Towarzyszyła mu imponująca eskorta, czemu trudno się było dziwić, jako że przywiózł całą sumę. Teraz rzecz stała się oficjalna i nie miałem już odwrotu. Gotówkę zostawiłem pod opieką Kragara i udałem się do domu. Cawti naturalnie domyśliła się, że coś się święci, ale nie pytała. Nie miałem żadnego konkretnego powodu, by nie powiedzieć jej, o co chodzi, ale jakoś tak wyszło, że nie powiedziałem.

* * *

Następnego dnia znalazłem na biurku niewielką kopertę, a w niej kilkanaście włosów i kartkę z tekstem: „Z jego poduszki. K.”

Kartkę spaliłem i nawiązałem telepatyczny kontakt z Cawti.

„Tak, Vlad?”

„Jesteś zajęta, słonko?”

„Niespecjalnie. Trenuję rzucanie nożem.”

„A musisz?”

„Dlaczego nie?”

„Bo już wygrywasz ze mną siedem razy na dziesięć!”

„Zamierzam osiem na dziesięć. Zaniedbujesz się i takie są efekty. O co chodzi? Masz może dla mnie robotę?”

„To byłoby zbyt piękne, ale chciałbym, żebyś wpadła.”

„Zaraz?”

„Jak tylko będzie ci odpowiadało.”

„Dobrze. Zjawię się wkrótce.”

„Doskonale. Spotkamy się w laboratorium.”

„Aha” — mruknęła, rozumiejąc w czym rzecz, i przerwała kontakt.

Uprzedziłem Kragara, że przez dwie godziny nie ma mnie dla nikogo, i zszedłem do piwnicy, a konkretnie na drugi, podziemny poziom. Loiosh podróżował na moim lewym ramieniu, rozglądając się z takim zainteresowaniem, jakby był tu pierwszy raz. Albo przybył na kontrolę. Doszedłem do niewielkich żelaznych drzwi i otworzyłem zamek. W praktyce nie był żadną ochroną, w tej okolicy żaden zamek by jej nie zapewnił, lecz czymś w rodzaju wywieszki „Prywatne, nie wchodzić”. I w tej roli sprawdzał się całkiem dobrze.

Pokój był nieduży, na środku stał niski stół, na ścianach wisiła kilka kin-kietów, a w rogu stała niewielka szafka. Na środku stołu znajdował się kociołek na żar, a w nim kilka nie do końca spalonych węgli. Zapaliłem lampy, wyrzuciłem węgle do kosza i nałożyłem świeżych, wyjętych z szafki. Zapaliłem wyjętą z niej świecę, od niej odpaliłem pozostałe i pogasiłem lampy. Sprawdziłem czas — jeszcze było za wcześnie na skontaktowanie się z Daymarem, więc skontrolowałem rozmieszczenie świec i wyjąłem z szafki niezbędne elementy. Kadzidło umieściłem między węglami, resztę poukładałem na stole.

Następnie wziąłem świecę, przytknąłem ją do węgli i skoncentrowałem się. Węgle zapłonęły równym, jasnym ogniem, a pomieszczenie wypełnił aromat kadzidła. Teraz mogłem już tylko czekać.

Po paru minutach pojawiła się Cawti, witając się promiennym uśmiechem. Tak jak ja należała do rasy ludzkiej. Była filigranowa, miała czarne włosy i wdzięczne ruchy. Gdyby była Dragaerianką, mogłaby należeć do Domu Issoli i uczyć innych, co to jest wdzięk. I „zaskoczenie” także, posługiwała się bowiem zręcznie nie tylko nożami, a miała ich w odzieży wszytych kilkanaście. W oczach zawsze coś jej płonęło — albo złośliwa chęć do psot, albo spokój zawodowego zabójcy, albo też, choć na szczęście rzadko, wściekłość Smoka idącego w bój.

Cawti była jednym z najgroźniejszych zawodowych zabójców, jakich spotkałem w życiu. Wraz ze swą partnerką, usuniętą z Domu Smoka i pozbawioną tytułu lady, stanowiły niepowtarzalny duet znany jako „Miecz i Sztylet Jherega”. Może to nieco melodramatyczna nazwa, jednak reputacja była całkowicie uzasadniona, o czym miałem okazję przekonać się na własnej skórze. Pewien sąsiad w interesach wynajął je, nie oszczędzając trudów i kosztów, i Cawti udało się mnie całkiem zgrabnie zabić. To, że stan ten nie stał się trwały, zawdzięczałem czujności Kragara, szybkości i umiejętnościom Morrolana i raczej wyjątkowym uzdolnieniom Aliery w dziedzinie ożywania i leczenia.

Zdarzają się ludzie, którzy wpierv się zakochują, a potem próbują zabić. U nas było na odwrót.

Cawti była także nie najgorszą czarownicą, choć nie tak dobrą jak ja. Wyjaśniłem jej, co planuję, omówiliśmy kwestie techniczne i w tym momencie wtrącił się Loiosh:

„Szefie!”

„Tak?”

„Nie chciałbym być nachalny. . .”

„A co ci się stało?”

„. . . ale czas skontaktować się z Daymarem.”

„Już?. . . A, rzeczywiście. Dzięki, Loiosh.”

„Proszę uprzejmie, zdaje się, że tak się to mówi. . .”

Skoncentrowałem się, myśląc o Daymarze i próbując sobie przypomnieć wrażenie „czucia” jego umysłu przy kontakcie telepatycznym.

„Tak?” — usłyszałem.

Był jednym z niewielu telepatów, których głos mogłem usłyszeć. W innych wypadkach mój umysł podkładał głos znanej mi osoby pod odbierane od niej przekazy. W przypadku Daymara nie było takiej potrzeby, gdyż przekaz był znacznie silniejszy.

„Nie pokazałbyś się?” — spytałem. „Chcielibyśmy zacząć rzucanie czaru.”

„Jasne. Tylko poczekaj. . . a, już mam zamiar. Zaraz będę.”

„Poczekaj chwilę, muszę zdjąć część alarmów i zabezpieczeń, bo inaczej pół dzielnicy będzie wiedziało o twoim teleporcie.”

Poleciłem na kilka sekund zdjąć zabezpieczenia uniemożliwiające swobodne teleportowanie się do wnętrza budynku i obok stołu pojawił się Daymar. Siedział sobie ze skrzyżowanymi nogami i unosił się jakieś trzy stopy nad podłogą. Uniosłem oczy, Cawti potrząsnęła smutnie głową, a Loiosh syknął pogardliwie. Daymar wzruszył ramionami, wyprostował nogi i stanął na podłodze.

— Zapomniałeś o grzmocie i błyskawicy — powitałem go.

— Mam powtórzyć?

— Daruj sobie.

Daymar mierzył około siedmiu stóp i trzech cali i miał ostre, zdecydowane rysy członków Domu Sokoła, choć nieco łagodniejsze od tych, które widywałem u większości lordów z tego domu. Był też niewiarygodnie chudy i sprawiał wrażenie, jakby ciągle obserwował przeszłość czy wpatrywał się w głąb siebie, jego spojrzenie bowiem rzadko skupiało się na otaczającym świecie. Byliśmy przyjaciółmi od czasu, gdy omal go nie zabiłem za telepatyczne sondowanie jednego z moich pracowników. Zrobił to z czystej ciekawości i podejrzewam, że nigdy tak do końca nie zrozumiał, dlaczego mi się to nie spodobało.

— Kogo chcesz zlokalizować? — spytał.

— Jherega. Przy odrobinie szczęścia powinno nam szybko pójść. Nada się?

Wręczyłem mu mały kryształ wyjęty z szafki. Obejrzał go dokładnie, choć pojęcia nie mam, co w nim było do oglądania, i oddał mi, kiwając głową.

— Widziałem lepsze, ale może być — ocenił.

Położyłem kryształ z prawej strony kociołka, a z koperty otrzymanej od Kierry wyjąłem kilka włosów i położyłem na kopercie z lewej strony. Nie wyjąłem wszystkich na wypadek, gdyby czar się nie udał i musiałbym go powtarzać.

Rzucanie czaru i zabójstwo były do siebie podobne i diametralnie różne od magii. By użyć magii, wystarczy skorzystać z łącza z Imperialną Kulą, wziąć z niej tyle energii ile potrzeba, utoczyć ją w stosowny kształt i rzucić. By dobrze rzucić czar, należy starannie zaplanować i przygotować wszystko, by w najmniej stosownym momencie nie szukać na oślep czegoś, co akurat stało się niezbędne, i zdekoncentrować się w ten sposób.

Aromat kadzidła połączony z dymem stał się wszechobecny, więc nie było na co dłużej czekać. Stałem twarzą do stołu. Cawti zajęła miejsce po mojej prawej, Daymar po lewej i nieco z tyłu. Odprężyłem się i połączyłem mentalnie z Cawti. Kontakt fizyczny nie był nam potrzebny i to był jeden z powodów, dla których lubiłem z nią pracować. Przy tworzeniu jednego czaru mogło współpracować kilka osób — i to również różniło czary od magii. Poczułem osłabienie i wzrost swoich możliwości — dziwnie się to słyszy, a jeszcze dziwniej doświadcza.

Położyłem na węglach kilka liści — wprawdzie zasyczały, potem uniosła się z nich para. Były to duże liście z rosnącego tylko na Wschodzie drzewa heaken, wymoczone w oczyszczonej i wzmocnionej zaklęciem wodzie. Cawti zaczęła recytować tak cicho, że z trudem dało się odróżnić słowa. Kiedy liście zwinęły się i zaczęły płonąć, lewą dłonią ująłem leżące na kopercie włosy i poczułem, że czar zaczyna działać. Poznaje się to zawsze po wyostrzeniu pewnych zmysłów — w tym wypadku był to zmysł dotyku. Włosy czułem tak wyraźnie pod opuszkami palców, że mógłbym chyba odróżnić je, kierując się szczegółami. Położyłem je na płonące liście. Cawti recytowała głośniej, teraz słowa brzmiały prawie wyraźnie.

W tym momencie poczułem w mózgu nagły wzrost mocy — gdybym już zaczął rzucać czar, na pewno bym się pomylił, tak mi się zakręciło w głowie. W następnej sekundzie usłyszałem pytanie Daymara:

„Można pomóc?”

Nie odpowiedziałem, próbując zapanować nad większą dawką psychicznej energii, niż kiedykolwiek miałem do dyspozycji. Stłumiłem chęć warknięcia i obelżywego odrzucenia niewczesnej propozycji — uraziłbym go tylko i jeszcze bardziej skomplikował sobie życie. Własny gniew obserwowałem zresztą jakby z boku — jakby przytrafił się on komuś obcemu.

Każdy, najprostszy nawet czar wiąże się z pewną dozą niebezpieczeństwa, jest to bowiem kwestia zgromadzenia stosownej ilości energii w umyśle i odpowiedniego manipulowania nią, jakby była czymś zewnętrznym. Nieczęsto, ale zdarza się, że czarownica traci kontrolę nad czarem, co zawsze kończy się uszkodzeniem umysłu, a często jego zniszczeniem. Daymar nie miał o tym pojęcia, bo i skąd, i jedynie jak zwykle pomagał nieproszone.

Zacisnąłem zęby i spróbowałem wykorzystać gniew do kontroli siły, którą wspólnie stworzyliśmy, i ukierunkowania jej do rzucenia czaru. Gdzieś czułem Loiosha walczącego o utrzymanie swojej kontroli i przejęcia ładunku, z którym sam nie byłem w stanie sobie poradzić. Z Loioshem łączyła mnie tak głęboka

więź, że cokolwiek przydarzyłoby się mnie, on poczułby dokładnie te same skutki.

Więź umocniła się, przepłynęła przez nią większa ilość energii i zacząłem mieć cień nadziei, że się uda. Gdyby nie złość, byłbym przerażony, a tak wściekłość zablokowała strach i udało mi się pozostać we względnej równowadze psychicznej. Czas rozciągnął się w obu kierunkach. Słyszałem Cawti recytującą jakby z wielkiej odległości, ale stałym rytmem. Wiedziałem, że musiała poczuć, co się dzieje, i że stara się pomóc. Wiedziałem też, że muszę tę energię ukierunkować w czar, bo inaczej znajdzie ujście w inny sposób. I wiedziałem też, że jeśli Loio-showi coś się stanie, Daymar jest trupem.

Loioish robił co mógł — czułem jego wysiłki, by przyjąć i kontrolować jak największą dawkę energii. Dlatego właśnie czarownice mają familiary. Sądzę, że tym razem mój uratował mnie. Poczułem, że odzyskuję kontrolę, i zwalczyłem pokusę, by przyspieszyć następny etap, byle szybciej uwolnić energię. Nikt rozsądny nie przyspiesza niczego, rzucając czar.

Włosy zaczęły się palić, dodając swoją część do unoszącego się dymu i pary. Powinny nadal mieć połączenie z właścicielem, toteż skupiłem się, by odszukać je i wykorzystać do dotarcia do celu. Uniosłem ręce, obejmując szarobiały dym, i poczułem ruch energii: od siebie do Daymara, Loiosha, Cawti i znów do mnie. Pozwoliłem jej płynąć, póki dym nie przestał się unosić, co było pierwszym widocznym objawem czaru. Powoli zbliżyłem dłonie, zagęszczając dym przed swoją twarzą, i pchnąłem tam całą dotąd utrzymywaną w umyśle energię. . .

Usłyszałem rozkaz „Do szarzy” i pięć tysięcy Smoków zaatakowało okopane siły ludzi. . . kochałem się z Cawti pierwszy raz, zastanawiając się, czy zabije mnie, nim skończymy, i uświadamiając sobie, że jest mi to obojętne. . . Dzurbohater wchodzący samotnie na górę Dzur na spotkanie Sethry Lavode, która stanęła przed nim z ostrzem o imieniu Iceflame w dłoni. . . Mała dziewczynka o wielkich brązowych oczach uśmiechnęła się do mnie. . . Wiązka energii przypominająca czarną błyskawicę nadlatywała i uderzyłem w nią Spellbreakerem, zastanawiając się, czy zadziała. . . Alera stojąca przed cieniem Kieronu Zdobywcy w Przedsionku Sądu na Ścieżkach Umarłych poza Bramą Śmierci. . .

I w tym momencie miałem także w umyśle wszystko, co wiedziałem o Mel-larze, miałem też złość na Daymara, a nade wszystko zaś miałem swoją nadzieję i pragnienia. Za ich pomocą sięgnąłem przez dym, poza dym i w dym ku temu, który był z nim związany.

Cawti ani na moment nie przerwała recytacji, choć słów nadal nie mogłem zrozumieć. Loioish stanowił część mnie i cały czas polował, szukając ofiary. A Daymar, równocześnie odległy i stanowiący część nas, jaśniał niby latarnia, której światło złapałem, ukształtowałem i wepchnąłem. . .

Poczułem odzew. Powoli w dymie zaczął tworzyć się obraz, który zasiląłem stopniowo energią, zmuszając się do ignorowania twarzy, która się formowała, gdyż w tym momencie była ona bez znaczenia, a mogła mnie zdekoncentrować.

I jeszcze... wolniej... opuściłem... prawą... rękę... i... zacząłem... zwalniać... kontrolę... nad... czarem...

Loiosh przejmował ją fragment po fragmencie, aż przejął całkowicie i utrzymał. Moim największym wrogiem stało się zmęczenie, któremu nie mogłem się w żaden sposób poddać... Dopiero gdy Loiosh przejął pełną kontrolę, pozwoliłem sobie spojrzeć na wizerunek uformowany w dymie, równocześnie prawą dłonią łapiąc kryształ. Obraz przedstawiał twarz mężczyzny w średnim wieku, o rysach zbliżonych do rysów przedstawicieli Domu Dzura. Ostrożnie uniosłem kryształ, aż znalazł się na poziomie moich oczu, wstrzymałem oddech i wymówiłem polecenie.

Wizerunek nie drgnął — Loiosh okazał się naprawdę pojętym uczniem. Cawti zaprzestała recytacji — zrobiła, co do niej należało, i teraz tylko dawała mi energię potrzebną na dokończenie czaru. Zamknąłem lewe oko, przez co obraz widziany przez kryształ nieco się rozmył, ale pozostał i tak wystarczająco wyraźny, by dało się go zidentyfikować.

Jeszcze chwila pełnej koncentracji... pełne wykorzystanie dostępnej energii... i wypaliłem wizerunek w kryształ. Przez moment na prawe oko nic nie widziałem i z lekka zakręciło mi się w głowie, lecz zdołałem odstawić kryształ bezpiecznie na blat.

Usłyszałem westchnienie ulgi i poczułem, jak Cawti odpręża się. Zatoczyłem się na ścianę, a Loiosh oklapł na mojej szyi. Usłyszałem głośne westchnienie Daymara.

Kryształ stał się mlecznobiały i wiedziałem, nie sprawdzając, że bez trudu da się usunąć ten opar, jedynie koncentrując się — i wtedy pojawił się w nim twarz Mellara. Co ważniejsze — między nim i kryształem istniała teraz więź i to tego rodzaju, że praktycznie niemożliwe było, by ją wykrył. Skinąłem głową Cawti, wyrażając jej swe uznanie, i przez kilka minut po prostu staliśmy, nic nie robiąc i odzyskując siły.

Potem zająłem się gaszeniem świec, a Cawti zapalaniem lamp. Otworzyłem wywietrznik, wypuszczając dym i aromat kadzidła, które przestało miło pachnieć, za to przylepiało się nachalnie do wszystkiego. Pokój pojaśniał. Rozejrzałem się wokół. Daymar miał nieobecny wyraz twarzy, Cawti zaś była zarumieniona i zmęczona. Miałem ochotę na wino, ale nawet wydanie telepatycznego polecenia komuś na górze wydało mi się zbyt dużym wysiłkiem.

— Cóż... — oznajmiłem wszystkim obecnym — wygląda na to, że przed czarami się nie zabezpieczył.

Daymar jakby się ocknął.

— To było nader interesujące, Vlad. Dzięki, że pozwoliłeś mi się przyłączyć.

Dopiero w tym momencie zrozumiałem, że nadal nie ma pojęcia, iż omal nie zniszczył mnie swoją „pomocą”. Miałem ochotę poinformować go o tym szczególnie raczej dobitnie, ale nie chciało mi się — postanowiłem załatwić sprawę przy

następnej okazji, gdyby znalazł się w pobliżu, gdy będę rzucał czar. Podałem mu kryształ — wziął go, przyjrzał mu się przez kilka sekund i kiwnął głową.

— Możesz dzięki temu go zlokalizować?

— Myślę, że tak. Przynajmniej spróbuję. Na kiedy potrzebujesz tę informację?

— Na wczoraj. Czyli tak szybko jak zdołasz.

— Jasne. A tak na marginesie, dlaczego go szukasz?

— A dlaczego chcesz wiedzieć?

— Zwykła ciekawość.

To idealnie do niego pasowało, ale i tak wolałem mu nie mówić.

— Wolałbym nie wnikać w szczegóły, jeśli nie masz nic przeciwko temu — zaproponowałem.

— Jak sobie chcesz. W każdym razie, jeśli się dowiem, że jest martwy, to się nie zdziwię.

— Daymar...

— Przecież nic nie mówię. Dam ci znać, jak go znajdę. To nie powinno potrwać dłużej jak dzień albo dwa...

— Dobra, wtedy się zobaczymy... albo możesz przekazać informacje Kragarowi, jeśli wolisz.

— Jasne — skinął głową i zniknął.

Zmusiłem nogi do współpracy i odlepiłem się od ściany. Zgasilem lampy, pomogłem Cawti wyjść i zamknąłem drzwi.

— Lepiej coś zjedzmy — zaproponowałem.

— Może być. Potem kąpiel i dwadzieścia lat snu.

— Chciałbym mieć czas na ostatnie dwa punkty programu, ale obawiam się, że będę musiał wracać do roboty.

— Doskonale: wyśpię się za ciebie.

— To cholernie miłe z twojej strony.

Podpierając się wzajemnie niczym para pijaków, wspięliśmy się powoli na schody. Loioshowi to w niczym nie przeszkadzało — spał zwinięty wokół mojej szyi.

Rozdział szósty

*„Prawdziwe bohaterstwo wymaga starannego planowania
i jeszcze staranniejszego unikania”*

Zjedliśmy z Cawti obiad w jednej z restauracji, w której mam udziały. Zrobiliśmy to wolno i metodycznie, rozkoszując się wracającymi siłami. Fizyczne zmęczenie towarzyszące posługiwaniu się czarami mija szybko, ale psychiczne jest silniejsze i bardziej długotrwałe — dopiero w połowie posiłku mogłem uznać, że odpocząłem i czuję się nie najgorzej. Z drugiej strony nadal jeszcze uważałem kontakt telepatyczny za zbyt męczący i miałem nadzieję, że nikt go w najbliższym czasie ze mną nie nawiąże.

Posiłek zjedliśmy w milczeniu, ciesząc się własnym towarzystwem, i dopiero gdy skończyliśmy, Cawti spytała:

— Więc wracasz do pracy, a ja mam siedzieć w domu i uświerknąć z nudów.

— Jakoś nie wyglądasz na uświerkniętą — oceniłem, na wszelki wypadek sprawdzając. — I nie przypominam sobie, żebyś w zeszłym miesiącu prosiła o pomoc.

— Hmm. . . bo jej nie potrzebowałam: tamto było drobnostką, a to wygląda mi na duże zlecenie. Tak na marginesie, rozpoznałam cel i mam nadzieję, że uczciwie ci za niego zapłacili.

Powiedziałem jej, ile mi zapłacili.

— Uczciwie — oceniła. — A kto ma coś do niego?

Na wszelki wypadek rozejrzałem się — nie lubię rozmawiać o sprawach zawodowych w takich miejscach, ale Cawti zasługiwała na rzeczową odpowiedź.

— Cały Dom Jherega albo wszyscy, którzy już wiedzą co zmalował. Reszta będzie się przyłączać, jak się dowie.

— A co zrobił? Przecież nie zaczął mówić?!

— Nie. Za to prysnął z dziewięcioma milionami funduszu operacyjnego rady.

Tym razem ją zaskoczyłem. Przez naprawdę długą chwilę przetrawiała tę rewelację, nim spytała:

— Kiedy to się stało?

— Trzy dni temu. Skontaktował się ze mną Demon. Osobiście.

— No proszę! Jesteś pewien, że nie wpackowałeś się w coś, z czym sobie nie dasz rady?

— Nie jestem — odparłem radośnie.

— Mój mąż, optymista. Cóż... jak cię znam, to zlecenie już przyjąłeś.

— Oczywiście. Nie trudziłbym się, żeby go znaleźć, gdyby było inaczej, prawda?

— Prawda. Tak tylko miałam nadzieję...

Loiosh obudził się, rozejrzał z zaciekawieniem i zlął z mojego ramienia, zajmując się natychmiast nie ogryzionymi żeberkami toalmotha na moim talerzu.

— Wiesz, dlaczego zaproponował ci to zlecenie? — spytała Cawti, nagle zaniepokojona.

Widziałem, że zaczyna mieć te same skojarzenia co ja podczas rozmowy z Demonem.

— Wiem i ma to sens — streściłem jej tok myślowy Demona.

Wydała się usatysfakcjonowana.

— A nie myślałeś, żeby kogoś podnająć?

— Nie, jestem zbyt chciwy. Jeśli kogoś podnajmę, to nie będę w stanie zbudować ci zamku.

Zachichotała, gdy się uspokoiła, spytałem:

— A bo co? Chciałybyście się nim zająć z Norathar?

— Niespecjalnie, to wygląda na zbyt niebezpieczne zadanie. A poza tym ona przeszła na emeryturę. No i jeszcze jedno: nie stać by cię było na nas.

Roześmiałem się i uniosłem kielich w milczącym toaście. Loiosh skończył oczyszczać kości na moim talerzu i zabrał się do gnatów na talerzu Cawti.

— Pewnie masz rację — przyznałem. — Będę więc musiał jakoś sobie radzić.

Uśmiechnęła się, ale szybko spoważniała.

— Prawdę mówiąc, Vlad, takie zlecenie to zaszczyt.

Przytaknąłem również poważnie.

— Sądzę, że do pewnego stopnia tak. Pamiętaj jednak, że Demon jest przekonany, iż Mellar prysnął na Wschód, i to był główny powód wybrania mnie. W tamtym rejonie rzeczywiście jestem w stanie operować swobodniej, a więc skuteczniej niż Dragaerianin. Skoro ty przeszłaś na wymuszoną emeryturę, nie zostało aż tak dużo ludzi zajmujących się „robotą”, żeby mógł być wybredny.

Zamyśliła się, nim spytała:

— A dlaczego sądzi, że Mellar jest na Wschodzie?

Wyjaśniłem, co mu nasunęło ten pomysł.

— Na swój sposób to ma sens — przyznała. — Ale jak sam powiedziałeś, wyróżniałby się tam naprawdę mocno, i wątpię, by nie zdawał sobie z tego sprawy. A musi wiedzieć, że Dom Jherega za nim ruszy, nie jest przecież naiwnym idiotą!

— Tym niemniej mam ochotę sprawdzić, czy go tam nie ma. Jeśli Daymar go nie znajdzie, skontaktuję się z przyjaciółmi, których tam mam; nic nie szkodzi

sprawdzić teorię Demona.

— Sądzę, że nie, ale trochę nieswojo mi się robi, gdy pomyślę, ile czasu on musiał to wszystko planować. . . gdybyśmy mogli to sprawdzić, mielibyśmy choć wyobrażenie tym, jak trudno będzie go znaleźć.

— Mnie się wydaje, że to było działanie pod wpływem chwili, ale Kragar uważa, że planował to od momentu, w którym dołączył do Domu Jherega.

— Jeśli Kragar ma rację, to kryjówkę wybrał zawczasu i to niezwykle starannie. Aż dziw, że nie zabezpieczył się też przed czarami. Ustawienie bloku nie jest aż tak trudne, a skoro załatwił sobie blokadę antymagiczną. . . A z drugiej strony, jeśli tak długo to planował, a nie pomyślał o takiej możliwości jak wysłedzenie czarem, to oznacza, że Demon przecenia jego możliwości i pomysłowość.

— O co dokładnie ci chodzi?

— Mając dziesięć lat, nie znalazłbyś sposobu na permanentny blok uniemożliwiający wysłedzenie cię za pomocą magii i to taki, by nawet najlepsza adeptka nie zdołała go przełamać, obojętne ile miałyby czasu i jakimi dysponowałyby możliwościami?

Zastanowiło mnie to, jako że pytanie było celne.

— Pamiętaj, że zawsze łatwiej jest rozbić blok, niż go ustawić, bo tak zawsze jest z magią. Wątpię, czy nawet w teorii można postawić taki blok, o jakim mówisz, a Demon na pewno wynajął najlepszych magów. Może Sethra Lavode potrafiłaby stworzyć taką blokadę, ale nie wydaje mi się, by ktokolwiek inny był w stanie. . .

— To dlaczego żaden z magów jeszcze go nie znalazł?

— Odległość. Najskuteczniejsze utrudnienie. Zanim da się przełamać taki blok, trzeba wiedzieć, w którym rejonie skoncentrować wysiłki, a to wymaga czasu. Nawet zwykły teleport jest trudny do prześledzenia, jeśli ktoś teleportuje się wystarczająco daleko. Dlatego Demon obstawia Wschód, bo rzeczywiście, jeśli Mellara tam się zaszył, to używając standardowej magii śledzącej, można by go szukać przez lata.

— Może masz rację. . . ale niepokoi mnie ta sytuacja.

— Mnie też, i to jeszcze z innego powodu.

— Jakiego?

— Czas. Demon chce załatwić sprawę znacznie szybciej, niż ja mam zwyczaj pracować nad zleceniem. Sprowadza się to do prostego faktu: muszę załatwić Mellara, zanim zbyt głośno zrobi się na jego temat. A to ostatnie może zdarzyć się łąda dzień.

Cawti potrząsnęła głową.

— Dlaczego przyjąłeś zlecenie z ograniczeniem czasowym?! Nigdy nie słyzałam o podobnym warunku.

— Ja też nie. A przyjąłem go, bo był to warunek poza wszelką dyskusją. Zresztą nie jest to ograniczenie czasowe w sensie dosłownym, choć może się takim stać

w przyszłości. Chwilowo oznacza po prostu, że muszę się spieszyć.

— Też niedobrze. Pośpiech powoduje błędy, a na to nie możesz sobie pozwolić.

— Z drugiej strony trzeba zrozumieć Demona — dodałem. — To nie jego fanaberia, lecz konieczność. Bo jeśli nie dopadnie go, nim sprawa nabierze rozgłosu, szlag trafi reputację całej rady Domu Jherega. Ich fundusze przestaną być bezpieczne. . . zobacz, właśnie zostawiłem w biurze sześćdziesiąt pięć tysięcy sztuk złota i zapomniałem o nich, wiedząc, że są bezpieczne, bo żaden samobójca ich nie ruszy. Jeśli to się zmieni. . . I jeszcze jedno: uprzedził mnie otwarcie, że jeśli ktoś z jego ludzi znajdzie Mellara wcześniej, nie będzie na mnie czekał.

— A to akurat nie problem. Pieniądze i tak już dostałeś.

— Z zapłatą to nie problem, ale jeśli ktoś dotrze na tyle blisko celu, że spróbuje na takich warunkach, czyli zupełnie żywiołowo, z pewnością nie będzie to zawodowiec, nawet i słaby. Bo żaden, nawet najgorszy zabójca nie pójdzie na całkowitą improwizację. Jest więc wysoce prawdopodobne, że spieprzy robotę, a ja będę musiał zająć się zaalarmowanym Mellarem, co mi nie ułatwi życia. Pewnie, zawsze istnieje szansa, że ten pierwszy raz się powiedzie i że mu się uda, ale ja na to nie liczę: nie mam zaufania do amatorów.

— Rozumiem problem. . . i zaczynam rozumieć, dlaczego tyle zaproponowałeś. Wstałem, widząc, że Loiosh skończył ogryzać drugi zestaw żeberek.

— Lepiej chodźmy — zaproponowałem. — Szkoda byłoby zmarnować resztę dnia.

Loiosh znalazł serwetkę i starannie obtarł sobie pysk, nim ułożył się na moim ramieniu. Naturalnie nie zapłaciłem, bo i niby z jakiej racji, ale zostawiłem solidny napiwek.

Cawti odruchowo wyszła na ulicę sekundę przede mną, rozejrzała się i dała mi znak. Dopiero wtedy pojawiłem się w drzwiach. Nie tak dawno temu ten środek ostrożności uratował mi życie — Loiosh, jakkolwiek by było, nie mógł być wszędzie równocześnie.

Bez niespodzianek dotarliśmy do biura.

Pocałowałem ją na pożegnanie i wszedłem do środka, ona skierowała się na schody prowadzące do mieszkania. Kiedy zająłem się bieżącymi sprawami, zauważyłem z satysfakcją, że Kragar znalazł sprawcę pobicia i za jedyne czterysta sztuk złota wykonał moje polecenie, robiąc z niego przykładową ofiarę staranego pobicia. Zniszczyłem notatkę i zająłem się propozycją otwarcia następnego salonu gry wysuniętą przez jednego z podwładnych, który chciał sobie zwiększyć dochody. Sam tak zaczynałem, więc miałem sporo sympatii do podobnych inicjatyw.

— Nie rób tego, Vlad.

— Czego. . . Kragar, w końcu się doigrasz! O co ci chodzi?

— Daj mu jeszcze rok, niech udowodni, ile jest wart. Na takie zaufanie jest za świeży. Poza tym odmeldował się Daymar.

— I co?

Kragar potrząsnął smętnie głową.

— Nie znalazł go? A może zmienił zdanie i nie chce nam pomóc?

— Nie o to chodzi. Znalazł Mellara i to nawet bez specjalnych problemów.

— No to o co chodzi?

— Nie spodoba ci się to...

— Nie męcz, tylko gadaj!

— Demon się mylił: Mellar wcale nie ukrył się na Wschodzie.

— Tak? A gdzie?

Kragar zapadł się w sobie i dopiero potem wykrztusił niechętnie:

— Jest w Czarnym Zamku.

Powoli docierała do mnie treść tego krótkiego zdania.

— O, sukinsyn! — oceniłem z wymuszonym uznaniem. — Cwanizna, nie ma co!

* * *

Dragaerianie mają naprawdę długą pamięć.

Imperium istnieje, z tego co wiem, dwieście, dwieście pięćdziesiąt tysięcy lat. Od utworzenia Imperialnej Kuli każdy z siedemnastu domów utrzymuje własne archiwum, a Dom Lyorna prowadzi archiwum centralne, niezależne od żadnego z nich.

Ponieważ ojciec się uparł, znałem historię Domu Jherega przynajmniej tak dobrze jak każdy, kto należał doń z urodzenia. Wiedziałem też, że archiwum Domu Jherega jest nieco mniej obszerne niż inne archiwa, jako że każdy, kto miał dość władzy czy złota, mógł znaleźć do niego doście i nie tylko usunąć, lecz także dodać, co mu się podobało. Były jednak pewne wydarzenia na tyle ważne czy znane, że wzmianek o nich nie dało się usunąć.

Jedno z nich miało miejsce prawie dziesięć tysięcy lat temu, prawie pełen cykl przed Bezkrólewem. Tron i Kula należały wówczas do Domu Athyry. Z nie znanych nam już powodów pewien Jhereg zdecydował, że należy usunąć innego Jherega. Wynajął zabójcę, który wyszedł, iż ofiara przebywa w zamku lorda z Domu Smoka. Gdyby rzecz miała miejsce obecnie, to zgodnie z długoletnią i całkiem rozsądną tradycją byłby bezpieczny tak długo, jak przebywałby w jego progach — zupełnie jakby znajdował się we własnym domu. Naturalnie nikt nie może wiecznie ukrywać się w jednym domu i byłby martwy w chwili, w której

zrobiłby krok za próg czy też teleportował się dokądkolwiek. Zresztą najczęściej nikt tego nie próbuje, a to z tego prostego powodu, że nie wie, iż stał się celem zawodowca. A gdy się dowiaduje, jest już za późno.

Jakkolwiek było, w tamtym przypadku zabójca wiedział, że w domu kogoś neutralnego nie może zastosować magii śledzącej, gdyż gospodarz dowiedziałby się o tym i najprawdopodobniej poczułby się tym urażony, co nie byłoby dobre dla nikogo.

Nie istniał jednakowoż żaden zwyczaj zostawiania kogoś w spokoju jedynie dlatego, że przebywa w domu przyjaciela. Zabójca odczekał, by się upewnić, że cel nie zamierza szybko opuścić gościnnego domostwa, wszedł do środka przez nikogo nie niepokojony i załatwił sprawę.

A potem rozpętało się piekło.

Najwyraźniej Smokom nie spodobało się, że ktoś wykonał uczciwą robotę na ich gościu, i zażądali przeprosin od Domu Jherega. Otrzymali je. Potem zażądali głowy zabójcy i otrzymali głowę posłańca, który przyniósł roszczenie. Dom Jherega uznał bowiem rozsądnie, że obelga nie była aż tak wielka — w końcu nie zrobiono niczego, by uniemożliwić przywrócenie ofiary do życia, a przy okazji przesłano Smokom wiadomość.

Dom Smoka wiadomość otrzymał i wysłał własną. W jakiś sposób dowiedzieli się, kto zawierał kontrakt, i dzień po odesłaniu głowy posłańca przeprowadzili regularny najazd na dom jegomościa.

Zabili go wraz z całą rodziną, a dom spalili, podobnie jak ciała. Dwa dni później Smok przewidziany na następcę tronu został znaleziony przy bramie Cesarzskiego Pałacu z sześciocalowym gwoździem w głowie.

Następnego dnia zostały zaatakowane cztery bary przy Lower Kieron Road — wszystkie należały do Domu Jherega i na piętrach miały salony gry. Spalono je, a wielu gości i wszyscy należący do Domu Jherega zostali zabici. Kilku bronią Morgantich.

Dzień później zniknęła Warlord. Jej kawałki znajdowano przez kilka kolejnych dni w rezydencjach lordów Domu Smoka, który oficjalnie ogłosił, że zamierza wyrznąć członków Domu Jherega do ostatniego. Dom Jherega w odpowiedzi rozesłał zabójców za każdym oficerem dowodzącym oddziałem liczącym ponad tysiąc ludzi.

Ród e’Kieronów został wybity niemal w pień. Przez długi czas sądzono, że także ród e’Baritt został wybity w wyniku wojny trwającej jakieś sześć miesięcy. W końcu Cesarz zdołał zmusić obie strony do negocjacji i do zaakceptowania traktatu pokojowego. Sytuacja uległa przez te pół roku poważnym zmianom, jako że najlepsi taktycy i wojownicy Domu Smoka byli martwi, a Dom Jherega prawie wypadł z interesu.

W ostatecznym rozrachunku Dom Smoka wyszedł na tej wojnie lepiej, co nie znaczy, że dobrze, o czym świadczyło to, że nie chępniono się sukcesem i to mimo

iż Dom Smoka zbliżał się do szczytu cyklu, a Dom Jherega do najniższej pozycji. Szczęśliwie rządy Domu Athyry były długie, a Domu Feniksa jeszcze dłuższe. Kiedy Dom Smoka przejął tron i Kulę, Dom Jherega był już na tyle silny, że nie udałoby się go zniszczyć bez kolejnej wojny, na którą nikt nie miał ochoty. I tak jednak potrzebował prawie połowy cyklu, czyli ładnych paru tysięcy lat, by powrócić do stabilizacji i poprzedniej pozycji.

Od czasu tej wojny tradycją stało się, że żaden Smok nie udzielał w swym domu schronienia Jheregowi, a żaden Jhereg nie próbował wykonać najprostszej nawet „roboty” w domu Smoka. I wszystko to pięknie pasowało przez lata. Obecny problem polegał na tym, że Czarny Zamek stanowił dom lorda Morrolana e’Driena z Domu Smoka.

* * *

— Uważasz, że jak on tego dokonał? — spytał Kragar.

— A skąd, do cholery, mam to wiedzieć?! Znalazł jakiś sposób, by podstępem czy oszustwem wyciągnąć od Morrolana zaproszenie, to akurat nie ulega wątpliwości. Bo nie ulega także wątpliwości, że Morrolan byłby ostatnią osobą świadomie dającą schronienie ściganemu Jheregowi.

— Myślisz, że go wyrzuci, gdy się dowie, że został wprowadzony w błąd?

— To zależy, jak Mellar go podszedł. Jeśli Morrolan go zaprosił, to w życiu nie zgodzi się ani na to, by coś mu się stało, ani nie wyrzuci go przed końcem wizyty. Zrobiłby to jedynie wtedy, gdyby Mellar wśliznął się tam nie zaproszony, a na to nasz zbieg jest za cwany.

Kragar pokiwał głową i pogрузił się w ponurych rozważaniach.

— Cóż... — powiedział w końcu. — Wiecznie tam nie pozostanie.

— I nie musi. Musi tylko posiedzieć na tyle długo, by wyrobić sobie nową tożsamość i znaleźć nową kryjówkę, a my nie możemy pozwolić sobie na tak długie czekanie. Mamy ledwie kilka dni, dopóki prawda nie wyjdzie na jaw i sprawa nie zrobi się naprawdę śmierzcząca.

— Myślisz, że da się otoczyć zamek siecią śledzącą? Przynajmniej będziemy wiedzieli, kiedy go opuści.

— Wątpię, by Morrolan miał coś przeciwko temu — wzruszyłem ramionami.

— Może nawet sam to zrobić, jeśli będzie tak wyprowadzony z równowagi, jak podejrzewam. Co w niczym nie zmienia faktu, że mamy problem z czasem.

— Nie sądzę — zaczął Kragar powoli — by to, że Morrolan jest twoim przyjacielem, miało jakieś znaczenie choćby ten jeden raz... .

— Nawet nie spróbuję go zapytać, chyba że sytuacja stanie się naprawdę kry-

tyczna. Ale sądzę, że to nic nie da: lordem w Domu Smoka został znacznie wcześniej niż moim przyjacielem.

— A nie dałoby się tego tak zorganizować, żeby wyglądało na wypadek?

To akurat nie był najgłupszy pomysł, więc rozważyłem go starannie.

— Nie, i to z kilku powodów — odparłem w końcu. — Demon chce, żeby wszyscy wiedzieli, że to Jhereg go zabił, i dlatego właśnie zlecił mi tę „robotę”. Po drugie, wątpię, by to się udało: pamiętaj, że mamy uniemożliwić ożywienie go. Według zasad Morrolana mogę go zabić, ile razy chcę, bylebym dopilnował, że da się go przywrócić do życia. W Czarnym Zamku codziennie ginie kilka lub kilkanaście osób, ale jak dotąd ani jedna nie umarła tam ostatecznie. A nie ma sensu organizowanie wypadku, który nie da zamierzonego efektu. A taki, który dałby pożądany skutek, wyda się podejrzany, bo niby co: potknął się i upadł na nóż Morgantich? Siekiera w wychodku urwała się od smrodu i przypadkiem ucięła mu łeb? Zresztą gdyby nawet udało mi się zorganizować coś wiarygodnego, jestem spokojny o to, że Morrolan przeprowadzi naprawdę dokładne dochodzenie, bo jest dumny ze swego osiągnięcia — mam na myśli poziom bezpieczeństwa gości — i potraktuje rzecz osobiście, jeśli ktoś tam zginie ostatecznie... Widzisz, Czarny Zamek to naprawdę dziwne miejsce... Wiesz, ile tam się codziennie odbywa pojedynków? I wszystkie według tych samych zasad: żadnych ciosów w głowę i przywrócenie do życia zaraz po walce. Morrolan wszystko sprawdza osobiście, toteż jeśli Mellar będzie miał wypadek, prawie na pewno dojdzie prawdy.

— Rozumiem. Przekonałeś mnie.

— Jeszcze jeden drobiazg: chcę, żebyś w tej sprawie nie miał złudzeń. Otóż uważam Morrolana za przyjaciela i jeśli będę mógł cokolwiek uczynić, nie pozwolę go skrzywdzić. Jestem mu to winien.

„Trujesz, szefie.”

„Zamknij się, Loiosh. Zresztą już skończyłem.”

Kragar wzruszył wymownie ramionami.

— Przecież powiedziałem, że mnie przekonałeś. W takim razie co możemy zrobić?

— Nie wiem, muszę się zastanowić. Jak będziesz miał jeszcze jakieś pomysły, daj mi znać.

— Pewnie że tak zrobię. Ktoś tu musi myśleć, co przypomniało mi właśnie... .

— Tak?

— Że teraz masz powód do porozmawiania z lady Alierą. W końcu jest kuzynką Morrolana i mieszka u niego, z tego co słyszałem. A z tego co o niej wiem, nie będzie zachwycona, że kuzyno dał się wykorzystać Jheregowi. Jeśli dobrze to rozegramy, możemy zyskać w niej sprzymierzeńca.

Zacząłem intensywniej myśleć, podrzucając przy tym jeden z noży, co znacznie ułatwiało mi pracę umysłową.

— Nieźle — oceniłem. — W takim razie najważniejsze jest teraz spotkanie z nią i z Morrolanem.

Kragar potrząsnął smętnie głową.

— Coś tu jest nie tak: najpierw czary, teraz Alera. . . przecież to ja to wszystko wymyśliłem, a miało być na odwrót. Co ty byś beze mnie zrobił? Skleroza w tak młodym wieku?!

— Byłbym martwy dawno temu. Chcesz to jeszcze jakoś skomentować?

— Po co? Nie kopię leżącego, bo może wstać — roześmiał się i sam wstał. — Co teraz?

— Zawiadam Morrolana, że zjawię się, aby się z nim zobaczyć.

— Kiedy?

— Natychmiast. I sprowadź tu jakiegoś maga, żeby mnie teleportował. Czuję się tak, że i bez magii mogę rzygać.

Kragar wyszedł, potrząsając smętnie głową.

A ja schowałem nóż i wstałem. Loiosh usiadł mi na ramieniu i obaj podeszliśmy do okna. Ulica była średnio zatłoczona, gdyż w tej okolicy dopiero po zmroku rozkwita życie. A o zmroku będę już w Czarnym Zamku, czyli jakieś dwieście mil na północny zachód.

Morrolan będzie wściekły, gdy się o wszystkim dowie, a niestety lord z Domu Smoka w przeciwieństwie do Dzura-bohatera staje się w takich razach nieprzewidywalnym osobnikiem.

„To się może skończyć naprawdę paskudnie, szefie” — ocenił Loiosh.

„Wiem.”

Rozdział siódmy

*„Do wściekłego Smoka zawsze
należy zwracać się uprzejmie”*

Lata temu, gdy pierwszy raz usłyszałem o Czarnym Zamku, poczułem pogardę. Po pierwsze, czerni od setek tysięcy lat jest na Dragaerze barwą magii, więc w nazwie czyjegoś domu brzmi głupio. Po drugie, zamek ów unosi się w powietrzu, co jest tak pretensjonalne, jak i niebezpieczne, tym bardziej że od ziemi dzieli go dobra mila. Obecnie jest to jedyna powietrzna budowla, choć przed Bezkrólewem było ich sporo. Powodem, dla którego wyszły z użycia, było właśnie Bezkrólewie — pewnego pięknego dnia ponad czterysta lat temu magia po prostu przestała działać i wszystkie budynki spadły. Jak się dobrze porozglądać po polach, to nadal można znaleźć ich ruiny i potrzaskane resztki.

Lord Morrolan e’Drien urodził się w czasie Bezkrólewia. Aż do jego kresu przebywał na Wschodzie, studiując czary i wiedzę czarnoksięską. W czasie, w którym ludzie skorzystali z zaniku dragaeriańskiej magii i dla odmiany najechali Imperium, Morrolan cicho i spokojnie zwiększał swą wiedzę, umiejętności i władzę.

A kiedy Zerika z Domu Feniksa wyszła ze Ścieżek Umarłych, ściskając Kulę w swoich chciwych rączkach, był już na miejscu, by pomóc jej po trupach dotrzeć do tronu. Potem udowodnił, że jest niezbędny, by odeprzeć inwazję ludzi i zwalczyć plagi, które pozostawili jako pamiątki swych odwiedzin.

Wszystko to sprawiło, że był zdecydowanie tolerancyjniej nastawiony do ludzi niż przeciętny Dragaerianin, a zwłaszcza lord i to tym bardziej z Domu Smoka. I częściowo dlatego stałem się jego pracownikiem, po tym jak omal się nie pozabijaliśmy podczas pierwszego spotkania. Był to efekt niewielkiego nieporozumienia, jak to potem określiliśmy.

Stopniowo zaczynałem rozumieć, skąd się wziął pomysł Czarnego Zaniku, i zacząłem doceniać pomysłodawcę. Jego zresztą i tak nic a nic by nie obeszło, gdyby poznał moją opinię. Zrozumiałem też, dlaczego zamek musiał się tak a nie inaczej nazywać.

Lordowie z Domu Smoka, zwłaszcza młodzi (a Morrolan nie miał jeszcze czterystu lat), miewają skłonność do wariactw, a nigdy nie liczą się z opinią publiczną. Morrolan chciał mieć latający dom, więc go sobie zmagistrował, a nazwał go tak świadomie. Wiedział, że od czasu do czasu trafi się prześmiewca — nadal się zresztą trafiał, choć coraz rzadziej — więc będzie mieć okazję wyzwać takiego i ubić z dużą przyjemnością w pojedynku.

Lord Morrolan z Domu Smoka był też jednym z niewielu arystokratów w pełni zasługujących na swój tytuł. Miał bowiem większość cech, których oczekuje się po lordzie — był uprzejmy, dobry i honorowy. Był też jednym z bardziej żądnych krwi i pozbawionych skrupułów sukinsynów, jakich w życiu spotkałem. Ale tylko czasami.

* * *

W Czarnym Zamku powitała mnie jak zwykle lady Teldra z Domu Issoli. Nie mam pojęcia, ile Morrolan jej płacił za robienie w charakterze komitetu powitalnego, ale zarabiała te pieniądze uczciwie. Wysoka, piękna i elegancka zdawała się płynąć, nie iść, z wdziękiem prawdziwej issoli. Do tego była odprężona, pewna siebie i tak doskonale grała zachwyty każdym gościem, że ten czuł się naprawdę mile widziany.

Wyłaszczając uprzejmości bez znaczenia, zaprowadziła mnie do biblioteki, w której Morrolan studiował jakieś opaste tomisko, robiąc notatki na marginesach.

— Wejść! — rzekł, gdy zapukałem.

Wszedłem i ukloniłem się.

Odkłonił się i spytał, nie bawiąc się w uprzejmości:

— O co chodzi, Vlad?

— O kłopoty, bo co innego by mnie tu sprowadziło? Przecież nie wizyta towarzyska, prawda?

Uśmiechnął się i wyciągnął prawą rękę. Loiosh przeleciał na nią i dał się podrapać po łebku.

— Oczywiście, że to nie towarzyska wizyta — zgodził się. — Na ostatnim przyjęciu była, jak mniemam, jedynie twoja iluzja.

— Doskonale, że to zauważyłeś. Alera jest gdzieś w pobliżu?

— Gdzieś jest. A dlaczego pytasz?

— Bo kłopoty dotyczą również jej. I jeśli nie masz nic przeciwko, dobrze byłoby, gdyby Sethra także mogła przybyć. Łatwiej mi będzie raz wytłumaczyć wszystkim zainteresowanym, w czym rzecz.

Zmarszczył brwi, po czym skinął głową.

— Alera jest już w drodze i zawiadomi Sethrę — wyjaśnił.

Alera zjawiła się prawie natychmiast, toteż obaj wstaliśmy na jej powitanie. Morrolan był wysoki jak na Dragaerianina, ona zaś była najniższą Dragaerianką, jaką kiedykolwiek poznałem. Można było wręcz pomyłkowo wziąć ją za wysoką przedstawicielkę rasy ludzkiej. Ponieważ nie lubiła podobnych pomyłek, nosiła dłuższe niż powinna suknie i lewitowała, zamiast chodzić. Nabrała w tym ogromnej wprawy, chociaż z początku była obiektem grubiańskich komentarzy. Miała jednak dobre serce — prawie wszystkich złośliwców własnoręcznie wskrzesiła po ukatrupieniu w pojedynku.

Oboje mieli w rysach coś przywodzącego na myśl smoka — wysokie kości policzkowe, pociągłe twarze i wysokie łuki brwiowe. Poza tym istniało między nimi niewiele podobieństw — Morrolan jak ja miał czarne włosy, Alera złociste, co jest prawdziwą rzadkością u Dragaerianina niezależnie od płci, a prawie nigdy nie zdarza się u członka Domu Smoka. Jej oczy normalnie miały barwę zieloną, co było kolejną rzadkością, ale nieraz widziałem, jak zmieniają się w szare, a nawet w lodowato błękitne. Kiedy przybierają ten ostatni kolor, zaczynam być naprawdę, ale to naprawdę ostrożny.

Sethra zjawiła się prawie zaraz po niej. O Sethrze można było powiedzieć wiele i nic. Słyszałem, że żyje dziesięć tysięcy lat, jak też że dwadzieścia tysięcy oraz że jest mitem. Można nazwać jej życie nienaturalnym, ale wiem, że Sethra oddycha. Jej ulubione barwy to czerń (magia) i szarość (śmierć), ale nigdy ich połączenie.

Uśmiechnęła się do mnie — w końcu wszyscy tu byliśmy przyjaciółmi. I jak wśród przyjaciół wypada, wszyscy byliśmy uzbrojeni, przy czym mój arsenał niegodny był wzmianki. A to dlatego, że Morrolan miał przy pasie ostrze zwane Blackwand, które przy grobie Baritta zabiło tysiące wrogów, Alera Pathfinderera — broń służącą potędze większej od Imperium, Sethra zaś długi sztylet, praktycznie rapier zwany Iceflame, mający moc Góry Dzura. Ja miałem się raczej dobrze.

Usiedliśmy, dzięki czemu różnice fizyczne prawie nie rzucały się w oczy.

— Tak więc, Vlad — zagał Morrolan — co się porobiło?

— Mam kontrakt — poinformowałem go rzeczowo.

Uniósł brwi, nie kryjąc zaskoczenia.

— Mam nadzieję, że na nikogo, kogo znam.

— Prawdę mówiąc, na jednego z twoich gości.

— Doprawdy? To strasznie niefortunne dla nas obu. Na którego, jeśli wolno spytać?

— Znasz niejakiego lorda Mellara z Domu Jherega?

— Tak się składa, że znam.

— A mogę się czegoś dowiedzieć o okolicznościach zawarcia tej znajomości?

„Szefie, zaczynasz pieprzyć tak ładnie jak on.”

„Zamknij się łaskawie, Loioosh.”

Morrolan wzruszył ramionami i wyjaśnił:

— Kilka tygodni temu przesłał mi wiadomość, że wszedł w posiadanie pewnej książki, którą byłem od pewnego czasu zainteresowany, i umówiliśmy się, kiedy mi ją przyniesie. Było to... zaraz, tak, trzy dni temu i od tego czasu jest moim gościem.

— Zakładam, że przyniósł ową książkę?

— Zakładasz słusznie — Morrolan wskazał rozłożony na stole wolumin.

Spojrzałem na okładkę — wytłoczono na niej symbol, którego nie znałem, więc spytałem:

— O czym ona jest?

Przyglądał mi się przez chwilę, jakby zastanawiając się, czy jestem godzien zaufania. Znacznie prawdopodobiejsze było jednak to, że rozważał, czy poddać się dalszemu przesłuchaniu. W końcu powtórnie wzruszył ramionami i odparł:

— O magii z czasów przedimperialnych.

Gwizdnąłem cicho z uznaniem, nie kryjąc zaskoczenia, i rozejrzałem się szybko. Na pozostałych obecnych ta rewelacja nie zrobiła wrażenia — pewnie od dawna o tym wiedzieli. Że też człowieka zawsze czekają niespodzianki wtedy, gdy już mu się wydaje, że kogoś zna!

— Cesarzowa wie o twoim małym hobby? — spytałem niewinnie.

Uśmiechnął się lekko.

— Jakoś ciągle zapominam jej o tym wspomnieć.

— To do ciebie niepodobne — zauważyłem, a gdy nie zareagował, spytałem: — Jak długo ją studiujesz?

— Magię przedimperialną? Ledwie ze sto lat, a Cesarzowa z pewnością o tym wie, bo nigdy nie robiłem z tego tajemnicy. Naturalnie nigdy też tego nie rozgłaszałem, ale to trochę podobne do posiadania broni Morgantich: jeśli ktoś będzie potrzebował pretekstu, by cię prześladować, to zawsze go znajdzie. W innym przypadku po prostu nikogo nie interesuje, że ją masz. Jak długo jej nie użyjesz, naturalnie.

— Albo jak długo ktoś nie należy do Domu Jherega — dodałem.

— Właśnie.

Wróciłem do tematu głównego:

— A jak to się stało, że Mellar tu pozostał, skoro celem wizyty było dostarczenie ci książki?

Morrolan przyjrzał mi się uważnie i odpowiedział pytaniem:

— Czy mógłbyś mi powiedzieć, o co tu właściwie chodzi?

Sądząc po minach, Alera i Sethra także były zainteresowane. Alera rozsiała się w fotelu z kielichem wina, które musiała sobie wyczarować, bo nigdzie w pobliżu nie było butelki. Trzymała go tak, by odbite od niego światło żyrandola

rzucało wielobarwne wzorki na jej policzek. Przekrzywiła głowę i przyglądała mi się uważnie.

Sethra wpatrywała się we mnie intensywnie. Usiadła w fotelu o wysokim oparciu i czarnym obiciu, od którego ostro odbijała jej blada cera. Czułem jej napięcie, jakby przeczuwała, że lada moment zaczniesz się coś naprawdę nieprzyjemnego. Znając ją, tak właśnie było.

Morrolan siedział w drugim fotelu, naprzeciwko Aliery, wyglądając tak, jakby właśnie przemawiał do obrazu.

Popatrzyłem na niego i potrząsnąłem głową.

— Powiem ci, jeśli będziesz nalegał, ale wolałbym wpierw jeszcze paru drobiazgów się dowiedzieć, wtedy lepiej będę się orientował w całej sytuacji.

— Albo lepiej wiedział, ile powinienesz nam wyjawić? — spytała słodko Aliera.

Uśmiechnąłem się, nie mogąc nad tym zapanować.

— Chciałbym jedynie zaznaczyć — dodał Morrolan — że jeśli chcesz naszej pomocy, to będziesz musiał powiedzieć nam w zasadzie wszystko.

— Zdaję sobie z tego sprawę.

Morrolan spojrzał na pozostałe przedstawicielki Domu Smoka — Alera wzruszyła ramionami, Sethra skinęła głową.

— Doskonale, Vlad — oświadczył. — Co konkretnie chcesz wiedzieć?

— Jak Mellar zdołał tu pozostać. Nie masz zwyczaju zapraszać każdego z Domu Jherega, kto tu trafi.

Morrolan pozwolił sobie na uśmiech.

— Każdego nie — przyznał — ale jak wiesz, są wyjątki.

„Bo my som specjalne.”

„Już ci mówiłem, Loiosh, żebyś się zamknął!”

— Hrabia Mellar skontaktował się ze mną cztery dni temu, informując, że posiada księgę, którą, jak sądzi, mogę być zainteresowany — wyjaśnił Morrolan. — I uprzejmie zasugerował, że dostarczy ją osobiście.

— Nie wydało ci się to podejrzanym? — wpadłem mu w słowo. — Od tego jest służba.

— Wydało mi się to nieco dziwne, ale teoretycznie rzecz biorąc, książka ta jest nielegalna, toteż założyłem, że po prostu nie chce, by ktoś postronny wiedział o tym, że był jej posiadaczem. Co się tyczy jego służby, to w końcu wszyscy należą do Domu Jherega, więc jak mógłby im w pełni ufać? — przerwa była minimalna, acz wystarczająca, bym zdążył zareagować, gdybym chciał. — W każdym razie okazał się nader uprzejmą osobą. Sprawdziłem go wcześniej i okazało się, że jak na Jherega jest godny zaufania, więc zdecydowałem się zaprosić go na kolację, na którą już zaprosiłem parę osób. Przyjął zaproszenie.

Spojrzałem na obie obecne — Sethra potrząsnęła przecząco głową na znak, że jej tu nie było, Alera, wyglądająca na średnio zainteresowaną, przytaknęła.

— Pamiętam go — powiedziała. — Nudziarz.

Po usłyszeniu tego ostatecznego, jak na nią, potępienia ponownie skupiłem uwagę na gospodarzu.

— Posiłek upłynął nam w tak miłej atmosferze, że zaprosiłem go na przyjęcie, które właśnie się rozkręcało. Przyznaję, że kilku gości nie mających zbyt wysokiego mniemania o Domu Jherega próbowało w ten czy inny sposób go zniechęcić, ale był raczej przyjaźnie nastawiony do wszystkich i nie dał się sprowokować. Czułem się w pewien sposób winny, toteż zaproponowałem mu, by jeśli chce, pozostał tu przez najbliższych siedemnaście dni. Przyznam, że zaskoczył mnie, przyjmując zaproszenie, ale sądziłem, że chodzi mu o krótkie wakacje czy coś w tym rodzaju. Co jeszcze chciałbyś wiedzieć?

Uniosłem dłoń, prosząc o chwilę przerwy, by to wszystko przetrawić i sprawdzić, jak nowe dane pasują do obu teorii — mojej i Kragara.

— Masz jakiś pomysł, w jaki sposób mógł wejść w posiadanie tej książki? — spytałem.

Morrolan potrząsnął głową.

— Jedyne zastrzeżenie, jakie zrobił, nim mi ją oddał, polegało na tym, bym obiecał, że nie będę próbował dociec, jak ją zdobył. Widzisz, ten egzemplarz kiedyś stał w mojej bibliotece i ktoś go ukraść. Było to naturalnie, zanim zacząłem poprawiać system bezpieczeństwa zamku.

Pokiwałem głową — wszystko ładnie pasowało. Niestety do teorii Kragara.

— Nie wzbudziło to twoich podejrzeń? — spytałem.

— Nie bardzo, gdyż założyłem, że ukraść ją jakiś Jhereg, a poza tym istnieje praktycznie nieskończenie wiele sposobów, w jakie Mellar mógł wejść w jej posiadanie. Złodziej na przykład mógł nie być w stanie bezpiecznie jej sprzedać i hrabia zrobił mu przysługę, upewniając się, że nie poznam szczegółów kradzieży. Ci z Domu Jherega często tak działają, wiesz przecież.

Wiedziałem.

— Jak dawno temu ta książka została skradziona? — spytałem na wszelki wypadek.

— Czekaj, niech się zastanowię... będzie z dziesięć lat.

— A więc Kragar miał rację — burknąłem pod nosem.

— O co chodzi, Vlad? — Alierą w końcu naprawdę zainteresowała się sprawa.

Miałem nieodpartą ochotę powiedzieć, że to drobiazg, wstać i sprawdzić, jak daleko zdołam dojść, nim mnie zatrzymają. Perspektywa, że cała trójka wpadnie w ślepią furję, nie była miła, tym bardziej że to ja byłem posłańcem przynoszącym złe wieści. Co prawda nie sądziłem, by któreś z nich chciało zrobić mi krzywdę, ale nigdy nic nie wiadomo...

Spróbowałem wymyślić jakiś określony sposób przedstawienia im sytuacji i nic nie wymyśliłem.

„Jakieś sugestie, Loiośh?”

„Powiedz im prawdę i natychmiast się teleportuj.”

„Nie zdążę się teleportować. Jakieś sensowne sugestie?”

Wreszcie znalazłem sposób, by go uciszyć, ale jakoś dziwnie mnie to nie ucieszyło.

— On cię wykorzystuje, Morrolan — oznajmiłem zwięźle.

— Wykorzystuje? A niby jak?

— Mellar ucieka przed radą Domu Jherega, czyli w praktyce przed całym Domem Jherega. Przybył tu i pozostał tylko z jednego powodu: wie, że żaden Jhereg nie tknie go, jak długo pozostaje gościem lorda z Domu Smoka.

Morrolan zmarszczył brwi i już wiedziałem, że burzy nie da się uniknąć.

— Jesteś tego całkowicie pewien? — spytał podejrzenie uprzejmie.

— Jestem. I jestem pewien, że nawet pobieżne sprawdzenie wykaże, że to Mellar ukradł ci dziesięć lat temu tę książkę albo wynajął złodzieja. To wszystko idealnie pasuje.

Zaryzykowałem spojrzenie na Alierę — przyglądała się zaskoczona kuzynowi. Po uprzejmie zainteresowanej idiotce sprzed paru sekund nie pozostało śladu.

— To się nazywa bezczelność! — wybuchnęła.

— O, na bezczelności mu nie zbywa, mogę cię zapewnić — powiedziałem.

— Vlad, skąd Mellar wiedział, że zostanie zaproszony na dłuższy pobyt? — wtrąciła Sethra.

— To niewielka sztuka, jeśli zadał sobie trud, by zebrać informacje o zwyczajach Morrolana. A zebrał, gwarantuję. Wystarczyło wymyślić sposób, by znaleźć się w zamku na jego zaproszenie. Przepraszam cię, Morrolan, ale w niektórych sprawach naprawdę łatwo jest przewidzieć twoje zachowanie.

Posłał mi nieżyczliwe spojrzenie, ale nie wydawał się urażony. Na szczęście. Zauważyłem, że Sethra gładzi łagodnie pochwę broni, i wstrząsnął mną dreszcz. Oczy Aliery stały się szare. Morrolan zaś wyglądał na ponurego i zdecydowanego. Wstał, przespacerował się w tę i z powrotem ze trzy razy i spytał:

— Jesteś pewien, że wiedział, iż jest ścigany?

— Doskonale wiedział.

— I jesteś też pewien, że wiedział o tym, gdy się ze mną skontaktował?

— Morrolan, on to w ten sposób zaplanował. Powiem więcej: z tego co wiem, planował to wszystko co najmniej od dziesięciu lat.

— Rozumiem... — potrząsnął powoli głową i oparł dłoń na rękojeści Blackwanda.

Tym razem wstrząsnął mną mocniejszy dreszcz.

Zapadła długa cisza.

— Wiesz, jak podchodzę do traktowania i bezpieczeństwa moich gości? — spytał w końcu.

Przytaknąłem.

— W takim razie wiesz także, że nie możemy go w żaden sposób skrzywdzić, dopóki nie upłynie ten siedemnastodniowy termin.

Przytaknąłem ponownie i dodałem:

— Chyba że dobrowolnie opuści Czarny Zamek.

Morrolan przyjrzał mi się podejrzliwie.

— Nie zamierzasz chyba mu na to pozwolić? — spytała w tym momencie Alera.

Słyszając jej leciutko wyzywający ton, zacząłem nagle żałować, że nie posiadam daru Kragara do pozostawania niewidzialnym.

— Dziś, jak i przez najbliższych trzynaście dni, moja droga kuzynko, nasz gość jest całkowicie bezpieczny — odparł Morrolan i dodał zupełnie innym tonem: — Zaraz potem będzie martwy i pozostanie martwy.

— Nie mogę wam podać szczegółów — wtrąciłem — ale on wyrządzi nieodwracalne szkody dla całego Domu Jherega i to znacznie szybciej niż w trzynaście dni.

Morrolan wzruszył ramionami, Alera tylko machnęła ręką. Pewnie, kogo by obchodziło to, co stanie się z Domem Jherega. Niespodziewanie zauważyłem milczące przytaknięcie Sethry — zdawała się rozumieć, o co mi chodziło.

— Poza tym za trzynaście dni dawno już go tu nie będzie — powiedziała.

Alera wstała, poprawiła suknię i poklepała Pathfindera.

— Niech no tylko spróbuje się ukryć — zapowiedziała.

— Nie rozumiesz w czym rzecz. — Sethra potrząsnęła głową. — Nie wątpię, że przy pomocy Pathfindera zdołasz go odszukać. Mówię, że mając tyle czasu, będzie w stanie poważnie ci to utrudnić, na przykład udając się na Wschód. A poza tym nie należy go lekceważyć: już mu się udało posłużyć Smokiem, by ukryć się przed Jheregiem.

To trafiło do nich obojga i żadnemu się nie spodobało. To, co miałem im jeszcze do powiedzenia, z pewnością wywoła znacznie gorszą reakcję.

— Aliero, jesteś pewna, że nie ma sposobu, by uniemożliwić ci odnalezienie kogoś nawet przy pomocy Pathfindera? Tak staranne zaplanowanie całej operacji i pozwolenie, byście na koniec odszukali go i zabili, byłoby bez sensu.

— Pathfindera, jak wiesz, mam zaledwie od paru miesięcy, a mało kto wie, że należy on do Wielkiej Broni. To coś, czego nie mógł przewidzieć, a gdybym go nie miała, Mellar prawdopodobnie byłby w stanie nam uciec.

To było możliwe, jako że niezależnie od tego, jak starannie i długo planowałoby się jakąś akcję, zawsze istniała szansa ominięcia czegoś istotnego albo zajścia nieprzewidzianych okoliczności. Ot, ryzyko zawodowe.

Alera tymczasem ponownie skupiła uwagę na kuzynie.

— Nie sądzę — oświadczyła — że powinniśmy czekać przez te trzynaście dni.

Morrolan zatrzymał się w miejscu.

„Zaczyna się, szefie.”

„Wiem, Loiosh. Jedyna nadzieja, że Sethra zdoła ich powstrzymać... i że będzie chciała.”

— Nie rozumiesz, że ten... ten Jhereg próbuje zrobić z ciebie zwykłego ochroniarza i to na dodatek osłaniającego go przed jego własnym domem? — spytała.

— Zapewniam cię, że doskonale zdaję sobie z tego sprawę — odpowiedział niebezpiecznie miękko.

— I to ci nie przeszkadza?! On ośmiesza i okrywa hańbą cały Dom Smoka! — Aliera zaczynała się rozpędzać. — Jak on śmie manipulować lordem z Domu Smoka?

— Jak to, jak on śmie? Przecież właśnie się dowiedziałaś, jak to zrobił i to skutecznie na dodatek — odparł Morrolan, nie spuszczać z niej wzroku.

Albo ją wyzywał, albo sprawdzał, czy ona jego wyzwie — w sumie dla końcowego efektu nie miało to nie tylko większego, ale żadnego znaczenia.

— Jeszcze mu się nie udało — oceniła ponuro.

— Co konkretnie chcesz przez to powiedzieć? — spytał nieco ostrożniej Morrolan.

— To co słyszysz. Jak dotąd sprawa dopiero się wydała, a zaczęła stosunkowo niedawno, więc wszystko da się naprawić. On sobie założył, że tylko dlatego, że stał się gościem, może cię do woli obrażać i nikt go za to nie ukarze.

— I ma w tej kwestii rację.

— Tak? — spytała słodziutko. — Jesteś tego pewien?

— Całkowicie.

Przez moment spoglądała mu w milczeniu w oczy, nim odezwała się ponownie. A kiedy to zrobiła, mówiła już zupełnie innym tonem. Takim, od którego w komnacie zrobiło się zimniej.

— Skoro godzisz się puścić płazem obrazę swego honoru, jest to twoje prawo i twoja sprawa. Jeśli jednak obraza dotyczy całego Domu Smoka, staje się to także moją sprawą. A dotyczy.

— Tym niemniej skoro lżący posłużył się mną, to moim prawem i obowiązkiem jest pomścić zniewagę, nie sądzisz?

Aliera uśmiechnęła się promiennie i usiadła odprężona — idealny obraz kogoś, kto właśnie został ostatecznie przekonany, iż niepokoił się niepotrzebnie.

— Doskonale! — westchnęła z ulgą. — To jednak go zabijesz!

— Oczywiście, przecież ci powiedziałem. — Morrolan błysnął w uśmiechu zębami. — Za trzynaście dni.

Spojrzałem na Sethrę — jak dotąd nie odezwała się, ale wyrazu jej twarzy nikt nie mógłby określić jako przyjemny. Miałem nadzieję, że zdoła i że będzie chciała wystąpić w roli mediatorki między pozostałą dwójką, co do której miałem

pewność, że weźmie się za łby. Jeśli sprawy potoczą się naprawdę źle, to w dosłownym tego słowa znaczeniu. Jednak patrząc na nią, zacząłem się zastanawiać, czy ma taki zamiar.

Aliera już się nie uśmiechała.

Prawą dłoń zacisnęła na rękojeści Pathfinderera i to tak, że jej kostki pobiełały.

— To jest bezczynność! — oświadczyła. — Nie pozwolę takiemu śmieciowi jak Jhereg...

— Nie tkniesz go! — przerwał jej Morrolan. — Jak długo żyję, jest gościem w moim domu i nie musi się niczego obawiać. Nie interesuje mnie, kim jest i dlaczego się tu zjawił: jak długo trwa zaproszenie, tak długo jest bezpieczny. Zabawiałem swych śmiertelnych wrogów przy własnym stole, a potem zabijałem ich w pojedynkach na broń Morgantich. Widziałem Nekromantkę rozmawiającą spokojnie z kimś, kto od sześciu wcieleń był jej wrogiem. Widziałem Sethrę siedzącą przy jednym stole z Dzurem, który poprzysiągł ją zniszczyć. I dlatego nie pozwolę ci, kuzynko, wytarzać mego imienia w błocie i zrobić ze mnie krzywoprzysięcy. Bo tak właśnie masz zamiar uratować honor Domu Smoka, prawda?

— Odezwał się wielki obrońca honoru! — prychnęła. — To może idź na całość i rozlep w mieście plakaty informujące, że jesteś gotów dać schronienie każdemu, kto zechce uciec przed wynajętym zabójcą?

Zignorował zarówno jej słowa, jak i złośliwość.

— Możesz mi wyjaśnić, jak mamy bronić honoru Domu, skoro nie potrafimy honorować nawet własnych przysięczeń? — spytał spokojnie.

— A czy ty możesz mi wyjaśnić, jak udało ci się przeżyć tyle lat, nie dostrzegając, że istnieje różnica między kodeksem honorowym, czyli teorią, a życiem, czyli praktyką wynikającą z tradycji i zwyczajów Domu Smoka? — spytała poważnie. — Nie mam nic przeciwko twoim dziwactwom, uważam, że oryginalność poglądów to dobra cecha. Ale nie sposób jej porównywać z tradycjami i zasadami Domu!

— Rozumiem to doskonale, ale tu nie chodzi o dziwactwo, lecz o przysięgę. Przysiągłem stworzyć w Czarnym Zamku bezpieczne schronienie. Sytuacja wyglądałaby zupełnie inaczej, gdybyśmy znajdowali się gdzie indziej, powiedzmy na Górze Dzura.

— Nie mogę cię zrozumieć — przyznała. — Rozumiem, że chcesz dotrzymać słowa, ale czy to oznacza, że pozwolisz wykorzystywać siebie i cały Dom Smoka? On nie tylko użył przeciwko tobie twego słowa, on go nadużył.

— Prawda — zgodził się Morrolan. — Ale obawiam się, że wymyślił to znakomicie. Po prostu nie ma takiej możliwości, bym złamał słowo, co on w pełni rozumiał. Jestem, przyznaję, raczej zaskoczony, że ty nie potrafisz tego zrozumieć.

Doszedłem do wniosku, że czas na interwencję:

— Wydaje mi się...

— Bądź cicho! To ciebie nie dotyczy — warknęła średnio uprzejmie Alera. Doszedłem do wniosku, że się pomyliłem.

— To nie o to chodzi, że nie rozumiem — Alera ponownie skupiła uwagę na kuzynie. — Chodzi o to, że uważam, iż pomyliły ci się priorytety.

— Przykro mi, że tak uważasz. — Morrolan wzruszył ramionami.

I powiedział nie to, co powinien. Alera wstała, a jej oczy stały się lodowato-błękitne.

— Tak się składa, że to nie moje słowo, lecz twoje, a więc i twój problem — oznajmiła. — Gdybyś nie był już panem Czarnego Zamku, problem przestałby istnieć, prawda? A poza tym nie przypominam sobie niczego w treści twojej przysięgi, co uniemożliwiłoby gościom zaatakowanie ciebie!

Dłoń Morrolana na rękojeści Blackwanda pobieliała. Loiosh, wykazując niezwykle rozwinięty instynkt samozachowawczy, dał nura pod moją pelerynę. Żałowałem, że nie mogę zrobić tego samego.

— To prawda — zgodził się spokojnie Morrolan. — Atakuj.

— Alera — odezwała się łagodnie Sethra. — Czy muszę ci przypomnieć prawa gościa?

Alera nie odpowiedziała — stała, ściskając broń i wpatrując się nieruchomym wzrokiem w Morrolana. Przyszło mi na myśl, że wcale nie zamierzała go zaatakować — chciała go sprowokować do ataku. Potwierdziła to jej kolejna wypowiedź:

— Prawa gościa odnoszą się także do gospodarza, nawet jeśli twierdzi on, że jest Smokiem, a brak mu odwagi, by pomścić zniewagę, która dotyczy nas wszystkich.

Prawie jej się udało — Morrolan zdołał nad sobą zapanować dosłownie w ostatnim momencie. Kiedy się odezwał, ton jego głosu doskonale pasował do barwy oczu.

— Możesz uznać to za szczęście, że mam taką właśnie, a nie inną zasadę. A ty jesteś tu takim samym gościem jak ten cały Jhereg, choć nie ulega wątpliwości, że on wie o wiele więcej o uprzejmości, jaką gość winien okazać gospodarzowi.

— Aha! — sapnęła Alera, dobywając Pathfinderera.

— O, nie! — szepnąłem cichutko.

— Doskonale, kuzynie: zwalniam cię z danego słowa przynajmniej w stosunku do mnie. Co zresztą jest bez znaczenia, bo wolę być martwym smokiem niż żywą tecklą! — Pathfinder w jej dłoni pulsował łagodnie zielonym blaskiem.

— Jakoś nie dociera do ciebie, kuzynko, że nie masz nic do powiedzenia w kwestii mojego przyrzeczenia.

Sethra wstała, ale na szczęście nie wyciągnęła broni z pochwy. Spokojnie podeszła i stanęła między adwersarzami.

— Oboje przegraliście — oceniła. — Żadne nie ma najmniejszego zamiaru zaatakować drugiego i oboje o tym wiecie. Ty, Alera, chcesz, by on cię zabił i w ten sposób ocalił twój honor, łamiąc równocześnie dane słowo, i potem zabił

Mellara. Ty z kolei chcesz, by ona cię zabiła, łamiąc prawo, a potem mogła ubić powód całego zamieszania. Ja jednak nie zamierzam pozwolić żadnemu z was dać się zabić ani też utracić honoru, więc możecie przestać się nawzajem prowokować.

Przez długą chwilę nikt się nie poruszył.

Potem na ustach Morrolana pojawił się cień uśmiechu, podobnie jak na ustach Aliery. Loiosh wysunął ostrożnie łeb spod peleryny i wrócił spokojnie na moje prawe ramię. Alera schowała broń.

Sethra spojrzała na mnie.

— Vlad, czy to prawda, że to ty. . . — przerwała, zastanowiła się i dokończyła — . . . że znasz osobę, która podjęła się zabić Mellara?

Pomasowałem kark, który nie wiedzieć czemu nagle mi zdrętwiał, i odparłem spokojnie:

— Powiedziałem przecież, że mam na niego kontrakt.

— Doskonale. W takim razie może zaczęlibyśmy tak zastanawiać się, jak ci pomóc, zamiast tracić czas na bezsensowne próby pozabijania się nawzajem?

Morrolan i Alera wpierw spojrzeli na nią zaskoczeni, po czym równocześnie wzruszyli ramionami. A ja podziękowałem w duchu Verze, że pomyślałem o zaproszeniu Sethry.

— Jak długo może czekać zabójca? — Sethra przeszła do rzeczy.

— Nie więcej niż kilka dni — odparłem.

— W jaki sposób możemy ci pomóc?

— Tu właśnie jest problem, bo jedyne, co dotąd wymyśliłem, to to, o czym pomyślała Alera: wysledzić go przy pomocy Pathfindera. Natomiast pojęcia nie mam, jak go skłonić do opuszczenia zamku, nie używając przymusu.

Alera wróciła na swój fotel, natomiast Morrolan skierował się ku drzwiom. Stał po dwóch krokach i powiedział:

— Biorąc pod uwagę okoliczności, nie sądzę, by moja dalsza tu obecność była najwłaściwsza. Ufam, że żadne z was nie będzie próbowało okryć mnie hańbą, ale nie wydaje mi się, bym osobiście mógł knuć plany przeciwko własnemu gościowi. Mam nadzieję, że mi wybaczycie.

Po czym skłonił się i wyszedł.

— Chodzi ci o to, jak go oszukać, by stąd poszedł? — Alera bez komentarza wróciła do tematu.

— O coś w tym stylu. Nie wiem. . . użyć magii, żeby nabrał przekonania, że nic mu już nie grozi. . . To w ogóle wykonalne?

Sethra zamyśliła się, lecz Alera pierwsza udzieliła odpowiedzi:

— W praktyce to niewykonalne. Po pierwsze dlatego, że Morrolan natychmiast to odkryje, po drugie, jeśli użyjemy przeciw Mellarowi magii, to także będzie łamało przyrzeczenie Morrolana.

— Żeby to. . . — jęknąłem. — Chcesz mi powiedzieć, że nie możemy go także oszukać?

— Skądże znowu! Możemy go oszukać w każdy sposób — poza użyciem magii. Możemy go okłamać czy skłonić innych do kłamstwa, to bez znaczenia. Nie możemy natomiast użyć przeciwko niemu magii ani czarów, bo Morrolanowi nie zrobi różnicy, czy zabiłam go magicznym promieniem, czy też umieściłam w jego umyśle jedną małą sugestię, która spowodowała, że przekroczył próg zamku.

— Urocze — oceniłem zgryźliwie. — Podejrzewam, że żadna z was nie ma pomysłu, jak to osiągnąć?

Obie zgodnie skinęły głowami.

Wstałem.

— No cóż, wróć do biura, ale proszę, pomyślcie na ten temat i dajcie mi znać, jak tylko coś wymyślicie.

Zgodziły się i pograżyły w ożywionej dyskusji. Nie sądziłem, by wiele ona dała, gdyż choć obie były naprawdę dobre w tym, co robiły, nie zajmowały się zawodowo ani zabójstwami, ani oszustwami. Choć z drugiej strony były pomysłowe, więc mogłem się mylić. Jedno nie ulegało wątpliwości — zdecydowanie lepiej było, że myślą, jak mi pomóc, a nie jak przeszkodzić.

Skłoniłem się i wyszedłem.

Rozdział ósmy

*„Nie istnieje coś takiego jak
wystarczające przygotowanie”*

Wróciłem do biura i dałem odpocząć żołądkowi po teleporcie.

Po jakichś dziesięciu minutach skontaktowałem się telepatycznie z sekretarzem:

„Poproś Kragara, żeby do mnie przyszedł.”

„Ale szefie. . . on wszedł z pięć minut temu. . .”

Spojrzałem uważniej na krzesło i znalazłem go siedzącego na zwyczajowym miejscu z miną niewiniątka.

„Nieważne.”

Potrząsnąłem głową zrezygnowany i powiedziałem na głos:

— Naprawdę wolałbym, żebyś tego nie robił.

— Czego nie robił?

Westchnąłem ciężko i zmieniłem temat:

— Alieria jest skłonna nam pomóc.

— To dobrze. Masz już plan?

— Tylko początki. Alieria i Sethra próbują wymyślić resztę.

To zrobiło na nim stosowne wrażenie.

— Sethra też? — wykrztusił. — No proszę. . . A co się stało?

— Nic. Ale niewiele brakowało.

— Do czego?

Streściłem mu przebieg rozmowy i zakończyłem:

— Teraz musimy wymyślić, jak skłonić Mellara do wcześniejszego opuszczenia Czarnego Zamku.

— Cóż. . . możesz poprosić o pomoc Demona.

— Pewnie. A jak się okaże, że nie ma żadnego pomysłu, to Cesarzową, a. . .

— A dlaczego by nie spytać Demona? — wszedł mi w słowo. — Skoro i tak będziesz z nim rozmawiał, to dlaczego nie skorzystać z ok. . .

— Co będę robił?

— Demon chce się z tobą spotkać jak najszybciej. Wiadomość nadeszła tuż przed twoim powrotem.

— Po co chce się ze mną spotkać?

— Nie powiedział. Może ma jakieś nowe informacje.

— Informacje mógł przekazać przez umyślnego. Cholera, lepiej żeby mnie nie popędział. Powinien zdawać sobie z tego sprawę.

— I na pewno zdaje. Tylko co zrobisz, jeśli spróbuje?

— Masz dar do zadawania niezręcznych pytań!

— Wrodzony — przyznał skromnie.

— Gdzie i kiedy?.. Czekał, niech zgodzę: to samo miejsce i czas, tak?

— Miejsce tak, czas nie: w południe.

— W południe?! Przecież to... — skupiłem się i sprawdziłem, która godzina.

Do wybiecia południa zostało pół godziny! Cała rozmowa w Czarnym Zamku trwała mniej niż godzinę! Ludzkie pojęcie przechodziło, jakim piorunem toczyły się pewne sprawy.

— To oznacza, że stawia mi obiad, tak? — zauważyłem genialnie.

— Stawia.

— I oznacza także, że nie mamy czasu na żadne porządne przygotowanie się, gdyby sobie coś zaplanował?

— Prawda. Wiesz, że masz prawo po prostu odmówić spotkania na takich warunkach.

— A uważasz, że to dobry pomysł?

Pomyślał z minutę, po czym potrząsnął przecząco głową.

— Ja też nie — zgodziłem się.

— Mam umieścić tam jednego czy dwóch ludzi jako gości?

— Zauważy ich bez trudu, a na to w tej chwili nie możemy sobie pozwolić, bo to by jednoznacznie świadczyło, że mu nie ufamy. Nie ufamy, ma się rozumieć, ale...

— Wiem, o co chodzi... — wzruszył ramionami i zmienił temat. — Wracając do tego co najważniejsze: masz jakieś pomysły, jak by tu przekonać Mellara do opuszczenia Czarnego Zamku?

— Cóż... możemy go zaprosić na spotkanie w interesach.

— Świetny pomysł. Inne masz podobne?

— Innych w ogóle nie mam. To jest nasz najpoważniejszy problem, odkąd dowiedzieliśmy się, gdzie się ukrył, zgadza się?

— Ano zgadza.

— Może coś samo wyniknie — pocieszyłem jego i siebie. — A poza tym trzeba poszperać w przeszłości Mellara. Idealnie byłoby znaleźć jakiś jego słaby punkt. Przydałoby się to na pewno.

— Byłoby to miłe, prawda?

— Przecież musi coś być! Ten gość skądś pochodzi, a informacje dostarczone przez Demona zaczynają się dopiero z chwilą, gdy dołączył do Domu Jherega. Nic nie wiemy o jego przeszłości, a to dziwne!

— Pewnie i racja, tylko jak mamy dowiedzieć się więcej, niż zdołał Demon?

— Nie wiem. . . Zaraz! Wiem! Alier! O to właśnie chciałem ją poprosić, tylko nie zdążyłem, a potem — przyznaję — zapomniałem.

— O co?

— Ona specjalizuje się między innymi w badaniach genetycznych.

— I co z tego?

— Ano to: powiedz mi, w którym z Domów urodził się Mellar?

— Sądziłem, że w naszym. Dlaczego podejrzewasz, że było inaczej?

— Nie podejrzewam, ale też niczego nie założyłem. Jeśli okaże się, że masz rację, Alier może nam powiedzieć, kim są — lub byli — jego rodzice, i można będzie zacząć szukać. A jeśli nie masz racji, powie to nam coś innego, czego dotąd nie wiedzieliśmy, i może nas naprowadzić na nowy trop.

— Jasne. Sądzę, że tego Demon nie był w stanie sprawdzić. Sam się z nią skontaktujesz czy chcesz, żebym umówił spotkanie?

Zastanowiłem się krótko, ale dogłębnie.

— Umów spotkanie — zdecydowałem. — Jak długo się to nie skończy, będziemy postępować formalnie. Jeśli to możliwe, chciałbym się z nią widzieć dziś wieczór. Zjawię się na pewno, jeśli tylko będę żył. Poproś, żeby go sprawdziła.

— Dobrze, zajmę się tym. A jeżeli się okaże, że jesteś martwy, przeproszę w twoim imieniu.

— Serdeczne dzięki, teraz dopiero mi ulżyło.

* * *

Ponownie siedziałem plecami do drzwi, trzymając prawą dłoń przy kielichu z winem w ten sposób, by móc praktycznie natychmiast sięgnąć po nóż umieszczony na lewym przedramieniu. W ciągu sekundy byłem w stanie rzucić nim i trafić w korek od wina z odległości piętnastu stóp. Loiosh przyglądał się drzwiom, ale miałem pełną świadomość, że jeśli Demon naprawdę chciałby się mnie pozbyć, to te zabiegi i tak mnie nie uratują.

Dłonie jednak miałem suche, a to z trzech powodów. Po pierwsze, nie raz już znajdowałem się w sytuacjach, w których tylko szybkość mogła mnie ocalić. Po drugie, nie sądziłem, by Demon zdecydował się mnie zabić. Istniały znacznie prostsze sposoby, poza tym nie miał ku temu powodu. Jeszcze nie. A po trzecie, regularnie wycierałem dłonie o nogawki.

„Jest, szefie.”
„Sam?”
Dwóch ochroniarzy, ale zostali przy drzwiach.
Demon zajął miejsce naprzeciwko mnie.
— Witam. Jak tam sprawy?
— Kręcą się — odparłem uprzejmie. — Poleceni tsalmotha w maśle czosnkowym.
— Posłucham eksperta — zgodził się Demon i skinął na kelnera.
Ten przyjął zamówienie z szacunkiem świadczącym, iż wie, kim przynajmniej ja jestem. Demon wybrał lekkie wino marki Nyroth, dając tym dowód nie najgorszego gustu i rozeznania.
— Sprawa okazała się nieco bardziej pilna, niż sądziłem, Vlad — Demon przeszedł do rzeczy. — Mogę ci mówić po imieniu?
„Powiedz mu, żeby się wypchał, szefie.”
— Naturalnie — uśmiechnąłem się. — A ja będę ci mówił Demon.
Także się uśmiechnął, choć podobny tekst musiał słyszeć niezliczoną ilość razy.
— Doskonale. Jak już powiedziałem, sytuacja staje się coraz poważniejsza; wygląda na to, że za dużo osób wie już, co się stało. Według adeptki Lewej Ręki ktoś naprawdę ważny zainteresował się Mellarem, ale tego akurat nie można było uniknąć. Z drugiej strony coraz więcej komentarzy wzbudza wyhamowanie części naszych operacji, czego także nie można było uniknąć. Wystarczy, by ktoś zaczął logicznie myśleć, i sytuacja błyskawicznie stanie się naprawdę nieprzyjemna.
— I dlatego. . . — zacząłem i umilkłem, gdyż zjawił się kelner z zupą.
Odruchowo przesunąłem lewą dłoń nad talerzem — naturalnie nie było w niej żadnej trucizny.
Trucizny bywają nieprzewidywalne, lecz niewielu Dragaerian zna wystarczająco dobrze ludzki metabolizm, bym musiał się ich poważnie obawiać.
Kiedy kelner odszedł, wróciłem do tematu.
— Czyżbyś chciał mi powiedzieć, że zaczyna ci się spieszyć? — spytałem, starając się mówić jak najnormalniejszym tonem.
Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowałem, było, by Demon zorientował się, jak bardzo sama taka możliwość mnie irytuje.
— Spieszy mi się od samego początku, ale uzgodniliśmy, że nie będę cię popędzał, dopóki nie stanie się to naprawdę konieczne. Pośpiech rodzi pomyłki. Zresztą wiem, że działasz tak szybko jak tylko się da.
Pewnie, że wiedział. A zupa była niedoprawiona.
— Dowiedzieliśmy się czegoś, co może cię zainteresować — dodał.
Zdecydowałem się poczekać w milczeniu na ciąg dalszy.
— Mellar ukrył się w Czarnym Zamku. — Demon przerwał, czekając na moją reakcję, a gdy się nie doczekał, ciągnął dalej: — Nasz adeptka przełamała blokadę

dwie godziny temu. Natychmiast skontaktowałem się z twoimi podwładnymi i poprosiłem o spotkanie; nie chciałem, żebyś daremnie szukał go na Wschodzie. Nie mogliśmy go tak długo znaleźć, bo Czarny Zamek leży dwieście mil od miasta. Ale jak sądzę, doskonale o tym wiesz, pracujesz przecież dla Morrolana, prawda?

— Nie pracuję dla niego, tylko u niego jako konsultant do spraw bezpieczeństwa. Za to mi płaci i dokładnie to robię. Nic więcej.

Kiwnął głową, dokończył zupę i zauważył:

— Nie wydałeś się zaskoczony, kiedy ci powiedziałem, gdzie on jest.

— Bo nie byłem zaskoczony.

Demon wyszczerzył zęby w uśmiechu i uniósł kielich. Uśmiech to ponoć ucivilizowana forma ostrzeżenia, jakim wśród zwierząt jest pokazanie zębów. Istnieją jednakże wyjątki — jhereg nigdy nie ostrzega. Zawsze atakuje.

— Wiedziałaś? — spytał Demon.

Przytaknąłem.

— Jestem pod wrażeniem. Szybko ci to poszło.

Nadal nie wiedziałem, dlaczego chciał się ze mną spotkać, więc zająłem się zupą i czekaniem. No bo na pewno nie przybył, by prawić komplementy mi czy moim źródłom informacji ani też przekazać wiadomość, którą mógł przesłać przez kuriera.

Demon tymczasem uniósł kielich i przechylał go pod różnymi kątami, przyglądając się winu. Nie wiem, dlaczego przyszła mi w tym momencie na myśl Nekromantka.

— Vlad — odezwał się w końcu. — Myślę, że możemy mieć do czynienia z konfliktem interesów.

— Jakim i czyich?

— Wiem, że jesteś przyjacielem Morrolana, a Mellar jest jego gościem. Sądzę, że cele nasze i jego mogą się nie całkiem pokrywać.

Nadal nic nie mówiłem.

Kelner przyniósł drugie danie, które też sprawdziłem, nim zacząłem jeść. Demon udał, że nie widzi mojego gestu, podobnie jak ja udałem, że nie widzę jego ruchu, gdy robił to samo. Przełknął pierwszy kęs, mruknął z zadowoleniem i wrócił do rozmowy.

— Sprawy mogą przybrać nader nieprzyjemny dla Morrolana obrót.

— Nie bardzo rozumiem, w jaki sposób, chyba że planujesz rozpętanie kolejnej wojny między Domami. A Mellar, obojętnie jakie byłyby skutki tego, co zrobił, nie jest tego wart. Straty, jakie Dom Jherega poniósłby w takiej wojnie, byłyby nieporównywalnie wyższe.

Tym razem Demon nie odpowiedział.

A ja poczułem coś lodowatego maszerującego po moich plecach.

— On nie jest wart kolejnej wojny Domu Jherega z Domem Smoka — powiedziałem powoli.

Nadal nic nie mówił.

Potrząsnąłem głową, zastanawiając się, czy mimo wszystko spróbuje zabić Mellara w Czarnym Zamku. Jego zachowanie świadczyło o tym, że spróbuje. A to ściągnie nam na głowy cały Dom Smoka i skutki mogą być jeszcze gorsze niż ostatnim razem. Teraz rządził Dom Feniksa, więc Dom Smoka znajdował się znacznie wyżej, czyli los będzie mu bardziej sprzyjał. Nie wiem, jak to działało, ale historia jednoznacznie wskazywała, że tak właśnie było. Demon też o tym wiedział.

— Dlaczego? — spytałem.

— Nie sądzę, by trzeba było wywoływać taką wojnę — odparł z namysłem. — Myślę, że da się znaleźć inne rozwiązanie, i dlatego chciałem się z tobą spotkać. Ale jeśli to się nie uda i pozostaną tylko dwie możliwości: że albo rozpocznę wojnę, albo Mellar się wyślizgnie, wybiorę to pierwsze. Dlaczego? Ano dlatego, że w przypadku wojny sprawy przybiorą zły obrót. Nawet bardzo zły, ale potem wojna się skończy i problemy też. Tym razem wiemy, czego się spodziewać, i będziemy na to przygotowani. Och, na pewno ucierpimy, i to bardzo, ale za parę tysięcy lat wrócimy do formy. Natomiast jeśli nie ukarzymy Mellara, nasze kłopoty nigdy się nie skończą. Jak długo Dom Jherega będzie istniał, zawsze jacyś złodzieje będą próbowali okraść czy to kasę rady, czy to osób doń należących. Staniemy się na zawsze upośledzeni. Stworzyłem Dom Jherega po Katastrofie Adrona. Z niczego, z pogardzanych przez wszystkich niedobitków bez poczucia lojalności czy odwagi odtworzyłem istniejącą i dobrze prosperującą organizację. Jestem gotów pogodzić się z koniecznością cofnięcia się o tysiąc lat czy nawet dziesięć tysięcy, jeśli nie da się tego uniknąć. Ale nie pozwolę, byśmy na zawsze stali się pośmiewiskiem.

Zgrzytnął zębami i umilkł. A ja zastanowiłem się nad tym, co usłyszałem, i niestety zmuszony byłem przyznać mu rację. Gdybym był na jego miejscu, najprawdopodobniej podjąłbym taką samą decyzję.

— Masz rację: mamy tu konflikt interesów — przyznałem. — Jeśli dasz mi dość czasu, załatwię sprawę. Ale póki co nie pozwolę ci zabić go w Czarnym Zamku. Przykro mi, ale tak wygląda sytuacja.

Pokiwał głową i spytał:

— Ile czasu potrzebujesz?

— Nie wiem. Muszę znaleźć sposób, by wyciągnąć go poza teren zamku.

— Dwa dni ci wystarczą?

Zastanowiłem się.

— Może — powiedziałem w końcu. — Prawdopodobnie nie.

Kiwnął głową i zamilkł.

Wytałem talerz kawałkiem podsuszonego z lekka chleba — to nie ja wybierałem lokal, a o opinii o kuchni nikt mnie nie prosił — i zapytałem:

— Jaki masz pomysł na uniknięcie wojny?

Potrząsnął przecząco głową. Zrobił to powoli, by uzmysłowić mi, że na ten temat nie udzieli mi żadnych informacji. Przywołał kelnera, uregulował rachunek i gdy ten odchodził, powiedział:

— Przykro mi, ale w tej sprawie będziemy musieli obejść się bez twojej współpracy. Szkoda, mógłbyś okazać się nader pomocny.

Po czym wstał i ruszył ku drzwiom.

Kelner skierował się z powrotem ku naszemu stolikowi, niosąc resztę. Machnąłem na niego, by ją zatrzymał. Byłem pogrążony w myślach. Analizowałem sytuację. Coś było ze mną nie tak, gdyż dopiero w tym momencie zrozumiałem, że Demon musiał liczyć się z takim właśnie wynikiem rozmowy, ale chciał mi dać szansę uratowania się. Poczulem pierwszą falę paniki, ale stłumiłem ją. Stało się jasne, że wlałem w pułapkę i jedyne co mogłem zrobić, to nie wychodzić z lokalu do czasu przybycia pomocy. Skoncentrowałem się, by nawiązać kontakt z Kragarem, kiedy zauważyłem, że kelner musiał źle zrozumieć mój gest, bo nadal się zbliżał.

Uniosłem rękę i w tym momencie Loiosh wrzasnął ostrzegawczo. Równocześnie dostrzegłem ruch. Odepchnąłem stół od siebie i sięgnąłem po nóż. Loiosh opuścił moje ramię i zaatakował, ale miałem świadomość, że obaj się spóźnimy. Zgranie było doskonałe, a mieliśmy przeciwko sobie zawodowców. Wściekłem się i uparłem, że zabiorę ze sobą przynajmniej jednego z napastników.

Podniosłem się z nożem w dłoni, gdy ktoś lekko zacharczał — okazało się, że to kelner, który zamiast na mnie skoczyć, zwałił się najpierw na mnie, potem na podłogę. Miał w garści kuchenny tasak, ale z szyi sterczała mu rękojeść noża.

Równocześnie trzasnęły drzwi i rozległ się pełen zawodu wrzask Loiosha. A zaraz potem zaczęli wrzeszczeć goście. Chowając nóż, rozejrzałem się uważnie. Kragar wstał od stolika znajdującego się nieco w bok od mojego i podszedł. Po Demonie i jego ochroniarzach nie było śladu. Widząc, co się święci, nawet ten, który miał mnie zaatakować od tyłu, prysnął, nim Loiosh go dopadł. Było to rozsądne posunięcie, jeśli nie był uodporniony na truciznę jherega. Loiosh wrócił na moje ramię i rozglądał się czujnie, ale było oczywiste, że na sali nie pozostał nikt poza przypadkową klientelą. Demon spróbował, nie powiodło mu się — i wiedział, że następna próba zaraz po pierwszej skończyłaby się masakrą. Zresztą ta pierwsza prawie się udała — zabiłbym kelnera, ale on zdążyłby mnie zdzielić tasakiem. W głowę.

Opadłem na siedzisko, czując dreszcze.

— Dzięki, Kragar. Byłeś tu cały czas?

— Owszem. Patrzyłeś na mnie ze dwa razy, Demon zresztą też. Kelnerzy też mnie, cholera, nie zauważyli.

— Kiedy następnym razem będziesz miał ochotę zignorować moje polecenia, zrób to. Masz moje błogosławieństwo.

Uśmiechnął się po swojemu.

— Vlad, nigdy nie ufaj komuś, kto sam siebie nazwał Demonem.

— Zapamiętam.

Wiedziałem, że za kilka minut pojawi się gwardia imperialna, a miałem parę spraw do załatwienia, więc wstałem, choć nadal trzęsło mną z nadmiaru nie wykorzystanej adrenaliny, i ruszyłem ku drzwiom prowadzącym do kuchni. Przeszedłem przez nie i wkroczyłem na zaplecze, a konkretnie do kantorka, w którym przesiadywał właściciel. Był to Dragaerianin imieniem Nethrond. Jak zwykle siedział za biurkiem. Był moim współnikiem; przejąłem połowę własności lokalu w zamian za umorzenie długu robiącego wrażenie nawet na postronnych, długu, którego w inny sposób nie zdołałby mi do śmierci spłacić. Pewnie nie miał powodów, by mnie kochać, ale mimo wszystko...

Stanąłem w drzwiach — spojrzał na mnie, jakby zobaczył śmierć we własnej osobie. Co było całkowicie zgodne z prawdą, przynajmniej w jego przypadku. Kragar został w drzwiach na wypadek, gdyby ktoś zjawił się z jakąś niecierpiącą zwłoki sprawą jak na przykład rachunek z pralni.

Zauważyłem, że Nethrond się trzęsie.

Sprawiło mi to satysfakcję — ja się już nie trząsałem.

— Ile ci zapłacił, truposzu? — spytałem.

Przełknął z trudem ślinę.

— Zapłacił? Kto...

— Wiesz kto i wiesz za co — poinformowałem go uprzejmie. — Zawsze byłeś graczem do dupy. Dlatego byłeś mi winny pieniądze i straciłeś połowę knajpy. Teraz stracisz życie. Ile ci zapłacił?

— Aaaaale nikt...

Sięgnąłem przez biurko i złapałem go lewą ręką za gardło.

— Tylko ty i ja mamy prawo najmować nowych pracowników. Dziś był tu nowy kelner; ponieważ ja go nie najałem, więc tylko ty mogłeś to zrobić. Tak się złożyło, że błazen próbował rozrząbać mi łeb toporkiem do mięsa, czyli był zabójcą. Tak samo nieudolnym jak kelnerem. Jego jedyną zaletę stanowiło więc złoto, które dostałeś za przyjęcie go do pracy. Wiem od kogo, chcę wiedzieć ile.

Próbował potrząsnąć przecząco głową, lecz mój chwyt mu to uniemożliwił. Próbował zaprzeczyć, więc ścisnąłem go mocniej. Próbował przełknąć — na to mu pozwoliłem. Przez moment łapał powietrze, nim wykrztusił:

— Nie wiem, o czym...

W mojej prawej dłoni pojawił się nóż — ten sam co parę chwil temu. Dobry, uczciwy nóż z siedmiocalowym, długim i wąskim ostrzem. Doskonale leżał mi w dłoni, co nieczęsto zdarza się w wypadku noży dragaeriańskiej roboty. Dźgnąłem go lekko w brzuch — ot, tyle by na ubraniu pojawiła się krew i by to poczuł. Kwiknął cienko i sprawiał wrażenie mdlejącego. Cała ta sytuacja jako żywo przypominała nasze pierwsze spotkanie, gdy dowiedział się, że jestem jego nowym współnikiem. Wtedy też dokładnie wytłumaczyłem mu, co go czeka, jeśli okaże

się niełojalnym partnerem. Należał do Domu Jhegaali, ale doskonale pasowałby do Domu Teckli. Na wszelki wypadek puściłem jego szyję i spoliczkowałem dwa razy.

Kiwnął głową i wyciągnął z szuflady sakiewkę.

— Ile tam jest?

— Ty... tysiąc imperiali, milordzie...

Prychnąłem pogardliwie.

— Kto ci to zaproponował: zabójca, Demon czy jakiś przydupas?

Zamknął oczy, jakby miał nadzieję, że gdy je otworzy, ja zniknę.

— Demon — wyszeptał.

— Doprawdy? Jestem zaszczycony, że przejawia aż takie zainteresowanie moją osobą.

Zaczął skomleć.

— I zagwarantowałeś mi, że będę martwy, tak?

Skinął głową.

— Ochroń też ci zagwarantowałeś? — upewniłem się.

Ponownie kiwnął potakująco.

Potrząsnąłem smętnie głową: niektórzy nigdy się niczego nie nauczą.

* * *

Poprosiłem Kragara, by nas obu teleportował do biura.

Przyjrzał się nieboszczykowi siedzącemu za biurkiem.

— Wstyd tak popełnić samobójstwo — ocenił.

Musiałem się zgodzić.

— Gwardia już jest? — spytałem, chowając sakiewkę.

— Skądże. W końcu się zjawia, ale raczej nikomu się nie spieszy, by ich zawiadomić, a nie jest to ich ulubiona okolica do patrolowania.

— To dobrze. Wracajmy do domu.

Kragar zaczął teleport, a ja dodałem, spoglądając wymownie na ciało:

— Nigdy nie ufaj komuś, kto sam siebie nazwał Demonem.

Otoczające nas pomieszczenie zniknęło.

Rozdział dziewiąty

*„Jeśli się czegoś najpierw nie rozwali,
nie sposób tego poskładać”*

Przez lata wyrobiłem sobie pewien rytuał postępowania po każdej próbie zamachu na siebie. Po pierwsze, wracałem najszybciej jak się dało do biura. Po drugie, siadałem za biurkiem i gapiłem się tępo przed siebie. Po trzecie, rzygałem tak, jakby żołądek miał mi się przenicować. Po czwarte, gdy torsje minęły, wracałem za biurko i trząsałem się przez naprawdę długi czas.

W którymś momencie, gdy tak mną trzęsło, zjawiała się Cawti i zabierała mnie do domu. Karmiła mnie, jeśli wcześniej nie jadłem, i kładła do łóżka, bo i tak żadnego pożytku ze mnie nie było.

Tym razem o śnie nie było mowy — Alera mnie oczekiwała. Kiedy odzyskałem siły na tyle, by móc się poruszać, zabrałem się do teleportacji. Normalnie nie muszę się do tego przygotowywać. Zwykle zresztą nie robię tego sam z uwagi na sensacje żołądkowe, ale tym razem jakoś tak nie miałem ochoty na niczyją pomoc, a wymiotować i tak nie miałem czym. Nie żebym nie ufał wynajętym magom, ale... a może i im nie ufałem.

Wyjąłem zaczarowany sztylet (tanią tandetę nasyconą prostą magią na straganie, ale zawsze to lepsze niż nic) i starannie wydrapałem na podłodze diagram oraz resztę symboli. Nie były konieczne, ale pomagały się skupić i uspokoić.

Cawti pocałowała mnie na pożegnanie — nawet nie zauważyłem, kiedy się zjawiała. Wydało mi się, że przytuliła się mocniej niż zwykle, ale to mogło być złudzenie. Byłem chwilowo zdecydowanie nadwrażliwy.

Teleportacja przebiegła sprawnie i bez problemów i niedługo stanąłem na dziedzińcu Czarnego Zamku. Obróciłem się na pięcie — i tak świat się kręcił, więc niewielka różnica. Nikt za mną nie stał i w ogóle nikogo w zasięgu wzroku nie było.

Podszedłem do wielkich podwójnych wrót, rozglądając się uważnie. Otworzyły się jak zwykle same i z trudem opanowałem odruch, by odskoczyć.

„Szefie, trochę spokoju i opanowania.”

„Bo co!”

„Bo nikt cię nie zaatakuje w Czarnym Zamku.”
„I co z tego?”
„To po co te nerwy?”
„Poprawiają mi samopoczucie.”
„A mnie pogarszają.”
„Masz pecha.”
„Uspokój się, dobrze? Jakby co to cię obronię.”
„Nie wątpię w twoje możliwości czy intencje, ale ujmijmy to tak: mam ochotę być nerwowy. W porządku?”
„Nie.”
„Twoja sprawa.”

Miał jednak sporo racji. Spróbowałem się uspokoić i nawet częściowo mi się udało. Lady Teldra z kolei udało, że nie ma nic niezwykłego w tym, że kazałem jej iść przodem i to dobre pięć kroków od siebie. Ufałem jej, ale minio wszystko to mógł być imitator. Co prawda nigdy nic podobnego się w Czarnym Zamku nie wydarzyło, ale zawsze kiedyś jest ten pierwszy raz.

W ten sposób dotarliśmy do apartamentów Aliery, gdzie lady Teldra opuściła mnie z dwornym ukłonem. Klasnąłem, usłyszałem zaproszenie Aliery i otworzyłem drzwi na pełną szerokość, nim przekroczyłem próg. Nic na mnie nie skoczyło, więc zaryzykowałem drugi krok.

Aliera siedziała w nogach łoża, wygodnie skulona w raczej dziwnej pozycji. Mimo to z łatwością mogła dobyć Pathfinderera. Rozejrzałem się nader uważnie.

Ponieważ nic dziwnego nie zauważyłem, wszedłem, zamknąłem drzwi i ustawiłem fotel tak, by dotykał oparciem ściany. Dopiero wtedy w nim usiadłem. Aliera obserwowała moje poczynania.

— Coś nie w porządku, Vlad?

— Nie.

— Jesteś pewien?

Skinałem głową, zastanawiając się na tym, jak najszybciej zerwać się i po co sięgnąć, gdyby jednak ktoś mnie tu zaatakował... Aliera nagle uniosła dłoń i wykonała gest zwykle towarzyszący użyciu magii...

Loiosh syknął zirytowany, gdy padłem na podłogę, przetoczyłem się w bok i zerwałem na równe nogi ze Spellbreakerem w garści. Nie poczułem jednak mrowienia towarzyszącego zawsze przechwyceniu przez niego magii, toteż spojrzałem zdziwiony na Alierę. A ona z kolei przyglądała się mnie z dużym zainteresowaniem.

— Co w ciebie wstąpiło? — spytała uprzejmie.

— Co zrobiłaś?

— Chciałam sprawdzić twoje pochodzenie, bo coś mi mówi, że masz utajone geny Domu Teckli — odparła z kamiennym spokojem.

To mnie dobiło.

Siadłem na posadzce i wybuchnąłem tak szaleńczym śmiechem, że po policzkach pociekły mi łzy. Aliera, jak podejrzewałem, miała dylemat — przyłączyć się do mnie czy zabrać do leczenia. Uspokoilem się w końcu i poczułem się o wiele lepiej. Odzyskałem oddech, wróciłem na fotel i już tylko z lekka chichocząc, otarłem łzy. Loiosh skończył lizać gospodynię po prawym uchu i wrócił na moje ramię.

— Dzięki — wysapałem. — Pomogło.

— A tak w ogóle to co się stało?

— Ktoś niedawno próbował mnie zabić.

Spojrzała na mnie zaskoczona i spytała:

— I co z tego?

To o mały włos nie posłało mnie z powrotem w drgawkach na podłogę, ale zdołałem nad sobą zapanować. Ledwie.

— To moje utajone geny Domu Teckli.

— Rozumiem.

Żeby nie wpaść w kolejny koszmarek typu: rozmawiamy, tylko każde mówi o czymś innym, skoncentrowałem się na tym, co mnie tu sprowadziło, czyli na kwestiach zawodowych.

— Zdołałaś sprawdzić to, o co cię prosiłem? — spytałem.

Kiwnęła głową.

— Wykrył to?

— Nie miał prawa.

— To dobrze. Odkryłaś coś ciekawego?

Spojrzała na mnie dziwnie — podobnie jak wówczas gdy wszedłem — i spytała:

— Vlad, dlaczego pytasz o jego genetyczny rodowód? To moja mała specjalność, ale dlaczego ty się tym zainteresowałaś?

Wzruszyłem wymownie ramionami.

— Bo nie zdołałem dowiedzieć się czegokolwiek o jego przeszłości. Pomyślałem, że jeśli zdobędę jakieś informacje o rodzicach, to może pomóc. Byłem zdziwiony, bo zwykle nie miałem żadnych problemów, by dowiedzieć się wszystkiego, czego chciałem o pochodzeniu i życiu osoby, która mnie interesowała z przyczyn zawodowych. Zresztą najlepiej wiesz, że nigdy nie prosiłem cię o tego typu pomoc. On po prostu nie jest normalny!

— A co do tego, to całkowicie się z tobą zgadzam — oświadczyła niespodziewanie.

— Pod jakim względem? Co znalazłaś?

Wskazała wymownym gestem barek. Wyjąłem z niego butelkę deserowego Ailour i podałem jej. Schłodziła ją szybkim gestem i oddała mi. Otworzyłem, rozlałem trunek do dwóch kielichów i podałem jej jeden.

— Fakt, coś znalazłam — przyznała i upiła całkiem solidny łyk.

— Jesteś pewna, że się nie zorientował?
— Nie miał magicznej osłony, a to naprawdę prosty zabieg.
— Doskonale! I co znalazłaś?
— Dziwaczność.
— Przestań się ze mną droczyć i powiedz wreszcie! Czasami jesteś równie niemożliwa jak Loioosh.

„Przypomnij to sobie, gdy któregoś ranka znajdziesz na poduszce zdechłą tecklę.”

Zignorowałem go.

Aliera zaś zignorowała moją złośliwość. Potrząsnęła głową, jakby nadal nie mogła wyjść z podziwu, i powiedziała:

— Vlad, on ma geny Smoka.

Chwilę zajęło mi przełknięcie tej informacji.

— Jesteś tego zupełnie pewna?

— Absolutnie. Gdybym miała więcej czasu, powiedziałabym ci, z której linii. Ale to nie wszystko: on jest mieszańcem.

— Aha — wykrztusiłem.

Mieszkańcy stanowili wśród Dragaerian rzadkość. W praktyce nie mogli liczyć na zaakceptowanie przez żaden inny dom niż Dom Jherega. Ale i tak mieli łatwiejsze życie niż ludzie, więc nie zamierzałem roztkliwiać się nad Mellarem.

— On ma geny trzech Domów — wyjaśniła. — Po jednym rodzicu to Smok i Dzur, po drugim Jhereg.

— Hmm... no tak. Nie sądziłem, że można zidentyfikować geny Domu Jherega jako takie. Przecież to mieszanka genów wszystkich pozostałych domów.

— Jeśli ta mieszanka trwa przez wystarczającą liczbę pokoleń, to staje się swoistym wyróżnikiem, cechą niepowtarzalną — wyjaśniła z uśmiechem.

Potrząsnąłem głową zniechęcony i przyznałem:

— I tak tego nigdy nie zrozumiem. Pojęcia nie mam, jak potrafisz znaleźć gen, a co dopiero zidentyfikować go jako należący do konkretnego domu.

Aliera wzruszyła ramionami.

— To przypomina sondę telepatyczną, tylko że nie szukasz niczego w umyśle. Dlatego właśnie tak trudno jest to wykryć. Każdy potrafi stwierdzić, czy ktoś sondował go telepatycznie, chyba że robił to ekspert, ale odkrycie, że ktoś sondował twój palec, jest nieporównanie trudniejsze.

Przed oczyma stanął mi obraz Cesarzowej trzymającej w dłoni odcięty kciuk i mówiącej groźnie: „Teraz gadaj, gdzie cię ostatnio wsadzili?”

Zachichotałem i nie usłyszałem tego, co Aliera mówiła dalej.

— Przepraszam. Co powiedziałaś?

— Powiedziała, że określenie, do jakiego domu ktoś należy, nie jest takie trudne, kiedy się wie, czego szukać. Każde zwierzę jest inne i...

— Zaraz, moment! Naturalnie, że każde zwierzę jest inne, ale nie rozmawiamy o zwierzętach, tylko o Dragaerianach — powstrzymałem się od stosownego złośliwego komentarza, bo nie wydało mi się, by gospodyni była w odpowiednim nastroju.

— Vlad, przecież nazwy domów to nie przypadek.

— Co masz na myśli?

— Oh... jak ci się wydaje, w jaki sposób Dom Smoka uzyskał swoją nazwę?

— Zawsze sądziłem, że z powodu podobieństwa charakterów. Podobnie jak smoki jesteście choleryczni, przyzwyczajeni do stawiania na swoim, niecierpliwi...

— No dobrze: sama się o to prosiłam, padlinożerco! Mylisz się. Chodzi o to, że jeśli cofnąłbyś się o kilka tysięcy pokoleń u moich na przykład przodków, bo jestem z czystej genetycznie linii, znalazłbyś normalnego smoka.

I ty jesteś z tego dumna? — przemknęło mi przez myśl, ale nie dotarło do języka.

Musiałem jednak wyglądać na porządnie zszokowanego, ponieważ dodała łagodnie:

— Sądziłam, że wiesz o tym.

— Pierwszy raz o tym słyszę. Chcesz powiedzieć, że należący do Domu Teckli są potomkami zwierząt o tej samej nazwie?

Teraz ona wyglądała na zaskoczoną, ale tylko przez chwilę.

— Potomkowie to nie jest właściwe słowo. Pierwotnie wszyscy Dragaerianie należeli do tego samego gatunku, ale sytuacja zmieniła się, gdy... jak by to ująć... Kiedyś Dragaerą rządziły pewne istoty. Należały do rasy zwanej Jenoine. Dragaerianie i ludzie używały do eksperymentów genetycznych. Kiedy odeszły, Dragaerianie podzielili się na plemiona w oparciu o naturalną więź ze zwierzętami, których geny posiadali. Domy powstały po utworzeniu Imperium przez Kieroną Zdobywcę — nie dodała „mojego przodka”, ale nie musiała. — A do eksperymentów wykorzystywali zasoby genetyczne dzikich zwierząt zamieszkujących tę planetę.

— Ale sami Dragaerianie nie krzyżowali się fizycznie z tymi zwierzętami? Nie było żadnych pół smoków, pół Dragaerian czy Dragaerian z głowami teckli?

— Nie.

— To w jaki sposób?

— Nie wiem. Sama jestem ciekawa, jak to robili, ale jak dotąd nie znalazłam rozwiązania tej zagadki.

— A co ci... Jenini...

— Jenoine.

— Niech będzie. Co zrobili ludziom?

— Prawdę mówiąc, sami do końca nie jesteśmy pewni. Jedną z popularniejszych teorii głosi, że wykształcili w was w ten sposób zdolności telepatyczne.

— Fascynujące. A przyszło ci kiedyś na myśl, że możemy wywodzić się z tej samej rasy?

— Absurd. Nie jesteśmy w stanie mieć ze sobą dzieci; gdyby było tak, jak mówisz, może nie za często, ale zdarzałyby się takie przypadki. A nie wydarzył się ani jeden. Poza tym jestem prawie pewna, że ludzie nie są rasą powstała na Dragaerze, lecz zostali tu sprowadzeni z innego świata przez Jenoine jako czynnik kontrolny do ich testów.

— Jako co?!

— Czynnik kontrolny. Kiedy ludzie uzyskali zdolności telepatyczne równe bądź prawie równe naszym, Jenoine zaprzestali dalszych eksperymentów na nich i zaczęli eksperymentować z nami. A potem obserwowali, jak obie rasy współżyją czy też zwalczają się wzajemnie.

Wstrząsnęło mną i to bardziej niż z lekka.

— Chcesz powiedzieć, że nadal mogą tu być i obserwować. . .

— Nie — przerwała mi stanowczo. — Należą do przeszłości i choć nie wszyscy zostali zniszczeni, na Dragaerę przybywają niezwykle rzadko. A kiedy już się to zdarza, nie są w stanie nad nami dominować tak, jak to kiedyś miało miejsce. Ostatniego zniszczyła po zawziętej walce Sethra Lavode parę lat temu.

Przypomniałem sobie pierwsze spotkanie z Sethrą. Wyglądała na zaniepokojoną i oświadczyła, że nie może chwilowo opuścić Góry Dzura. A krótko potem robiła wrażenie solidnie wyczerpanej. Oto rozwiązała się kolejna ze starych zagadek. . .

— Jak zostali zniszczeni? — spytałem. — Powstaliście przeciw nim?

— Mieli rozmaite fascynacje poza genetyką. Jedną z nich było studiowanie Chaosu. Najprawdopodobniej nigdy dokładnie się nie dowiemy, co się stało, ale nie ulega wątpliwości, że któryś eksperyment wymknął im się spod kontroli albo też się pokłócili i użyli Chaosu jako broni. W każdym razie w wyniku tego „bum” mamy Wielkie Morze Chaosu, paru nowych bogów — i nie mamy Jenoine.

Zdecydowałem, że jak na jeden raz wystarczy lekcji historii. Choć w sumie nie była to moja historia, w jakiś sposób mnie fascynowała, no i nie sposób ukryć, że była rzeczywiście interesująca.

— To zadziwiająco przypomina to, co na mniejszą skalę przytrafiło się nie tak dawno Adronowi — zauważyłem. — W efekcie mamy Morze Chaosu na północy, mieliśmy Bezkrólewie. . . Alierą?!

Przyglądała mi się dziwnie i nic nie mówiła.

I nagle mnie olśniło.

— To jest magia przedimperialna! To magia Jenoine! — aż się wstrząsnąłem, uświadomiwszy sobie logiczny wniosek wypływający z tego odkrycia. — Nie dziwię się, że Imperium nie lubi tych, którzy próbują ją poznać!

Alierą ożywiła się.

— Dokładniej rzecz ujmując, magia z okresu poprzedzającego Imperium to bezpośrednie manipulowanie czystym chaosem — wyjaśniła. — Naginanie go do woli adepta.

Ponownie wstrząsnąłem się na myśl o konsekwencjach.

— To raczej niezbyt bezpieczne — zauważyłem.

Wzruszyła ramionami i nie skomentowała mojego wniosku. Naturalnie podchodziła do tego inaczej, czemu trudno się dziwić — jej ojcem był Adron, który przypadkiem zniszczył całe miasto zwące się Dragaerą i stworzył na jego miejscu morze chaosu.

— Mam nadzieję, że Morrolan nie próbuje powtórzyć tego wyczynu twojego ojca — powiedziałem nieśmiało.

— Nie zdoła.

— Dlaczego? Używa magii przedimperialnej...

Skrzywiła się zabawnie, więc urwałem.

— Nieprecyzyjnie się wyraziłam, stąd troszkę ci się pomieszało. Magia poprzedzająca Imperium to prawie bezpośrednie manipulowanie czystym chaosem. Do tego, by bezpośrednio nim manipulować, oprócz wiedzy, którą można nabyć, trzeba mieć talent, możliwość tworzenia chaosu. Adron ją posiadał...

— A Morrolan nie? Biedactwo! Jak on może bez tego żyć?!

Aliera zachichotała.

— Tego nie da się nauczyć, więc nie zdaje sobie sprawy, czego nie ma. To kwestia genów i z tego co wiem, tylko ród e'Kieronów Domu Smoka posiada tę zdolność. Choć podobno sam Kieron jej nie miał...

— Zastanawiam się, jak dziedziczenie genetyczne ma się do reinkarnacji duszy — palnąłem.

— Dziwnie — odparła zwięźle Aliera e'Kieron.

— No cóż. Przynajmniej wiem, skąd się wywodzą dragaeriańskie damy, choć dziwi mnie, że ci cali Jenoine tracili czas na wytworzenie w części z was cech genetycznych takiego dajmy na to jherega.

„Zapamiętam to sobie, szefie.”

„Bądź cicho.”

— Nie marnowali akurat na to czasu.

— Proszę?

— Znaleźli sposób pozwalający zmieścić w mózgu jherega, a ma on wielkość orzecha, inteligencję prawie ludzką, ale nigdy nie próbowali mieszać genów jherega i Dragaerian.

„Widzisz, Loioosh? Powinieneś być im wdzięczny, że...”

„Cicho, szefie!”

— Przecież powiedziałeś...

— Dom Jherega to wyjątek. Jako jedyny nie wywodzi się z żadnego plemienia.

— Skąd więc?

— Żebyś to zrozumiał, musimy cofnąć się do czasów tworzenia Imperium, a nawet jeszcze dalej. Z tego co wiadomo, pierwotnie istniało około trzydziestu plemion. Dokładna liczba nie jest znana, bo w tych czasach nie istniało słowo pisane. Wiele z tych plemion wymarło jako nieprzystosowane czy zbyt szczupłe i w końcu pozostało ich szesnaście. To znaczy piętnaście i plemię Teckli, nie bardzo nadające się do czegokolwiek.

— Wynaleźli rolnictwo — wtrąciłem — a to już coś.

Machnęła lekceważąco ręką i ciągnęła dalej:

— Kieron Zdobywca zwołał przedstawicieli plemion, w czym pomogła mu rada najlepszych szamanów. Zjednoczyli się, by przegnać ludzi z części najlepszych terenów.

— Dla rolnictwa — dodałem.

— Poza plemionami żyła też duża grupa wyrzutków. Wielu z nich pochodziło z plemienia Smoka, ponieważ obowiązywały w nim wyższe standardy niż w pozostałych — rzuciła dumnie głową. Nie skomentowałem tego, głównie zresztą dlatego, że spodziewała się komentarza. — Żyli oni w niewielkich grupkach, które zdołał zjednoczyć pewien były Smok imieniem Dolivar. Część przywódców takich grup przekonał, resztę zabił i zgromadził wszystkich pod swoim dowództwem. Sądzę, że przez złośliwość nazwali się plemieniem Jherega. Jej zwyczaje przypominały zresztą zwyczaje tego ostatniego: członkowie plemienia żyli głównie kosztem innych plemion: kradli, napadali i uciekali z łupem. Mieli nawet paru swoich szamanów.

— Dlaczego więc pozostałe plemiona nie dogadały się i nie wycięły ich przy jakiejś okazji do ostatniego?

— Część chciała tak postąpić, lecz Kieron potrzebował szpiegów i zwiadowców, by wygrać wojnę z ludźmi, a oni nadawali się do tego wręcz idealnie, w przeciwieństwie do członków pozostałych plemion.

— A dlaczego zgodzili się mu pomóc?

— Sądzę, że Dolivar rozsądnie uznał, że jest to atrakcyjniejsza perspektywa od zagłady. Zanim rozpoczęto wielki marsz, spotkał się z Kieronem i doprowadził do zawarcia ugody, która stanowiła, że jeżeli jego plemię przyczyni się do zwycięstwa, stanie się częścią Imperium po zakończeniu wojny.

— Rozumiem. W ten sposób Dom Jherega stał się częścią cyklu. Interesujące.

— I owszem. To zresztą stało się powodem śmierci Kierona.

— Co?

— Ugoda. Wymusił ją po zakończeniu wojny z ludźmi, a pozostałe plemiona uważały, że w czasie pokoju plemię Jherega będzie wyłącznie przysparzać kłopotów. Został zabity przez grupę wojowników i szamanów z plemienia Lyorna, którzy uznali, że jest odpowiedzialny za część problemów, na jakie wyżej wymienieni narażali Imperium.

— A więc wszystko zawdzięczamy Kieronowi? — podsumowałem.

— Kieronowi i Dolivarowi, który wpieryw wymusił na nim ugodę, a potem zmusił wszystkich ze swego plemienia, by się na nią zgodzili.

— Ciekawe, dlaczego nigdy o nim nie słyszałem? Nie znam żadnych wzmianek na jego temat, a przecież Dom Jherega powinien uważać go za bohatera.

— Znalazłbyś takie zapisy, gdybyś pokopał wystarczająco głęboko i długo, choć może nie w archiwach Domu Jherega. Bohaterowie nie cieszą się tam zbyt dużym poważaniem. Archiwa Domu Lyorna zawierają natomiast stosowne informacje.

— To z nich wiesz to wszystko.

— Nie. Wiele dowiedziałam się od Sethry, a część sama pamiętam.

— Co?!

— Słyszałam, że wiek Sethry oceniany jest na dziesięć tysięcy lat. W rzeczywistości jest ponad dwadzieścia razy starsza. Była świadkiem tego, o czym ci opowiedziałam. Ona jest naprawdę starsza niż Imperium.

— Alera, to niemożliwe! Nikt nie może żyć dwieście tysięcy lat!

— Powiedz to Górze Dzura.

— Ale... a ty? Jak ty możesz to pamiętać?

— Nie bądź durkiem, Vlad. Dzięki regresji i dostępowi do pamięci poprzednich wcieleń. Myślałeś, że reinkarnacja to jakiś proces religijny czy jeden z mitów, w których wy, ludzie, tak się lubujecie? — w jej oczach zapłonął dziwny blask. — Ja też tam byłam, tylko musiałam to sobie przypomnieć, bo wtedy byłam kimś innym. Byłam świadkiem, jak Kieron został postawiony w sytuacji bez wyjścia przez Dolivara, swego brata... a raczej byłego brata, bo Dolivar został wyrzucony z plemienia Smoka za zhańbienie siebie i całego plemienia. Temu też jestem częściowo winna, podobnie jak Sethra... mogła temu zapobiec, ale chybiła... celowo. Widziałam to i nie zareagowałam...

Może przez to jestem odpowiedzialna za późniejszą śmierć brata... nie wiem...

— Brata?! — zaczynało mi brakować wyobraźni.

— Brata — powtórzyła. — Bo pierwotnie było nas troje: Kieron, Dolivar i ja.

Odwróciła się ku mnie i poczułam dziwny szum w uszach. Nie byłam w stanie potraktować jej opowieści jako bujdy, majaczenia obłąkanego umysłu czy mitu.

— W tamtym życiu byłam szamanką i to dobrą. Kieron był wojownikiem. On nadal przebywa na Ścieżkach Umarłych, Vlad. Rozmawiałam z nim. Poznał mnie. Szaman, wojownik... i zdrajca. Choć gdy Dolivar nas zdradził, nie uważaliśmy go już za brata. Aż do głębi duszy stał się Jheregiem — zamilkła na długą chwilę, a ja nie miałam nic rozsądnego do powiedzenia, więc też milczałam. — Pytałeś, jak dziedziczenie genetyczne ma się do reinkarnacji duszy... to jedyne właściwe słowo na opisanie tych interakcji ciała i ducha. Kieron nie odrodził się nigdy... ja odrodziłam się jako jego potomek w prostej linii... A ty...

Spojrzała na mnie w sposób, którego nie potrafiłem zrozumieć, nim mnie nagle nie olśniło. Chciałem krzyknąć, żeby tego nie mówiła, ale przez te wszystkie wieki Alera zawsze była odrobinę ode mnie szybsza. . .

— Ty stałeś się człowiekiem, bracie.

Rozdział dziesiąty

*„Ktoś popełnia błąd,
a ktoś inny na tym korzysta”*

Jak się sypie, to wszystko.

Wróciłem do biura i przez długą chwilę zajmowałem się nieróbstwem. Potrzebowałem czasu — najprawdopodobniej dni — by w pełni przetrawić uzyskane informacje i pogodzić się z prawdą. Okazało się, że mam na to jakieś dziesięć minut.

— Vlad? — powiedział Kragar. — Hej, Vlad!

Spojrzałem w stronę, z której dochodził głos, i po chwili zdołałem zogniskować spojrzenie na Kragarze. Siedział naprzeciwko i wyglądał na poważnie zaniepokojonego.

— Co się stało? — spytałem.

— Właśnie to chciałbym wiedzieć.

— Ee? — zdziwiłem się inteligentnie.

— Coś nie w porządku? — sprecyzował.

— Tak... Nie... Cholera, Kragar... nie wiem...

— Brzmi poważnie.

— Bo jest. Właśnie cały mój świat stanął dęba i jeszcze się z tym nie pogodziłem — przechyliłem się przez biurko, złapałem go za kaftan i dodałem poważnie: — Dobra rada, przyjacielu: jeśli cenisz swój zdrowy rozsądek, to nigdy, ale to nigdy nie rozmawiaj sobie od serca z Alierą.

— Oo, to naprawdę poważne — zdiagnozował.

Przez długą chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

— Kragar? — odezwałem się w końcu.

— Tak?

Przygryzłem wargę — nigdy dotąd nie poruszałem tego tematu, ale...

— Jak się czułeś, kiedy wyrzucili cię z Domu Smoka?

— Ulżyło mi — oświadczył bez wahania. — Dlaczego pytasz?

Westchnąłem ciężko.

— Nieważne...

Spróbowałem pokonać przygnębienie i wrócić do życia. Prawie mi się udało.
— Co ci chodzi po głowie, Kragar? — spytałem.
— Zastanawiam się, czy czegoś się dowiedziałeś — odparł niewinnie.
Pytanie było tak absurdatne, że zacząłem się śmiać. Kragar przyglądał mi się już poważnie zaniepokojony, a ja śmiałem się jak głupi do sera i nie byłem w stanie nad tym zapanować.
W końcu Kragar przechylił się przez biurko i wymierzył mi siarczasty policzek.
„Szefie, opanuj się” — dołączył do niego Loioosh.
Spróbowałem.
„Łatwo ci mówić. Nie dowiedziałeś się właśnie, że kiedyś byłeś czymś, czego nienawidzisz, i kimś, kim pogardzisz.”
„I co z tego? Za to ty nie dowiedziałeś się, że nadal byłbyś głupim ścierwojadem, gdyby jakiś pseudobożek nie postanowił pobawić się kosztem twoich przodków” — warknął w odpowiedzi.
Miał rację.
— W porządku, Kragar — powiedziałem już spokojnie. — Dzięki.
Nadal wyglądał na zaniepokojonego.
— Jesteś pewien?
— Nie.
— Wspaniale! — jęknął, unosząc oczy ku sufitowi. — No więc jeśli potrafisz zapanować nad histerią, to może odpowiedz na pytanie: czego się dowiedziałeś?
Prawie dostałem drugiego napadu, ale zdołałem wziąć się w garść, nim Kragar strzelił mnie ponownie w pysk. Nie zamierzałem mu naturalnie powiedzieć tego, co najważniejsze, ale przecież nie o to pytał. Dojście do tego, o co pytał, zajęło mi chwilę.
— Mellar to mieszaniec wywodzący się z trzech domów. . . — zacząłem i streściłem mu stosowny fragment rozmowy.
Zaskoczyła go ta informacja.
— To zaczyna być interesujące — ocenił. — Dzur i Smok. . . no dobra. To może byś spróbował dowiedzieć się czegoś w Domu Dzura, a ja spróbuję u Smoków.
— Myślę, że sensowniej byłoby na odwrót, skoro mam pewne koneksje wśród Smoków.
Przyjrzał mi się z namysłem i spytał:
— A jesteś całkiem pewien, że chcesz skorzystać z tych koneksji właśnie teraz?
Przemyślałem tę kwestię i przyznałem mu rację.
— Dobrze, sprawdzę archiwum Dzurów. Jak myślisz, czego powinniśmy szukać?

— Nie jestem pewien... — zamyślił się i przekrzywił głowę: albo ciężko myślał, albo nawiązał z kimś łączność telepatyczną.

Poczekajcie cierpliwie.

— Wiesz, jak to jest być mieszańcem, Vlad? — spytał w końcu.

— Wiem, że nie aż tak źle jak być człowiekiem.

— Jesteś pewien?

— O co ci chodzi? Dobrze wiesz, przez co musiałem przejść.

— Wiem. I faktycznie nie miał większości twoich problemów, ale jeśli odziedziczył prawdziwego ducha każdego z domów, to nie wiem, czy nie było mu gorzej niż tobie. Możesz sobie wyobrazić, co czuje Dzur, któremu odmówiono miejsca na honorowej liście bohaterów, mimo że swym postępowaniem na nie zapracował? Albo Smok, któremu nie pozwolono dowodzić oddziałem, którym na egzaminie dowodził bezbłędnie? Jedyne miejsce, które mógł go przyjąć bez sztyku, to Dom Jherega, ale to nie znaczy, że nie ma tu takich, którzy by nie gnoli go przy lada okazji. Ty wiedziałeś, kim jesteś i na co możesz liczyć, on wiedział, kim jest i na co nigdy nie będzie mógł liczyć. I cały czas wiedział, że zasłużył na coś lepszego.

— A ja to nie?

— Wiesz, o co mi chodzi.

— Chyba wiem, a przynajmniej rozumiem różnicę między sobą i nim. Ale co nam to daje?

Pytanie zaskoczyło Kragara, co widać było tak po jego minie, jak i po tym, że odpowiedział dopiero po namyśle:

— Nie wiem dokładnie, ale to musiało odbić się na jego charakterze i postępowaniu.

— Dobrze, będę o tym pamiętał.

— W takim razie wezmę się do roboty.

— Jasne. Aha, spróbuj wydostać od Daymara ten kryształ z wizerunkiem Mel-lara, może mi być potrzebny.

— Na kiedy chcesz go mieć?

— Na jutro rano. Wieczór mam wolny, do pracy biorę się od jutra.

— Jasne — w głosie Kragara słychać było zrozumienie i sympatię, co nie zdarzało się często.

— Jeszcze tu posiedzę. Do zobaczenia jutro.

* * *

Jadłem kolację mechanicznie, dziękując losowi, że dziś wypadła kolej Cawti

na gotowanie i sprzątanie. Wątpię, bym zdobył się na jedno i drugie, gdyby to był mój dyżur.

Gdy skończyłem, przeniosłem się do salonu, rozsiadłem wygodnie i spróbowałem dojść do ładu z pewnymi kwestiami. Nie doszedłem. Cawti przyszła i usiadła obok. I tak siedzieliśmy w ciszy przez długi czas.

Próbowałem obalić prawdziwość tego, co mi Alera powiedziała, lub potraktować to jako mieszaninę mitów, nadziei i przesądów, ale nic to nie dało — historia była zbyt spójna. A podstawowy argument miał formę pytania, na które znajdowałem tylko jedną odpowiedź: z jakiego innego powodu Sethra Lavode byłaby do mnie tak przyjaźnie nastawiona? Dla niej Jherag i w dodatku człowiek był nikim. A Alera wierzyła w to, co powiedziała, bo inaczej dlaczego traktowałaby mnie jak równego? A tak najczęściej postępowała.

A najgorsze było to, że czułem, iż jest to prawda. To właśnie, że gdzieś w głębi byłem przekonany, iż ona ma rację. A to oznaczało, że cała moja dotychczasowa motywacja, dzięki której stałem się tym, kim byłem, czyli nienawiść do Dragaerian, była fałszywa. Pogarda dla Smoków nie wynikała z tego, iż mój system wartości był lepszy, ale z poczucia niższości trwającego dwieście czy dwieście pięćdziesiąt tysięcy lat. To się w głowie nie mieściło!

Zdałem sobie sprawę, że Cawti trzyma mnie za rękę. Uśmiechnąłem się do niej, choć pewnie słabo.

— Chcesz porozmawiać? — spytała cicho.

To też było dobre pytanie, bo sam nie znałem na nie odpowiedzi. W końcu jednak zacząłem mówić. I przez dwie godziny nie mogłem skończyć. Cawti wysłuchiwała wszystkiego ze zrozumieniem, ale ani jej to nie zdenerwowało, ani nią nie wstrząsnęło.

— No dobrze, ale tak naprawdę, co to zmienia? — spytała i nim zdążyłem odpowiedzieć, dodała: — Wiem. Sądziłeś, że jesteś, jaki jesteś, dlatego że jesteś człowiekiem, a teraz zaczynasz się zastanawiać. Ale to, że jesteś człowiekiem, to nie wszystko, bo to, że byłeś Dragaerianinem w poprzednim życiu, albo i kilku, nie zmienia w niczym tego, co przeszedłeś w tym.

— Nie — przyznałem — ale...

— Wiesz, co ci powiem? Jak to wszystko się skończy i zostanie zapomniane, może za rok, może za dwa, porozmawiamy z Sethrą. Dowiesz się dokładniej, co zaszło, a jeśli będziesz chciał, być może potrafi cofnąć cię w czasie, byś wszystkiego doświadczył ponownie. Natomiast na razie najlepiej o tym zapomnij. Jesteś, kim jesteś, a jeśli o mnie chodzi, to uważam, że cokolwiek to spowodowało, było dobre.

Ucałowałem jej dłoń zadowolony, że z nią porozmawiałem. Już czułem odprężenie, a zaczynałem czuć zmęczenie.

— Dzięki za kolację.

— Załóż się, że nawet nie wiesz, co jadłeś.

Zastanowiłem się przez chwilę... jajka jhegaali na miękko? Nie, to zrobiła wczoraj...

— Zaraz! — dotarło do mnie. — Dzisiaj był mój dyżur na gotowanie, tak?

Uśmiechnęła się szeroko.

— Pewnie, że był, tylko gdybym miała czekać, aż coś zrobisz, oboje byśmy z głodu zmarli. A tak jesteś mi coś winien. Sprytna jestem, no nie?

— Szlag...

— Razem to będzie jakieś dwieście czterdzieści siedem uprzejmości, które mam u ciebie — oświadczyła, siląc się na powagę.

— Ale kto by je liczył — bąknąłem.

— Właśnie.

Wstałem, nadal trzymając jej rękę, i zaprowadziłem do sypialni, gdzie postarałem się spłacić choć dzisiejszy dług... a może to ona zrobiła mi kolejną uprzejmość... wszystko w sumie zależało od punktu widzenia, który był nierozzerwalnie związany z punktem leżenia.

* * *

Służący lorda Keletharana wpuścili mnie do jego zamku z oczywistym obrzydzeniem. Zignorowałem ich i ich obrzydzenie.

— Książę przyjmie pana w gabinecie — oznajmił kamerdyner, patrząc na mnie z góry, i wyciągnął rękę po moją pelerynę.

Oddałem mu rapier, co go mocno zaskoczyło. Jedynym naprawdę skutecznym sposobem na przeżycie walki z Dzurem-bohaterem było nie dopuścić do niej. A żeby to osiągnąć, trzeba było wyglądać maksymalnie bezbronne, gdyż Dzurowie-bohaterzy niechętnie walczą, jeśli przeciwnik nie ma przewagi.

Byłem zadowolony z pomysłu, który mnie tu doprowadził — nie był może zbyt oryginalny, za to sprawdzony, dobry, niezbyt ryzykowny, a wysoce skuteczny. A co najważniejsze, typowy dla mnie. Po rozmowie z Alerą najbardziej bałem się, że w jakiś sposób zgłupieję, przestanę być zdolny do zaplanowania i przeprowadzenia nieortodoksyjnej akcji. Co prawda wynik tego planu nadal pozostawał niewiadomą, natomiast z fazy koncepcyjnej byłem całkowicie zadowolony.

Zostałem odeskortowany do gabinetu, a po drodze miałem okazję zauważyć wyraźne oznaki braku troski i gotówki: wyszczerbione granitowe płytki, popękany sufit czy ciemniejsze prostokąty na ścianach — ślady po obrazach i gobelinach.

Książę Keletharan był stary i według norm dragaeriańskich masywny, co oznaczało, że był nieco szerszy w barach i miejscami dało się nawet zauważyć muskuły. Zmarszczek, jak to u Dzurów bywa, nie miał, a jego oczy były nieco

bardziej skośne niż u przeciętnego Dzura. Brwi natomiast miał niezwykle krzaczaste, a gdyby Dragaerianie mogli nosić brody, z pewnością miałby patriarchalną. Siedział na prostym krześle z wysokim oparciem i bez poręczy. Naturalnie uzbrojony był w potężny ciężki rapier, a o biurko oparta stała laska maga.

Nie zaprosił mnie, bym usiadł, więc zrobiłem to bez zaproszenia. Pewne kwestie należy ustalić na samym początku. Zacisnął usta — pogratulowałem sobie w duchu. Jak na początek nieźle.

— O co chodzi? — spytał.

— Mam nadzieję, że nie przeszkadzam?

— Przeszkadza pan.

— Cóż. . . zwróciłem ostatnio uwagę na pewien drobiazg, który jednakże wymaga osobistej rozmowy.

Keletharan spojrział na kamerdynera — ten uklonił się i wyszedł, zamykając za sobą starannie drzwi. Dopiero wówczas gospodarz pozwolił sobie na pełną niesmaku minę.

— Ten drobiazg to bez wątpienia cztery tysiące imperiali w złocie — oświadczył.

Spróbowałem wyglądać przepraszająco, ale nie wiem, czy mi wyszło.

— Zgadza się, milordzie. Według naszych ksiąg powinien je pan spłacić ponad miesiąc temu, jesteśmy cierpliwi, jednakże. . .

— Cierpliwi! — parsknął. — Przy tych procentach, jakie sobie liczycie, moglibyście trochę poczekać, skoro klient ma drobne i chwilowe problemy finansowe.

Miał tupet! Jego problemy nie były ani chwilowe, ani drobne i nic nie powiadało, by skończyły się w przewidywalnej przyszłości, jednakże zdecydowałem, iż niepolitycznie byłoby mu to powiedzieć. Podobnie jak niewłaściwe byłoby zwrócenie uwagi, że problemów w ogóle by nie było, gdyby nie jego skłonność do kości s'yang. Zamiast tego stwierdziłem:

— Z całym szacunkiem, milordzie, ale miesiąc to całkiem rozsądny okres przedłużenia spłaty długu. A co się tyczy procentów, to znał pan ich wysokość, przychodząc do nas po pomoc.

— Przyszedłem po tę „pomoc”, gdyż. . . zresztą nieważne.

A przyszedł, bo daliśmy mu niedwuznacznie do zrozumienia, że jeśli tego nie zrobi, to wszyscy w Imperium, a zwłaszcza w Domu Dzura będą wiedzieli, że nie dość, iż nie potrafi zapanować nad skłonnością do hazardu, to na dodatek nie płaci długów honorowych, gdy przegra. Dla niego prawdopodobnie najgorsze byłoby, gdyby się rozniosło, że jest złym graczem.

— Jak milord sobie życzy — wzruszyłem ramionami, gdy nadal milczał. — Tym niemniej zmuszony jestem nalegać na. . .

— Przecież mówię, że nie mam! — wybuchnął. — Gdybym miał złoto, oddałbym wam w terminie, żeby mieć was z głowy! A jak nie dacie mi spokoju, to

klnę się na Imperialnego Feniksa, że poinformuję Imperium o nie opodatkowanych szulerniach, które znam, i o paru lichwiarzach!

W takich właśnie sytuacjach pomocna jest znajomość psychiki rozmówcy. Zwykle delikatnie, acz jednoznacznie poinformowałbym klienta, że jeśli tak postąpi, jego trupa odkryją w ciągu tygodnia za jakimś tanim burdelem, a wszystko będzie wyglądało tak, jakby zabił go jakiś pijak z najbliższej spelunki. Stosowałem już tę technikę wobec Dzurów-bohaterów z doskonałym skutkiem. Śmierć ich nie przeraża, za to perspektywa, iż pozostaną w pamięci jako ofiara pijackiej burdy, wykończeni przez jakiegoś Teckłę, stawia im włosy dęba.

W przypadku Keletharana jednak oprócz przerażenia spowodowałyby to także atak furii i to, że jestem bezbronny, mogłoby nie mieć znaczenia. A gdyby nie udało mu się zabić mnie od ręki, na pewno zrealizowałby swą groźbę i poleciał z donosem do władz. Tu trzeba było innego sposobu.

— Lordzie Keletharan, na tym ucierpiałyby pańska reputacja.

— Nie bardziej, niż ucierpi, jeśli rozgłosicie stan moich prywatnych finansów!

Westchnąłem w sposób jednoznacznie świadczący, że jestem-cierpliwy-i-próbuję-pomóc-ale-wszystko-ma-swoje-granice.

— Ile czasu pan potrzebuje? — spytałem.

— Miesiąca, może dwóch.

Potrząsnąłem smętnie głową.

— Obawiam się, że to zupełnie niemożliwe. Dobrze, proszę iść do władz. Będziemy musieli przenieść dwa czy trzy salony gier, a ze dwóch pożyczających pieniądze uda się na krótkie wakacje, ale zapewniam, że nas to tak nie zaboli jak pana w ogólnym rozrachunku — wstałem, skłoniłem się i odwróciłem.

Nie wstał, by mnie odprowadzić, co w tych okolicznościach uznałem za chamstwo, choć mogłem go zrozumieć. Krok przed drzwiami zatrzymałem się, odwróciłem ku niemu i powiedziałem:

— Chyba że...

— Chyba że co? — spytał podejrzliwie.

— Cóż, przyszło mi właśnie na myśl, że może być coś, w czym będzie pan mi w stanie pomóc, milordzie.

Patrzył na mnie długo i ciężko, próbując najwyraźniej zgadnąć, w co gram albo na jaki kant chcę go namówić. Ponieważ mam spore doświadczenie w podobnych sytuacjach, moja twarz nie wyrażała niczego.

— A co to takiego? — spytał w końcu.

— Poszukuję paru informacji związanych z historią Domu Dzura. Sądzę, że mógłbym je znaleźć samodzielnie, ale będzie to wymagało więcej pracy. Jestem pewien, że możliwe jest, by pan je odszukał, milordzie. Zresztą być może je pan posiada. Jeśli mi pan pomoże, docenię to.

Nadal był podejrzliwy, lecz równocześnie widać było, że pomysł zaczyna mu się podobać.

— A jakąż to formę przyjmie owo „docenienie”?

Udałem, że się zastanawiam.

— Sądzę, że udałoby mi się zaaranżować dwumiesięczną spłatę. Być może nawet zamrozić kwotę, jeśli by pan dostarczył tę informację szybko.

Pożuł dolną wargę, zastanawiając się, ale wiedziałem już, że jest mój. To była zbyt piękna okazja, by z niej zrezygnować — musiała być, bo tak ją wymyśliłem.

— O jakie konkretnie informacje panu chodzi? — spytał w końcu.

Wróciłem do biurka i wyjąłem z wewnętrznej kieszeni kryształ, który Kragar odebrał od Daymara. Skoncentrowałem się, a gdy pojawiła się w nim twarz Mellara, pokazałem go lordowi.

— Chodzi o to, czy wie pan lub może się dowiedzieć, kto to taki, co go łączy z Domem Dzura i kim byli jego rodzice. Każda informacja na jego temat będzie pomocna. Wiemy, że ma jakiś związek z pańskim domem, bo jeśli przyjrzeć się uważnie, widać to w jego rysach.

Keletharan zbladł, ledwie zobaczył podobiznę, co mnie mocno zdziwiło. Nie ulegało wątpliwości, że go znał, mimo iż zacisnął usta w cienką linię i odwrócił szybko wzrok.

— Kim on jest? — spytałem.

— Obawiam się, że nie mogę panu pomóc.

Na tym etapie nie było kwestią, czy naciskać dalej lub jak mocno, ale w jaki sposób. Zdecydowałem się kontynuować już rozpoczętą grę. Wzruszyłem ramionami i schowałem kryształ.

— Przykro mi to słyszeć, ale z pewnością ma pan poważne powody, by nie podzielić się ze mną tym, co pan wie. Cóż, szkoda, że przez to ucierpi pańskie dobre imię, milordzie.

I odwróciłem się ku drzwiom.

— Proszę poczekać, ja. . .

Znowu się odwróciłem, choć zaczynało mi się już kręcić w głowie. Wyglądało na to, że gospodarz toczy wewnętrzną walkę, toteż się uspokoiłem — wiedziałem, która strona wygra.

W pewnym momencie skrzywił się wściekle i warknął:

— Niech cię cholera, Jhereg! Nie możesz mnie zmusić!

Nie było sensu prostować tego całkowicie błędnego oświadczenia, więc spokojnie czekałem, zachowując uprzejme milczenie.

Opadł na krzesło, jakby ktoś wypuścił z niego powietrze ukrył twarz w dłoniach i zaczął mówić:

— Nazywa się Leareth. Nie wiem, kim byli jego rodzice ani w ogóle skąd się wziął. Pojawił się dwanaście lat temu i został przyjęty do Domu Dzura.

— Jak to: został przyjęty? Jak można zostać przyjętym do Domu Dzura? — Wiadomość była zaskakująca: dotąd sądziłem, że tylko Dom Jherega pozwala obcym kupować tytuły i przynależność.

Lord Keletharan spojrział na mnie, jakby miał ochotę zacząć warczeć i ryczeć. Patrząc na niego, bez trudu uwierzyłem Alierze, że wywodzi się od dzikiego dzura.

— By zostać przyjętym do Domu Dzura — wyjaśnił najbardziej jadowitym, a równocześnie monotonnym głosem, jaki kiedykolwiek słyszałem — trzeba pokonać w pojedynku siedemnastu zawodników wybranych przez radę Domu. Ja byłem czternastym. . . Dokonał tego jako jedyny od czasów Bezkrólewia.

Wzruszyłem ramionami.

— No dobrze, został lordem w Domu Dzura. Co w tym takiego zawstydzającego czy wymagającego zachowania ścisłej tajemnicy?

— Potem dowiedzieliśmy się pewnych rzeczy związanych z jego pochodzeniem. Był mieszańcem.

— No cóż. . . rozumiem, że mogło to być nieco denerwujące, lecz. . .

— A zaraz potem — przerwał mi — po dwóch latach, jako lord w Domu Dzura zrzekł się wszystkich tytułów i prawa do przynależności i przyłączył się do Domu Jherega! Nie rozumie pan, co to znaczy? Zrobił z nas durniów i wystawił na pośmiewisko! Mieszaniec może pokonać najlepszych z Domu Dzura, a potem pokazać wszystkim, że ma to gdzieś i tak naprawdę to mu na tym nie zależało. . .

Aż go zatrzęsło na samo wspomnienie.

Zastanowiłem się nad tym i musiałem przyznać mu rację — z punktu widzenia Dzura musiało to tak wyglądać. A swoją drogą Leareth zwany Mellarem musiał być prawdziwym mistrzem we władaniu białą bronią.

— Dziwne, że wcześniej o tym nie słyszałem. Sprawdzam tego jegomościa dokładnie i to już od pewnego czasu — przyznałem.

— Dom utrzymywał to w sekrecie. Odchodząc, Leareth zagroził, iż rozgłosi to na całe Imperium, gdyby ktoś z Domu Dzura próbował go zabić lub zabił. Nie mogliśmy sobie pozwolić na taką hańbę.

Miałem wielką ochotę parsknąć śmiechem, powstrzymały mnie jednak względy zdrowotne, czyli instynkt samozachowawczy. Zaczynałem lubić tego całego Mellara, czy jak tam się w rzeczywistości nazywał.

Tak dla pojedynczego Dzura, jak i dla całego Domu Dzura najważniejszy zawsze był honor i reputacja, a on zdołał wykorzystać jedno przeciw drugiemu i to tak skutecznie, że przez ostatnich dwanaście lat trzymał tę gromadkę bohaterów za jaja. Sądząc po pomysłowości i skuteczności, był to ktoś mego pokroju.

— A co się stanie, jeśli ktoś inny go zabije? — spytałem.

— Należy mieć nadzieję, że będzie to wyglądało na wypadek.

Potrząsnąłem głową bez komentarza.

— Dziękuję — powiedziałem. — Pomógł mi pan, milordzie, więc zrobię to samo. Przez dwa miesiące może pan nie spłacać pożyczki i nie będą od niej naliczane odsetki. Dopilnuję szczegółów. I jeżeli kiedykolwiek będzie pan potrzebował mojej pomocy, proszę dać mi znać. Jestem pańskim dłużnikiem.

Skinął głową, ale nadal wyglądał, jakby mu ktoś przetrącił kręgosłup moralny.

Wyszedłem, odebrałem broń od służby i opuściłem zamek pogrążony w rozmyślaniach. A nie były najweselsze: Mellar okazał się trudniejszym przeciwnikiem, niż sądziłem. Wygrał w uczciwej walce z najlepszymi szermierzami Domu Dzura, okazał się sprytniejszy od najlepszych kanciarzy Domu Jherega i na dodatek wykorzystał Dom Smoka, grając na honorze Morrolana.

To na pewno nie będzie łatwe, a na dodatek jeśli mi się uda, unieszczęśliwię całą masę Dzurów-bohaterów. Jeśli ta banda błędnych rycerzy kiedykolwiek do wie się, kto go zabił, to pewnikiem pobije się o prawo pierwszeństwa do walki ze mną. Przekłeta popularność.

* * *

Loiosh objechał mnie z góry na dół i z powrotem za to, że go ze sobą nie zabrałem, co postarałem się zignorować najlepiej jak potrafiłem. Kragar zaś przekazał mi, czego się dowiedział — konkretnie niczego.

— Odnalazłem paru służących, którzy pracowali w archiwum Domu Smoka, ale nic nie wiedzą.

— A ci, którzy tam nadal pracują?

— Nie chcą mówić.

— Hmm... to źle.

— Też tak myślę. Więc ubrałem się oficjalnie i poszedłem do pewnej damy, która zgodziła się poszukać dla mnie tych informacji.

— I też nic z tego nie wyszło.

— Tak bym tego nie określił.

— Mam na myśli informacje.

— A pod tym względem to tak. A tobie jak poszło?

Z satysfakcją opowiedziałem mu, czego się dowiedziałem. Satysfakcja wynikała z prostej przyczyny — naprawdę rzadko byłem lepszy od niego w zbieraniu informacji. Zapisał wszystko porządnie, zastanowił się i stwierdził:

— Wiesz, Vlad, nikt tak po prostu nie budzi się pewnego ranka i nie odkrywa, że stał się na tyle dobry, by wywalczyć sobie miejsce w Domu Dzura. Musiał nad tym pracować naprawdę długo.

— Fakt — przyznałem.

— Spróbuję ugryźć problem z tej strony.

— Myślisz, że to coś da?

— Nigdy nic nie wiadomo. Jeśli był tak dobrym szermierzem, to musiał trenować u mistrza. Może coś znajdzie.

— Dobra. A tak przy okazji, jest jeszcze coś, co mi nie daje spokoju.

— A mianowicie?

— Dlaczego?

Kragar zastanowił się, nim zaczął mówić:

— Są tylko dwie możliwości, które przysły mi do głowy. Pierwsza taka, że chciał zostać przyjęty do Domu Dzura, bo uważał, że ma do tego prawo, a potem odkrył, że to niczego nie zmieniło: traktowano go tak jak do tej pory, a to mu się nadal nie podobało.

— To ma sens. A druga?

— Że zechciał czegoś, co mógł osiągnąć jedynie jako Dzur. Potem nie musiał już należeć do Domu Dzura, więc zrezygnował.

To także miało sens.

— A cóż to mogło być takiego? — spytałem.

— Nie wiem. Natomiast lepiej sprawdzić, czy to możliwe, bo na pewno okaże się ważne.

Odchylił się na oparcie i przyjrzał mi się uważnie. Najprawdopodobniej martwiło go jeszcze moje wczorajsze zachowanie. Nic nie powiedziałem, wiedząc z doświadczenia, iż najskuteczniej jest pozwolić mu samodzielnie odkryć, że ze mną wszystko już w porządku. A było, choć chwilę trwało, nim sam siebie o tym przekonałem. Dziwne.

Otrząsnąłem się i wróciłem do tego co najważniejsze.

— Dobra, zacznij to sprawdzać — zdecydowałem — i daj mi znać, jak tylko się czegoś dowiesz.

Pokiwał głową, pomilczał, a potem powiedział:

— Usłyszałem dziś coś ciekawego.

— Tak? A co?

— Jeden z naszych silnorękich mówił, że jego dziewczyna uważa, że z radą jest coś nie w porządku.

Poczułem się z lekka niedobrze.

— W jakim sensie nie w porządku?

— Nie powiedziała dokładnie, ale była przekonana, że to coś poważnego. I wspomniała o Mellarze.

Wiedziałem, co to znaczy — zostało nam mniej czasu, niż zakładałem. Dzień, być może dwa, a w najlepszym wypadku trzy. Potem będzie za późno. Do Demona na pewno także dotarły podobne informacje. Pozostawało pytanie, czy coś zrobi, a jeśli — to co. Najlogiczniejsza była próba usunięcia Mellara niezależnie ode mnie. Natomiast nie wiedziałem, czy nie spróbuje drugiego zamachu na mnie. Albo pierwszego na Kragara... lub na Cawti. Normalnie nikt by się nimi nie interesował, bo to ja wziętem „robotę”. Ale Demon mógł spróbować, licząc, że dzięki temu łatwiej pójdzie mu ze mną.

— Cholera! — powiedziałem z pasją.

Kragar zgodził się ze mną w zupełności.

— Wiesz, kim jest ta dziewczyna? — spytałem.

— Adeptką Lewej Ręki. Kompetentną adeptką.

— Doskonale. Każ ją zabić.

Przytaknął bez słowa.

Wstałem, zdjąłem pelerynę i zacząłem proces jej rozbijania.

— Bądź tak miły i przynieś mi ze zbrojowni standardowy zestaw, co? — zaproponowałem. — Mogę w czasie rozmowy zająć się także czymś pożytecznym, prawda?

Kiwnął głową i wyszedł.

Odszukałem w rogu jakąś pustą skrzynkę i systematycznie zabrałem się do wypełniania jej bronią.

„Nadal jesteś gotów mnie bronić, Loioosh?” — spytałem w pewnym momencie.

Przefrunął z parapetu stanowiącego jego stałe miejsce w pokoju na moje prawe ramię. Podrapałem go po podgardlu, dzięki czemu mój lewy nadgarstek znalazł się na wysokości oczu i blask słońca odbił się od Spellbreakera. Jak dotąd łańcuch skutecznie bronił mnie przed atakami magicznymi. Reszta uzbrojenia zaś dawała sporą szansę załatwienia każdego przeciwnika nie używającego magii. Wszystko jednak zależało od tego, czy zostanę wystarczająco wcześnie ostrzeżony.

Zdawałem sobie doskonale sprawę, że mając do dyspozycji dość czasu i odpowiednio dobrego zawodowca, zabić można każdego. Absolutnie każdego. I dlatego moja największa obawa i największa nadzieja stawały się jednością. Wyjąłem ze stojącej na biurku skrzynki nóż do rzucania i sprawdziłem jego ostrze... i dopiero w tym momencie dotarło do mnie, że Kragar wrócił.

— Mógłbyś łaskawie wyjaśnić mi, jak ty to robisz? — spytałem uprzejmie.

Uśmiechnął się tylko i zaprzeczył ruchem głowy, udając smutek, łajza jedna! Przyjrzałem mu się badawczo, nie wiem który raz, ale nie dostrzegłem niczego nowego, Kragar wyglądał tak przeciętnie, jak to tylko możliwe. Miał około siedmiu stóp wzrostu, jasnobrązowe włosy, wąską, pociągłą twarz i smukłą sylwetkę. No i naturalnie spiczaste uszy. Jak każdy Dragaerianin nie miał, bo nie mógł mieć, zarostu na twarzy — właśnie dlatego, że oni nie mogli, ja nosiłem starannie wypielegnowane wąsy. Poza tym jednak patrząc na jego twarz, trudno byłoby powiedzieć, do której z dwóch ras należy.

— Jak? — powtórzyłem.

Uniósł brwi zaskoczony powagą w moim głosie.

— Naprawdę chcesz wiedzieć?

— A chcesz mi powiedzieć prawdę?

Wzruszył wymownie ramionami.

— Prawdę mówiąc, sam nie wiem. Nie robię tego celowo, po prostu tak się składa, że nikt na mnie nie zwraca uwagi. Można powiedzieć, że nikt mnie nie do-

strzeża. Dlatego nie mogłem zostać lordem w Domu Smoka. No bo wyobraź sobie dowódcę, który w czasie bitwy wydaje rozkaz, a jego podwładni nie zwracają na to żadnej uwagi. Tak się mnie z tego powodu czepiali, że w końcu miałem dość i kazałem im wszystkim iść w cholere, czyli skoczyć sobie przez Bramę Śmierci. No to mnie wyrzucili.

Pokiwałem głową bez słowa komentarza, choć wiedziałem, że ostatnia część wypowiedzi była łągarstwem. Kragar nie odszedł z Domu Smoka, lecz został wyrzucony i to nie za taki drobiazg. Wiedziałem o tym, a on wiedział, że ja wiem. Skoro jednak wolał podać taką wersję, zaakceptowałem ją.

Ja także miałem blizny, o których wolałem nikomu nie opowiadać, i wspomnienia, o których chciałem zapomnieć. Trudno, żebym miał do niego pretensję.

Sprawdziłem wyważenie broni i umieściłem ją w sprężynowej pochwie pod lewym ramieniem.

— Tak sobie myślę, że nie chciałbyś, żeby Mellar wiedział wcześniej niż to konieczne o twoim zainteresowaniu jego osobą — Kragar zmienił temat.

— Myślisz, że zacząłby na mnie polować?

— Prawdopodobnie. Musi mieć jakąś własną organizację. Nieliczną i najprawdopodobniej w trakcie ewakuacji, ale paru przyjaciół czy zaufanych gotowych na wszystko na pewno mu pozostało.

— Nie zamierzałem i nie zamierzam ogłaszać tego, że się nim interesuję.

— Wiem, ale wolałem przypomnieć. Pomyślałeś, jak go wyciągnąć z Czarnego Zamku?

Wyrzuciłem kolejny sztylet, wybrałem jego następcę, zbadałem ostrze i wsunąłem w obszycie peleryny tak, by można go było sięgnąć lewą ręką. Sprawdziłem, jak wychodzi z pochwy, i leciutko posmarowałem go oliwą. Teraz wychodził idealnie.

— Nie — odparłem — jak na razie nie mam jeszcze śladu pomysłu. Sądzę, że ty też na nic nie wpadłeś?

— Dzięki za przypomnienie.

Sprawdziłem wyważenie strzałek i napełniłem ich nacięcia mieszaniną trucizn powodującą paraliż, zakażenie krwi i martwość mięśni. Mieszanina była mojego własnego pomysłu. Odłożyłem strzałki, by wyschły, i zająłem się shurikenami.

— Pierwotnie chciałem go przekonać, że grozi mu niebezpieczeństwo, i zaproponować atrakcyjnie wyglądającą ucieczkę, ale tego w trzy dni nie da się szczegółowo obmyślić i zorganizować... Nienawidzę pracować na czas!

— Mellarowi byłoby cholernie przykro, gdyby to usłyszał.

Zastanowiło mnie to.

— Może będzie mu przykro. Chyba go o to zapytam — stwierdziłem w końcu.

— Co zrobisz?!

— Chcę go obejrzeć, porozmawiać z nim: wyrobić sobie zdanie o tym, jaki jest. Nadal nie wiemy o nim wystarczająco dużo, a czas ucieka.

— Zwariowałeś?! Przed chwilą stwierdziłeś, że nie chcesz go uprzedzić, a teraz mówisz, że mu się pokażesz i tym samym go zaalarmujesz?

— A skąd niby będzie wiedział, po co przyszedłem? Na pewno wie, że pracuję dla Morrolana, a musi już zdawać sobie sprawę, że stał się niepożądanym gościem. Wiadomo, że Morrolan go nie wyrzuci, ale zrozumiałe jest, że skoro istnieje na niego kontrakt, to główny spec od ochrony Czarnego Zamku chciałby go obejrzyć i poznać, bo stanowi zagrożenie. A główny spec to ja. A zakładając najgorszą ewentualność, czyli że się zorientuje w prawdziwych powodach mojego zainteresowania, sam nic mi nie robi, bo nie opuści zamku. A to, że kogoś naśle, jest ryzykiem zawodowym. W tym wypadku ważniejsze jest, żebym jak najszybciej wyrobił sobie o nim opinię zgodną z prawdą. Istnieje także teoretyczna możliwość, że jeśli się zorientuje, iż to ja mam go zabić, dojdzie do wniosku, że Czarny Zamek nie jest jednak tak bezpieczny, jak sądził, i pryśnie, by zaszyć się gdzie indziej.

— Co utrudniłoby nam sprawę — zauważył Kragar.

— I tak chcemy go stamtąd wykurzyć, więc nie tragizujmy. Znaleźliśmy go raz, znajdziemy i drugi. Zresztą to mało prawdopodobna możliwość. Znacznie prawdopodobniejsze jest, że nawet jeśli się zorientuje, to i tak zostanie, a ponieważ musimy wymyślić sposób, by przełamać jego niechęć do opuszczenia zamku, to będzie bez znaczenia.

Kragar pomyślał, pokiwał głową i spytał w końcu:

— Brzmi rozsądnie. Mam iść z tobą?

— Nie. Dopilnuj spraw tutaj i próbuj dowiedzieć się czegoś o jego przeszłości. Loiosh będzie mnie pilnował.

Obiecał.

Rozdział jedenasty

*„Gdy ginie niewinny i prawy,
nawet bogowie pragną zemsty”*

Wieść niesie, że sala bankietowa Czarnego Zamku od chwili jego wybudowania, czyli od ponad trzystu lat, nigdy nie świeciła pustkami. Wieść też niesie, że stoczono w niej więcej pojedynków niż na Placu Kierona znajdującym się obok murów Cesarskiego Pałacu.

Kiedy ktoś teleportuje się do Czarnego Zamku, ląduje mniej więcej na środku dziedzińca. Wielkie podwójne wrota otwierają się, gdy podchodzi, a pierwsze co widzi to słabo oświetlony hall, w którym oczekuje na niego lady Teldra. Przypomina Strażnika stojącego nieruchomo przy Bramie Śmierci, za którą zaczynają się Ścieżki Umarłych, a tam rzeczywiście staje się ułudą, ale tylko do pewnego stopnia.

Lady Teldra kłania się zgodnie z dworską etykietą — dokładnie tak jak przynależy każdemu gościowi, stosownie do zajmowanej przez niego i jego dom pozycji. Wita też każdego po imieniu, niezależnie od tego, czy go zna czy nie. A potem mówi i zachowuje się tak, że każdy czuje się mile widziany. Następnie, jeśli gość ma ochotę, odprowadza go do sali bankietowej długimi schodami z czarnego marmuru. Stopnie mają odpowiednią wysokość dla człowieka, są natomiast nieco za niskie dla Dragaerian, dzięki czemu ci ostatni uważają je za niezwykle eleganckie. Są także szerokie i strasznie długie. Na ścianach wiszą oświetlające je — a głównie obrazy — lampy. Płótna zaś przedstawiają rozmaite znane i mniej znane epizody z długiej, gwałtownej, a czasami dziwnie wzruszającej historii Imperium Dragaerian.

Jeden namalowała Nekromantka, a mało kto wie, że jest artystką. Przedstawia rannego smoka, który szyją otula młode, a oczyma przewierca każdego wchodzącego po schodach tak, że zdaje się sięgać duszy. Inny, namalowany przez młodego Lyorna, przedstawia Kierona Zdobywcę debatującego z szamanami — za pomocą miecza. Cwaniak, no nie?

Gdy na szczycie schodów spojrzy się w prawo, widać wejście do sali jadalnej, gdy zaś spojrzy się w lewo — drzwi, a raczej odrzwia o dwóch skrzydłach. Są

z zasady otwarte i zawsze stoi przy nich uzbrojony strażnik, a przeważnie dwóch. Dalej znajduje się olbrzymia sala balowa, której wewnątrz ogarnia się wzrokiem stopniowo. Najpierw dostrzega się malowidło zdobiące cały sufit — przedstawia Trzecie Oblężenie Góry Dzura namalowane osobiście przez Katanę e'M'archałę. Przyglądając się jego szczegółom, można dopiero uzmysłwić sobie ogrom sali. Potem zauważa się ściany wyłożone czarnym, żyłkowanym srebrem marmurem. Powstaje wrażenie, iż w sali jest ciemno, ale w jakiś sposób wszystko wyraźnie widać.

Dopiero potem gość uświadamia sobie, że sala pełna jest innych gości. A pełna jest zawsze. Pod ścianami stoją stoły z zimnymi przekąskami i napojami, stanowiące stały punkt zborny pozostających w ciągłym ruchu obecnych. W przeciwległej ścianie znajdują się podobne dwuskrzydłowe odrzwia prowadzące na taras, a w innych normalne drzwi wiodące do mniejszych, dających więcej prywatności komnat, w których można wysłuchać życiorysu jakiegoś durnia lub samemu go opowiedzieć innemu naiwniakowi czy też spytać generała z Domu Smoka, czy naprawdę od początku planował ten kontratak.

Aliera często korzysta z tych komnat. Morrolan czasami. Ja nigdy.

* * *

„Szefie, toż to jedna pieprzona menażeria!”

„Święta prawda, mój bystry jheregu.”

„Aha, dzisiaj jesteśmy złośliwi. Dobra, jak szef sobie winszuje.”

Przepchnąłem się przez tłum, witając ze znajomymi i warcząc na wrogów. Przez parę minut gawędziłem o niczym z Sethrą Lavode. Ponieważ nie bardzo wiedziałem, jak mam ją teraz traktować, byłem wybitnie małomówny. Pocałowała mnie w końcu w policzek, co znaczyło, że albo wie, albo podejrzewa, ale nie skomentowała niczego.

Wymieniłem przyjazne uśmiechy z Nekromantką męczącą jakiegoś lorda z Domu Orki.

„Szefie, tu jest więcej żywych trupów niż żyjących!”

„Tak jest zawsze na przyjęciach. Powinieneś się już przyzwyczaić.”

Przyjrzałem się niezyczliwie Adeptce z Zieleni. Odpowiedziała mi równie ciepłym spojrzeniem. I rozejrzałem się wreszcie spokojnie.

W jednym rogu zrobiło się pusto — Dzur i Smok lżyli się wzajemnie, rozgrzewając się przed pojedynkiem. Jeden ze strażników-magów Morrolana stał w pobliżu, zakładając magiczną blokadę uniemożliwiającą ciosy w głowę i tłumacząc, jakie reguły obowiązują walczących.

Przeszukiwałem wzrokiem tłum, póki nie dostrzegłem jednego z ubranych po cywilnemu agentów ochrony. Kiedy na mnie spojrzął, dałem mu znak i powoli ruszył w moją stronę. Zauważyłem z zadowoleniem, że całkiem dobrze poruszał się w ciżbie, nie przeszkadzając nikomu i nie sprawiając wrażenia, iż zmierza w określonym kierunku. Zapamiętałem to, by pochwalić go we właściwym czasie.

— Widziałeś lorda Mellara? — spytałem, gdy stanął obok.

— Właśnie go pilnuję. Powinien być w rogu przy stole z próbkami win.

W czasie rozmowy uśmiechaliśmy się i zachowywaliśmy jak para znajomych, którzy przypadkowo się spotkali.

— Doskonale, dzięki.

— Mam być gotów na kłopoty? — spytał.

— Zawsze, ale tym razem nie związane ze mną. Mimo to pozostań czujny.

— Zawsze jestem — potwierdził.

— Morrolan jest tutaj, bo go nie zauważyłem?

— Ja też nie. Sądzę, że jest w bibliotece.

— Dobrze.

Ruszyłem ku wskazanemu stołowi, sprawdzając tłum po jednej stronie. Loiosh robił to samo po drugiej. Siedział dumnie wyprostowany na moim ramieniu, jakby wyzywając obecnych do uczynienia jakiejś złośliwej uwagi. On też zauważył Mellara pierwszy.

„Szefie, jest!”

„Gdzie?”

„Pod ścianą, na prawo od nas... widzisz go?”

„Aaa... tak. Dzięki.”

Podszedłem powoli, lustrując go. Niczym się nie wyróżniał — miał około siedmiu stóp wzrostu i ciemnobrązowe, lekko falujące włosy do ramion. Można by go uznać za przystojnego, acz nie przesadnie. Dopiero przy uważnej obserwacji dało się dostrzec, że zachowywał się jak jhereg — był czujny, cichy, opanowany i bardzo niebezpieczny. Otaczała go aura jednoznacznie sugerująca, że lepiej z nim nie zadzierać i że on sam zwady nie szuka.

Rozmawiał z lordem z Domu Sokoła, którego nie znałem i który prawie na pewno nie zdawał sobie sprawy, że Mellar cały czas, dyskutując, lustrował równocześnie otoczenie. A robił to dobrze, nawet jeśli nie do końca świadomie, bo mnie zauważył.

Przez chwilę przyglądaliśmy się sobie uważnie, gdy podchodziłem do nich. Zastanawiałem się, ile sztuk broni zauważył w moim ubiorze. Naturalnie sporo — i na pewno nie wszystkie.

— Hrabio Mellarze — powiedziałem, stając o trzy kroki od niego. — Jak się pan miewa? Jestem Vladimir Taltos.

Skinął mi głową, ja zaś skłoniłem swoją, kończąc ukłon na szyi. Sokół odwrócił się, słysząc mój głos, zauważył, że jestem człowiekiem, i skrzywił się z nie-

smakiem.

— Wygląda na to, że Morrolan ostatnio wpuszcza tu byle kogo — zauważył.

Mellar uśmiechnął się lekko i wzruszył ramionami.

Lord z Domu Sokoła ukłonił mu się i dodał:

— Być może dokończymy rozmowę przy innej okazji.

— Tak. Poznanie pana było prawdziwą przyjemnością — odparł Mellar i zwrócił się do mnie. — Baronet, nieprawdaż?

— Prawda. Mam nadzieję, że nie przeszkodziłem w niczym ważnym?

— Skądże znowu.

To był zupełnie inny przeciwnik niż lord Keletharan, znał bowiem wszystkie zasady i większość chwytów. Użył mojego tytułu, by dać mi do zrozumienia, że wie, kim jestem, i zasugerować, że wie więcej, niż mówi, więc mogę z nim rozmawiać otwarcie. Zapowiadała się ciekawa pogawędka.

Cała ta sytuacja była dziwna i nietypowa — z zasady nie rozmawiam z przyszłymi ofiarami, a nawet staram się nie przebywać w ich pobliżu, jak długo nie jestem gotów do działania. Nie chcę, by mnie zapamiętały, nawet jeśli nie zdają sobie sprawy, że mam zostać ich zabójcą. Tym razem było inaczej — z powodu braku czasu musiałem osobiście poznać Mellara, by móc następnie właściwie go sprowokować. Musiałem poznać go lepiej niż którąkolwiek z dotychczasowych ofiar. A żeby było weselej, wiedziałem o nim mniej niż dotąd o którejkolwiek z nich.

Musiałem więc sporo od niego wyciągnąć, a on bez wątpienia chciał dowiedzieć się sporo o mnie i ode mnie. Przede wszystkim zaś tego, co tu robię. Przeanalizowałem kilka wariantów, nim zdecydowałem, jak zacząć.

— Jak rozumiem, udało się panu zdobyć książkę, którą tak interesował się lord Morrolan?

— Miałem to szczęście. Powiedział panu, co to za księga? — Nie, ale widać było, że jest z niej zadowolony.

— Też odniosłem takie wrażenie.

— Zawsze jest miło komuś pomóc.

— Prawda?

— Jak się panu udało wejść w jej posiadanie? Jak rozumiem, to raczej rzadki i cenny egzemplarz, czyli trudny do znalezienia.

Uśmiechnął się leciutko.

— Jestem zaskoczony, że Morrolan o to pyta.

W ten sposób dał mi do zrozumienia, iż wie, że pracuję u Morrolana.

— On nie — poprawiłem go. — Ja jestem ciekaw.

Skinął głową i ponownie uśmiechnął się przelotnie.

Pogawędziliśmy jeszcze chwilę niezobowiązująco — żaden z nas nie chciał jako pierwszy ujawnić, ile wie, by sprawdzić, co wie drugi. Doszedłem do wniosku, że on tego nie robi, bo ma niewiele do zyskania, więc...

— Rozumiem, że poznał pan Alierę?

Wydał się zaskoczony zwrotem w rozmowie.

— Owszem, czarująca osoba.

— I godna najwyższej uwagi — dodałem.

— Tak? A dlaczego to?

— To doskonały umysł. Jak na lady z Domu Smoka, ma się rozumieć.

— Nie zauważyłem. Wydała mi się raczej z lekka rozkojarzona.

To już było coś — jeśli bowiem nie udawał mniej bystrego, niż w istocie był, a nic na to nie wskazywało, nie miał pojęcia, że Aliera użyła w stosunku do niego magii w czasie rozmowy. A to z kolei powiedziało mi, jak dobrym był magiem, a raczej jak słabym. Istniała co prawda możliwość, iż jest urodzonym aktorem, ale to także można było sprawdzić.

— Doprawdy? — zdziwiłem się. — A o czym rozmawialiście?

— O niczym konkretnym. Głównie o przyjemnościach.

— Widzi pan? Ilu zna pan Smoków, którzy rozmawialiby o przyjemnościach z Jheregiem?

— Fakt... Z drugiej jednak strony mogła próbować dowiedzieć się czegoś o mnie.

— A co pana skłania do takich podejrzeń?

— Nie powiedziałem, że sądzę, iż to robiła, ale że mogła zrobić. Sam się zastanawiam, dlaczego chciała mnie poznać.

— Wyobrażam sobie... Jednakże nie zauważyłem dotąd u Smoków zbytnej subtelności... Wydawała się może zirytowana na pana?

Widać było, jak zaczyna intensywnie myśleć. Zastanawiał się, ile mi powiedzieć, żeby wydusić coś więcej. Nie mógł skłamać, bo mogłem go złapać na łgarstwie i już na nic bym mu się nie przydał, a nie był pewien, ile naprawdę wiem. Obaj mogliśmy ustalić granicę tej rozgrywki, sprowadzającej się z mojej strony do wybadania przynajmniej trzech tematów: ile chciał wiedzieć, jak bardzo chciał to wiedzieć i jak bardzo się bał.

— Nie wyglądała na zirytowaną — powiedział w końcu — ale odniosłem wrażenie, że mnie nie lubi, co zresztą zrujnowało mi cały dzień.

Uśmiechnąłem się ze zrozumieniem.

— A podejrzewa pan może dlaczego? — spytałem.

I posunąłem się za daleko... dosłownie widać było, jak zamyka się w sobie.

— Nie mam pojęcia.

Cóż, w tych warunkach dalsza pogawędka nie miała sensu — każdy z nas czegoś się dowiedział, a kto więcej — to rozstrzygnie prosta sprawa: ten, kto przeżyje całe to zamieszanie.

* * *

„I co, Loioś? Dowiedziałeś się czegoś?”

„Na pewno więcej niż ty.”

„Tak? A czego konkretnie?”

W umyśle pojawiły mi się twarze dwóch mężczyzn.

„Obserwowali cię uważnie cały czas. Stali po obu stronach Mellara w odległości paru kroków.”

„Aha, więc jednak ma obstawę!”

„Zaskoczyło cię to?”

„Nie bardzo. Zaskoczyło mnie, że ich nie spostrzegłem.”

„To znaczy, że są dobrzy.”

„Właśnie. Dzięki.”

„Nie ma za co. Któryś z nas musi być przytomny, szefie.”

Wyszedłem z sali bankietowej i zastanowiłem się co dalej. Powinienem porozmawiać z Morrolanem, ale postanowiłem najpierw pogadać z dyżurnym zmiany i zorganizować obserwację obu ochroniarzy. Chciałem coś konkretnego o nich wiedzieć, zanim znajdę się z nimi w sytuacji bez wyjścia.

Pokój dyżurnego znajdował się zaledwie o parę drzwi przed biblioteką, czyli po drodze. Wszedłem bez pukania, jako że byłem nominalnym zwierzchnikiem wszystkich pracowników ochrony pałacu, łącznie z ich dowódcą. Ten, którego zastałem, nazywał się Uliron i powinien mieć następną zmianę.

— Co tu robisz? — zdziwiłem się. — Gdzie Fentor?

Uliron wzruszył ramionami i wyjaśnił:

— Chciał się zamienić. Pewnie jakieś kłopoty w domu. Nie bardzo mi się to podobało.

— Często wam się to zdarza? — spytałem.

— No cóż. . . tak pan, jak i lord Morrolan mówiliście, że możemy się wymieniać od czasu do czasu, więc parę razy się zdarzyło. Zapisujemy to każdorazowo w książce dyżurów.

— A więc jak często?

— Nieczęsto. A dlaczego to pana zainteresowało?

— Nie wiem. . . czekaj, muszę pomyśleć.

Fentor należał do Domu Tsaltho, a w ochronie Morrolana pracował już ponad pięćdziesiąt lat. Trudno było sobie wyobrazić, by stał się nielojalny, ale z drugiej strony na każdego można znaleźć sposób. . . Nie byłem w stanie uzasadnić, dlaczego zamiana dyżurów tak silnie na mnie podziałała. Fakt, czas nie był najlepszy, ale z drugiej strony nie był też kryzysowy. Dotąd nic złego się nie działo w takich przypadkach. . .

Pewnie udałoby mi się uspokoić samego siebie, gdyby nie pewien drobiazg — przekonałem się już, że zawsze kiedy usiłuję zignorować swoje przeczucia, okazują się one prawdziwe.

Przysiadłem na blacie biurka i próbowałem dojść do tego, o co mogło chodzić. Bo że chodziło o coś ważnego, nie miałem wątpliwości... wyjąłem nóż i zacząłem go podrzucać...

„I co ty na to, Loiosh?”

„Nic, szefie. Nie wiem, dlaczego uważasz, że coś jest nie tak.”

„Ja też nie wiem. Nie podoba mi się ten wyłom w rutynie właśnie teraz, kiedy wiemy, że Demon chce dostać Mellara i że nie powstrzyma go to, iż siedzi on w Czarnym Zamku.”

„Myślisz, że to oczyszczenie terenu przed zamachem?”

„Albo początek jego realizacji. Nie wiem.”

„Demon powiedział, że nie będzie powodu do wojny, prawda? Powiedział, że da się znaleźć inne rozwiązanie, zgadza się?”

„Tak powiedział. Tylko nie wiem, jak mógłby to...”

I nagle zrozumiałem jak. Dlatego właśnie Demon próbował namówić mnie do współdziałania, a gdy się nie udało, usiłował mnie zabić. Sposób był genialnie prosty, tylko ja, kretyn, na to nie wpadłem!

Nie chciałem tracić czasu na bieganie po korytarzu, więc spróbowałem skontaktować się z Morrolanem telepatycznie. Istniała szansa, że już się spóźniłem, lecz jeśli zdołam go złapać, nim opuści zamek, wszystkiemu da się jeszcze zapobiec. Wtedy zdołam go przekonać, żeby pod żadnym pozorem się nie oddalał... muszę zdołać go przekonać!... I zdałem sobie sprawę, że nie mogę nawiązać z nim kontaktu.

Zacząłem działać odruchowo, bo wtedy idzie mi najszybciej. Umysł robi co trzeba i informuje mnie, co ma być zrobione w następnej kolejności. Skoncentrowałem się na Alierze i bez trudu złapałem ją telepatycznie.

„Co się stało, Vlad?”

„Nie mogę skontaktować się z Morrolanem, a sprawa jest ważna. Możesz go odszukać przy pomocy Pathfinderera?”

„Mogę. Dlaczego?”

„Bo jeśli się pospieszymy, to może zdążymy, nim zabiją go ostatecznie!”

Ledwie skończyłem tę myśl, a Alierza znalazła się obok mnie z Pathfinderskim w dłoni. Usłyszałem za plecami zaskoczone westchnienie i przypomniałem sobie o Ulironie.

— Pilnuj zamku do naszego powrotu! — poleciłem. — I módl się!

Schowałem nóż, by mieć wolne dłonie — nie wiedziałem, na kogo wpadniemy, i wolałem być gotów na różne ewentualności, a nóż nie zawsze jest najlepszy. Spellbreakera nie ruszałem, choć miałem na to ochotę z tego samego powodu. Poza tym Alierza była znacznie skuteczniejsza.

Aliera skoncentrowała się i Pathfinder zaczął emitować łagodny zielony blask. Czekanie w pełnej gotowości do akcji zawsze mnie wyprowadzało z równowagi, jeśli tak jak teraz czekałem bezczynnie, aż ktoś inny wykona swoją część zadania. Dlatego skupiłem uwagę na Pathfinderze. Świecił na zielono, mimo iż powierzchnię miał czarną. Jak na dragaeriańską broń był krótki — niewiele krótszy od mojego miecza — ale też masywniejszy, czyli cięższy. W jej dłoniach jednak poruszał się lekko i z gracją, jakby nic nie ważył. Cóż, była to w końcu Wielka Broń...

Obserwując Alierę przyglądającą się zmużonymi oczyma pulsującemu ostrzu, przypomniałem sobie to, co wiedziałem o broni innej niż zwykła czy czarowana prostą magią, by leciała prosto do celu lub miała podobne właściwości. Dwie z nich były najważniejsze.

Przede wszystkim broń Morgantich. Nikt nie wiedział, (a jeżeli wiedział, to nie podzielił się tą wiedzą ze mną), skąd wzięła się jej nazwa; ostrza te wytwarzała dziwna rasa karłów zamieszkująca lasy i góry Dragaery. Rasa ta jednak nazywała się Serioli, nie Morganti. Rzeczona broń charakteryzowała się zdolnością mszczenia duszy tego, kogo przy jej użyciu zabito. Każda taka broń niezależnie od kształtu i siły obdarzona była pewną prymitywną formą świadomości. Niektóre miały także inne magiczne właściwości, ale wszystkie one były obce i niepokojące. Nawet ten, kto użył takiej broni dobrowolnie, obawiał się jej i nie wspominał mile.

Istniał też drugi rodzaj broni — legendy mówiły, że było to siedemnaście sztuk oręża. Zwano je Wielką Bronią i choć każda posiadała inne właściwości, wszystkie były potężne. Wszystkie także miały dość świadomości, by decydować, czy chcą zniszczyć duszę zabitego czy też nie. Każda była również połączona z duszą tego, kto nią władał, i robiła zawsze co tylko mogła, by go chronić czy też ratować w poważniejszej sytuacji. Naturalnie jeśli ten ktoś należał do Wybranych. Co się zaś tyczy ich możliwości...

Aliera pociągnęła mnie za rękaw, toteż przestałem rozmyślać i skupiłem się. Ściany zniknęły, żołądek fiknął kozła i znaleźliśmy się w czymś, co wyglądało na nie używany magazyn. Aliera westchnęła, a ja podążyłem wzrokiem za jej spojrzeniem.

Morrolan leżał na podłodze o kilka stóp od nas, a na jego piersiach widniała ciemnoczerwona plama. Podeszedłem powoli, czując, jak robi mi się niedobrze. Przyklęknałem i sprawdziłem, czy oddycha. Nie oddychał.

Aliera schowała broń do pochwy i przyklęknęła obok. Przesunęła dłońmi nad ciałem i skoncentrowała się naprawdę mocno. A po kilku sekundach potrząsnęła ze zniechęceniem głową.

— Nie do wskrzeszenia? — spytałem.

Przytaknęła.

Oczy miała szare i zimne — na oplakiwanie Morrolana, jeśli do niego dojdzie,

przyjdzie czas później.

Rozdział dwunasty

*„Należy zachować wielką ostrożność
w stosunku do własnych pułapek”*

- Możemy coś zrobić? — spytałem.
- Nie jestem pewna... poczekaj... — raz jeszcze przesunęła dłońmi nad ciałem, tym razem wolniej.
- Ja zaś sprawdziłem wzrokiem magazyn — nie dostrzegłem niczego ciekawego czy podejrzanego, ale kilku rejonów nie byłem w stanie spenetrować z powodu panującego w nich mroku.
- Nie mogę jej przełamać — oświadczyła Alier.
- Czego przełamać?
- Magicznej blokady uniemożliwiającej przywrócenie go do życia.
- Aha.
- To może zrobić tylko mag, który ją założył, jeśli uczyni to wystarczająco szybko. Musimy go odszukać!
- Ją — poprawiłem odruchowo.
- Zerwała się natychmiast, przyglądając mi się z nadzieją.
- Wiesz, kto to zrobił?
- Nie, ale można spokojnie założyć, że magią zajmowała się adeptka Lewej Ręki Domu Jherega. A w przeważającej większości są to kobiety.
- Widać było, że nic nie rozumie.
- Dlaczego Dom Jherega chciałby śmierci Morrolana?
- Wyjaśnię ci później. Teraz trzeba ją znaleźć.
- A masz jakiś pomysł, jak to zrobić?
- Pathfinder?
- Nie ma punktu zaczepienia. Potrzebuję obrazu psychicznego, twarzy lub przynajmniej imienia. Sprawdziłam pomieszczenie, ale niczego użytecznego nie znalazłam.
- To robota zawodowców, więc nie masz prawa niczego znaleźć. Jeśli była kompetentna, a była, nie musiała czuć żadnych silnych emocji, by zrobić to, co jej zlecono.

Przytaknęła, a ja zacząłem przeszukiwać pomieszczenie, szukając czegoś, co napastnicy mogli przeoczyć. Loiosh był szybszy — obleciał wszystkie kąty i zameldował:

„Tutaj, szefie.”

Dotarliśmy do niego równocześnie i prawie potknęliśmy się o leżące twarzą do podłogi kolejne ciało. Odwróciłem je i spojrzałem w martwe oczy Fentora — poderżnięto mu gardło. Sprawnie, czysto i precyzyjnie. Miałem zapytać Alierę, czy da się go ożywić, ale już to sprawdzała, więc się odsunąłem, by jej nie przeszkadzać.

Uniosła głowę, dając mi znak, że da się go wskrzесиć, i położyła mu lewą rękę na szyi. Po długiej chwili cofnęła ją — rana zasklepiła się, pozostawiając ledwie widoczną bliznę. Sprawdziła resztę ciała, szukając innych ran, zwłaszcza na plecach, ale nie było ich. Ponownie odwróciła ciało Fentora na plecy i położyła obie dłonie na jego klatce piersiowej. Zamknęła oczy i skupiła się. Pierwszy raz zobaczyłem na jej twarzy takie napięcie. Fentor zaczął oddychać.

Ja też, bo jak się okazało, wstrzymałem oddech, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

Powieki leżącego drgnęły. . . otworzył oczy i błyskawicznie pojawił się w nich strach, zastąpiony przez rezygnację, ulgę, zaskoczenie i zrozumienie. Obserwując go, zastanawiałem się, czy tak wyglądałem, gdy Alierę przywróciła mnie do życia.

Fentor dotknął dłonią szyi i wstrząsnął nim dreszcz. Zobaczył mnie, a ja nie dostrzegłem w jego zachowaniu niczego, co sugerowałoby winę. To dobrze — przynajmniej nie został przekupiony. Wolalbym dać mu więcej czasu na dojście do siebie, ale nie mogliśmy sobie na to pozwolić. Każda sekunda zmniejszała szansę na odszukanie adeptki, a musieliśmy nie tylko ją odszukać, ale także zmusić, by. . .

Spróbowałem skontaktować się z Kragarem i po nader długim czasie, jak mi się wydawało, udało mi się to.

„O co chodzi, Vlad?”

„Możesz mnie namierzyć?”

„Mogę, ale to chwilę potrwa. Problemy?”

„Zgadłeś. Potrzebuję ostrza Morgantich. Nie musi być tym razem czyste, ale musi być silne.”

„Jasne. Rapier czy nóż?”

„Sztylet byłby najlepszy. Jeśli nie będziesz w stanie go załatwić, może być nawet miecz.”

„Dobra. Wysłać tam, gdzie jesteś?”

„Tak. I pospiesz się.”

„Już się robi. Nie przerywaj połączenia, pójdzie mi szybciej.”

„Dobrze.”

— Co się stało? — spytałem Fentora. — Zwiążle.

Zamknął na moment oczy, zbierając myśli.
— Siedziałem w biurze. . . — zaczął.
— Nie! — przerwałem mu. — Nie mamy teraz czasu na całą historię. — Co się stało, gdy dotarłeś tutaj?
— Ledwie się zjawiłem, dostałem w łeb. Kiedy się obudziłem, byłem związany i miałem przepaskę na oczach. Słyszałem rozmowy, ale nie rozumiałem, o czym rozmawiają. Próbowałem telepatycznie skontaktować się z panem i z lordem Morrolanem, ale musieli to przewidzieć i założyć blok telepatyczny na pomieszczenie albo na mnie. Siedziałem tak z piętnaście minut. Próbowałem się uwolnić, ale związał mnie fachowiec i nic nie byłem w stanie zrobić, za to ktoś przyłożył mi nóż do gardła na znak, że jestem obserwowany, więc się uspokoiłem. Czułem, że ktoś się tu teleportował, a potem podejrzyli mi gardło. — Skrzywił się i dodał: — To wszystko.
— Czyli nadal nic nie wiemy — podsumowałem.
— Niekoniecznie — sprzeciwiła się Alera i spytała Fentora: — Mówisz, że słyszałeś głosy?
Przytaknął.
— Czy któryś należał do kobiety?
Wyteżył pamięć i po chwili ponownie przytaknął.
— Tak, na pewno była tu kobieta — oświadczył.
Alera położyła mu dłoń na czole.
— Pomyśl o tym głosie — poleciła. — Skoncentruj się, spróbuj go przywołać z pamięci.
Zrozumiał, co się dzieje, i spojrzał na mnie rozszerzonymi oczyma — nikt, nawet najbardziej niewinny, nie lubi sondy psychicznej.
— Zrób to — poleciłem. — Współpracuj.
Opuścił głowę i zamknął oczy.
Po dobrej minucie Alera drgnęła i powiedziała:
— Chyba mam.
Po czym wstała i dobyteła z pochwy Pathfindera.
Fentor jęknął i spróbował się cofnąć, ale oboje go zignorowaliśmy.
W tym momencie usłyszałem w umyśle głos Kragara:
„Przesyłka w drodze, Vlad.”
Rozległo się ciche pyknięcie i u moich stóp pojawił się sztylet w pochwie.
„Dobra robota” — poinformowałem go i zakończyłem kontakt.
Wyjąłem sztylet i obejrzałem go — ledwie znalazł się poza pochwą, poczułem, jak drży w mojej dłoni, i przeszedł mnie dreszcz. Nie ulegało wątpliwości — to była broń Morgantich. Ostrze miało ze szesnaście cali długości, więc był to duży sztylet i sprawiał samym swym wyglądem złowróżbne wrażenie. I o to mi właśnie chodziło. Pozbawiona ozdób rękojeść nie najlepiej leżała w dłoni, czemu trudno się było dziwić — broń wykonano z myślą o dłoni Dragaerianina, nie człowieka.

Ogólnie rzecz biorąc, była funkcjonalna i praktyczna, nie dekoracyjna, co także mi odpowiadało.

Wsunąłem sztylet z powrotem do pochwy, a pochwę zawiesiłem na pasie z lewej strony przed rapierem. Kilkakroć na próbę dobyłem go prawą ręką — nie musiałem niczego poprawiać, rękojeści nie przeszkadzały sobie wzajemnie. Zadowolony spojrzałem na Alierę — była gotowa.

— Fentorze, jeśli czujesz się na siłach, skontaktuj się z Ulironem, on się zajmie twoim powrotem — powiedziałem. — Możesz się uważać za czasowo zawieszzonego w wykonywaniu obowiązków.

Kiwnął głową, a w następnej chwili ściany zniknęły — gdy Alierą rozpoczęła teleportację.

Przy każdej próbie zabójstwa istnieją pewne generalne zasady, których łamanie jest po prostu nierozsądne. I tak: zabójca nie teleportuje się na miejsce akcji, bo nie wie dokładnie, na jaką sytuację trafi, czyli będzie mniej przygotowany do natychmiastowej walki od już tam się znajdujących. Nigdy naturalnie nie teleportuje się do zatłoczonej knajpy w godzinach szczytu, jeśli nie wie dokładnie, gdzie znajduje się ofiara. A już pod żadnym pozorem nie powinien tego robić, jeśli podejrzewa, że właśnie świętuje ona dobrze zapłacone zlecenie w towarzystwie innych adeptów magii.

Jeżeli już naprawdę nie ma możliwości uniknięcia złamania wszystkich tych zasad, dobrze jest mieć koło siebie rozwścieżonego lorda z Domu Smoka (może być lady) władającego Wielką Bronią. Na szczęście nie zjawiłem się w tym szynku, by kogoś zabić. No, przynajmniej nie to było moim głównym celem.

Oboje z Alierą staliśmy do siebie plecami, by od razu objąć wzrokiem jak największą część lokalu. Tak się złożyło, że to ja zauważyłem interesujące nas grono, ale dopiero w sekundę po tym, jak ktoś krzyknął ostrzegawczo i kilka osób rozpoczęło rozmaite gwałtowne działania. Ponieważ była to typowa knajpa prowadzona przez członka Domu Jherega, musiało znajdować się tu co najmniej kilku gości chodzących stale z obstawą. Któryś z ochroniarzy po prostu musiał mnie rozpoznać i dojść do całkowicie słusznego ze swego punktu widzenia wniosku, że właśnie przybyłem „na robotę”.

„Skłon, szefie.”

Przyklęknąłem i nóż przeleciał nad moją głową. Zobaczyłem, jak jedna z kobiet stojących wokół stołu wskazuje na mnie. Zamachnąłem się i poczułem mrowienie w palcach — przechwyciła magiczny atak całkowicie, bo ani mnie nie sparaliżowało, ani nie przypiekło. Problemem podstawowym było to, iż choć rozpoznałem, gdzie znajduje się cel, przy stole siedziały bowiem prawie same adeptki Lewej Ręki, a ich reakcja na nasze pojawienie się potwierdziła moją ocenę, nie byłem w stanie zidentyfikować samego celu. Tylko jedna z nich wiedziała, po co przybyliśmy — nie mogła nie wiedzieć, widząc Alierę — dla reszty stanowiliśmy jedynie zagrożenie. Mogłem pozabijać wszystkich poza nią i tu właśnie

tkwił problem — nie mogłem zaatakować, nie wiedząc, kogo muszę oszczędzić, a wszystkie adeptki zdążyły już zerwać się na równe nogi i atakowały nas magią. A ja byłem jak sparaliżowany.

Aliera nie miała takiego problemu — Pathfinder musiał jakoś przekazać jej, o którą konkretnie adeptkę chodzi, ledwie ją zobaczyła, bo zaatakowała natychmiast. Tylko zapomniała mnie poinformować o tym drobnym szczególe. Wyminięła mnie, biorąc szeroki zamach... dostrzegłem kolejny gest mogący oznaczać magiczny atak skierowany przeciwko mnie i przechwyciłem go Spellbreakerem.

Aliera trzymała przed sobą wyciągniętą lewą rękę, a z jej otwartej dłoni emanowało słabe światło pochłaniające różnobarwne promienie bijące z wielu stron. Były widoczne dopiero na ostatnim odcinku — gdzieś tak na stopę przed dłonią. Zamach zakończyła cięciem — ostrze zetknęło się z ciałem adeptki o kręconych, brązowych włosach, która mogłaby być nawet ładna, gdyby nie wyraz twarzy i rozrąbane czoło.

Przeturlałem się po podłodze, by trudniej było mnie trafić, i wrzasnąłem:

— Która to, do cholery!?

Musiała mnie usłyszeć mimo panującego zgiełku — dokończyła cięcie, zdejmując głowę z ramion kolejnej adeptce i lewą ręką wskazała na inną. Nie znałem jej, tym lepiej. By wskazać mi cel, Aliera przestała blokować magiczne ataki; coś ją trafiło, gdyż zachwiała się, a Pathfinder rozbłysnął jaskrawą zielenią, ale w następnej sekundzie przygasł, a Aliera, znów lewą ręką blokując magię, siała spustoszenie.

Widząc inną adeptkę zachodzącą ją od tyłu, cisnąłem trzy shurikeny. Problem z atakiem magicznym polega na tym, że dopóki nie zostanie się trafionym, nie wiadomo, co adept próbuje człowiekowi zrobić. Ta adeptka doskonale wiedziała, co ją trafiło — jedna gwiazda wbiła się jej w czoło, druga rozcięła szyję. Musiała tak się skupić na tym, co chciała zrobić Alierze, że osłabiła albo wręcz zniósła własną magię obronną. Jakkolwiek by postąpiła, z walki wyłączyłem ją skutecznie.

Loiosh na samym początku wzbił się w powietrze i latając nad głowami adeptek i nie tylko, atakował, kogo uznał za stosowne, zmuszając swe ofiary albo do energicznego odganiania go, albo do natychmiastowego uzdrawiania ran po jego zębach i neutralizowania trucizny. Cwaniak atakował zawsze twarz, czyli najczulszy punkt u każdego człowieka i Dragaerianina.

Ruszyłem ku wskazanej przez Alierę adeptce — należało ją złapać, ogłuszyć w razie potrzeby i dać Alierze możliwość teleportowania nas wszystkich do zamku oraz założenia blokady na magię śledzącą.

Adeptka okazała się szybsza.

Dzieliło nas może pięć stóp, gdy zniknęła. Równocześnie coś trafiło mnie z prawej, nie osłoniętej przez Spellbreakera strony — odkryłem, że nie mogę się ruszyć. Ponieważ zostałem trafiony w ruch, o utrzymaniu jakiegokolwiek równo-

wagi nawet mowy być nie mogło, więc zwałem się jak kłoda na podłogę, aż się kurz podniósł. Znieruchomiałem na plecach w pozycji umożliwiającej mi zobaczenie Aliery, targanej najwyraźniej mieszаныmi uczuciami — nie wiedziała, czy mi pomóc, czy wyśledzić i złapać adeptkę.

„Nic mi nie jest” — zełgałem. „Złap tę dziwkę i schowaj ją gdzieś.”

Aliera zniknęła i zostałem sam. Na dodatek sparaliżowany tak dokładnie, że nie byłem w stanie nawet oczyma poruszyć, co mnie zresztą wybitnie wkurzało. Kątem oka dostrzegłem adeptkę wskazującą w moim kierunku i przygotowałbym się na śmierć, gdybym wiedział, jak to się robi.

Okazało się, że byłby to przedwczesny pośpiech — nie zdążyła zrobić tego, co sobie zaplanowała, bo skrzydlaty gad rąbnął ją z boku w głowę. Usłyszałem wściekły okrzyk i adeptka zniknęła mi z pola widzenia.

„Loiosh, przestań i wynoś się stąd natychmiast.”

„Ani mi się śni, szefie.”

Znów zobaczyłem adeptkę — była wściekłą, ale mną się zupełnie nie interesowała. Próbowwała wyciągniętą ręką wycelować w Loiosha, którego nie widziałem, ale łatwo było poznać z jej gwałtownych ruchów, że trafienie zwijającego się w unikach i wykorzystującego osłony terenowe jherega nie jest rzeczą łatwą, o czym właśnie miała okazję się przekonać.

Nie byłem w stanie zrobić nic pożytecznego. Przez moment zastanawiałem się, czy nie wezwać Kragara, ale nim zdążyłby tu przybyć, i tak byłoby za późno. O czarach też nie było co marzyć, bo rzucenie jakiegoś sensownego także trwałoby zbyt długo.

Zacząłbym kłąć, ale tego też nie mogłem zrobić. Z powodu bezsilności byłem wściekły jak nigdy w życiu. Nie dlatego, że zamierzają mnie zabić, ale dlatego, że leżę jak kłoda, nie mogąc w żadne sposób pomóc Loioshowi, którego lada moment ktoś zamieni w spalone szczątki. Odruchowo nabrałem energii z Kuli, ale mój umysł mimo rozpaczliwych wysiłków i olbrzymiej, uzyskanej z Kuli energii nie był w stanie rozerwać magicznych więzów. Po prostu nie byłem tak dobrym magiem jak ta, czy ten, który mnie trafił. Gdyby tylko Aliera tu była... Gdyby tu była, żadne z nich nie zdołałoby jej nic zrobić, podobnie jak w czasie walki. A gdyby okazali się na tyle głupi i spróbowali, zmieniłaby ich w chaos...

Zaraz!

Myśl o zamianie w chaos otworzyła jakąś klapkę w mojej pamięci — dziedzi-czenie genetyczne i reinkarnacja... linia e’Kieron... a ja byłem bratem Aliery!

I nagle wiedziałem, co mogę zrobić, choć nie miałem pojęcia jak. Tyle że w tym momencie w niczym mi to nie przeszkadzało i nic mnie to nie obchodziło. Cały świat mógł przy okazji szlag trafić, a cała planeta zmienić się w chaos — miałem to gdzieś. Jedyne, co się dla mnie liczyło, to adeptka próbująca upiec Loiosha. A potem mnie.

Słyszałem potem, że ci, którzy to widzieli, dostrzegli smugę czegoś, co opisywali jako bezkształtny i bezbarwny ogień, która wystrzeliła ze mnie i trafiła w adeptkę, tak zajęta celowaniem w Loiosha, że nie miała pojęcia, co ją czeka. Poczułem się nagle wyssany z energii, nienawiści, złości i wszystkiego. I zobaczyłem, jak adeptka zapada się w sobie i rozplywa w wirującą masę złożoną ze wszystkich znanych i całego mnóstwa nie znanych mi kolorów.

Usłyszałem krzyki, które nic dla mnie nie znaczyły. I stwierdziłem, że znów mogę się ruszać — przekonało mnie o tym bolesne zetknięcie się głowy z deskami podłogi. Okazało się bowiem, że cały czas miałem ją uniesioną, choć nie zdawałem sobie z tego zupełnie sprawy. Spróbowałem się rozejrzeć, lecz nie miałem siły, by to zrobić. Moją uwagę zwrócił czyjś nie bardzo sensowny okrzyk:

— To się rozlewa!

I usłyszałem rozpaczliwy głos Loiosha:

„Szefie, wstawaj!”

„Co...? Później Loiosh!”

„Nie będzie żadnego później, jeśli nie ruszysz dupy i to natychmiast! To płynie w twoją stronę!”

„Co płynie?”

„To, czym w nią cisnąłeś. Bacność! No rusz się, do cholery, bo prawie dopłynęło do ciebie!”

To, co mówił, było na tyle dziwne, że zmusiłem się jakoś do uniesienia głowy. W miejscu, w którym przed chwilą stała adeptka, teraz była kałuża... czegoś. Dziwne... Przyszło mi do głowy kilka kwestii równocześnie. Po pierwsze, że tak pewnie wygląda ktoś, kogo zmieniono w chaos, po drugie, że kałuża rozplywa się we wszystkie strony, a głównie w moją, po trzecie, że powinienem to zjawisko jakoś kontrolować, choć kontrolowanie chaosu było sprzecznością z założenia, a i tak zresztą nie miałem pojęcia, jak to zrobić, i po czwarte, że nie mam siły się ruszyć.

A potem z boku dobiegł mnie krzyk i zdałem sobie sprawę, że właśnie ktoś się tu teleportował. O mały włos wybuchnąłbym śmiechem zdecydowanie historycznym, jako że w takich okolicznościach zrozumiałe jest teleportowanie się z miejsca tak dziwnych wydarzeń, nie zaś do niego.

Z prawej coś zaświeciło zielono i zobaczyłem Alierę zmierzającą zdecydowanym krokiem ku kałuży. Stała na jej brzegu, a koło mnie wylądował Loiosh i zaczął mnie lizać po uchu.

„Szefie, trzeba wstać.”

To akurat było niewykonalne — zdecydowanie przekraczało moje siły. Udało mi się jednak utrzymać uniesioną głowę i obserwować Alierę. To, co robiła, było interesujące, choć jakoś tak dziwnie nieistotne. Wyciągnęła prawą dłoń, w której trzymała Pathfinderę, nad kałużę, a lewą uniosła w geście zakazu — i kałuża przestała się rozlewać!

W pierwszym momencie sądziłem, że mam omamy, ale naprawdę przestała. A potem zmieniła barwę na zieloną. Zmiana zaczęła się od brzegów i postępowała ku środkowi, aż cała masa przybrała szmaragdowy kolor. Alera wykonała lewą ręką szereg gestów — zielona masa zamigotała i powoli zmieniła kolor na niebieski. Doszedłem do wniosku, że ładny. I wydało mi się, że zaczęła się kurczyć... przyjrzałem się uważniej — rzeczywiście się kurczyła, ustępując z podłogi i pozostawiając czarny otwór o nierównych brzegach. Spojrzałem w górę — w suficie ział otwór dokładnie takiego samego, nieregularnego kształtu co w podłodze. Musiałem definitywnie przyznać, że nieźle narozrabiałem.

Połykująca niebieska masa kurczyła się coraz szybciej i zmieniała kształt, aż stała się kulą najpierw o średnicy dziesięciu stóp, potem pięciu. Alera cały czas pozostawała w tej samej odległości od niej, lewitując nad dziurą w podłodze. Kula miała już średnicę stopy, a po chwili Alera zasłoniła ją całkowicie.

Poczułem niespodziewany nawrót sił. Podparłem się usiadłem, uważając, by nie uszkodzić przy okazji Loiosha, nadal kręcącego się w pobliżu. Alera odwróciła się ku mnie i maszerowała nad nicością, dopóki nie dotarła do podłogi. Kiedy znalazła się przy mnie, złapała mnie za ramię i zmusiła, bym wstał. Wyrazu jej twarzy nie potrafiłem zinterpretować, ale gdy już w miarę trzymałem pion, podała mi niewielki, błękitny kryształ. Kiedy go wziąłem, poczułem, że jest ciepły i łagodnie pulsuje.

Wstrząsnął mną dreszcz.

— Drobiazg dla żony — powiedziała spokojnie. — Możesz jej powiedzieć, skąd go masz; i tak ci nie uwierzy.

Rozejrzałem się — poza nami i Loioshem w sali nie było nikogo. Co było całkowicie zrozumiałe — nikt posiadający choćby gram rozsądku nie miałby ochoty na bliższy kontakt z chaosem.

— Jak... jak tego dokonałaś?

Potrząsnęła głową.

— Nawet nie próbuj — ostrzegła. — Najpierw postuduj temat z pięćdziesiąt, a lepiej ze sto lat. Potem wejdź w Wielkie Morze Chaosu i zaprzyjaźnij się z nim, kiedy się upewnisz, że pochodzisz z rodu e’Kieronów. A jeśli tego dokonasz, to może, jeśli będzie to naprawdę konieczne, zaryzykujesz powtórzenie tego, co właśnie zrobiłaś.

Zamilkła na dobrą minutę, nim dodała:

— To był naprawdę czysty idiotyzm.

Wzruszyłem ramionami, nie bardzo mając ochotę się nad tym rozwodzić. Zwłaszcza w tej chwili. Powoli wracałem do formy i zaczynałem czuć się sobą. Siły wróciły mi prawie zupełnie, przeciągnąłem się i oceniłem rzeczowo:

— Lepiej się stąd zabierajmy, nim zjawi się gwardia.

Machnęła lekceważąco dłonią i już chciała coś powiedzieć, gdy Loiosh ostrzegł:

„Gwardia idzie, szefie!”

Moment później usłyszałem za drzwiami tupot podkutych butów.

Gwardzistów było trzech, wszyscy z ponurooficjalnymi minami i obnażoną bronią. Naturalnie wszyscy gapili się na mnie, Aliery nie zauważając. Nie miałem o to do nich pretensji — doniesiono im o zamieszaniu w lokalu należącym do Jherega, przybyli i w pustej sali z dziurą w podłodze zastali człowieka w barwach Domu Jherega. To niby co mieli myśleć?

Było ich tylko trzech, ale nie poruszyłem się. Wygrałbym bez trudu, tym bardziej że Loiosh przycupnął pod sufitem, a gwardia z zasady nie miała pojęcia, jak bronić się przed trucizną czy shurikenami, o ataku z powietrza nie wspominając. Sprawa sprowadzała się do tego, że nawet gdyby był tylko jeden i to w sztok pijany, też bym go nie tknął, ponieważ się to nie opłacało. Nie zabija się gwardzistów — można ich przekupić, przekonać czy oszukać, a najlepiej im uciec. Natomiast nie walczy się z nimi otwarcie, bo skutek jest zawsze taki sam: albo się przegra i jest się martwym, albo się wygra i staje się ofiarą takiej obławy, że w krótkim czasie zostaje się złapanym i też kończy jako trup.

Tym razem, jak się okazało, nie miałem powodów do obaw. Usłyszałem rozkazujący głos Aliery:

— Zostawcie nas!

Stojący na przedzie dowódca patrolu zauważył ją, oficjalnie uniósł brwi i zamarł, nie wiedząc, co ma zrobić. Poczulem do niego nawet sympatię.

— Kim pani jest? — spytał, podchodząc i równocześnie opuszczając rapier.

Aliera odrzuciła pelerynę z prawego ramienia, kładąc dłoń na rękojeści Pathfinder'a. Musieli wiedzieć, co to za broń, bo całą trójkę odruchowo cofnęło. Poza tym doskonale zdawali sobie sprawę, że istnieje zasadnicza różnica między ukatrupieniem gwardzisty przez Jherega — wtedy jest to morderstwo — i przez Smoka — wtedy jest to wewnętrzna sprawa Domu Smoka; cała trójka nosiła barwy tego właśnie domu pod złotymi pelerynami Gwardii Feniksa.

— Jestem Alera e'Kieron, a ten Jhereg jest ze mną! — oznajmiła. — Możecie odejść.

Dowódca rozejrzał się nerwowo, oblizał wargi i odwrócił do pozostałych. W ich twarzach nie drgnął ani jeden mięsień, ale musieli odbyć błyskawiczną naradę, najprawdopodobniej telepatyczną, gdyż odwrócił się z powrotem ku Alerze, skłonił i bez słowa schował rapier. Po czym odwrócił się kolejny raz i wyszedł, a jego podwładni w ślad za nim. Żałowałem, że nie mogę usłyszeć meldunku, który złoży.

— Czym cię trafiła? — spytała Alera, spoglądając na mnie.

— Kompletnym zewnętrznym paralizem. Mogłem tylko słuchać i patrzeć, ale oczyma już nie mogłem ruszyć. Z boku, od strony, gdzie Spellbreaker mnie nie chronił w tym momencie.

Pokiwała głową ze zrozumieniem, a ja nagle przypomniałem sobie, po co się tu zjawiliśmy.

— Złapałaś ją?

Uśmiechnęła się i poklepała pochwę Pathfindera.

Zatrzęsło mną.

— Zniszczyłaś ją?!

— Zapominasz, że to Wielka Broń, a nie kozik Morgantich. Jej ciało jest już w Czarnym Zamku, a dusza tutaj. Możemy połączyć je, kiedy tylko zechcemy — uśmiechnęła się promiennie.

— A ciało Morrolana?

— Także jest już w Czarnym Zamku. Nekromantka próbuje przełamać blokadę, ale wątpię, by jej się to udało. Musimy przekonać naszą znajomą, by nam pomogła.

— W takim razie nie traćmy czasu.

Dopiero w tym momencie uświadomiłem sobie, że mam przy swojej skromnej osobie broń Morgantich i to całkiem silną. Gdybym przypomniał sobie o tym w czasie spotkania z gwardzistami, zdaje się, że złamałbym wszelkie zasady, bo i tak nie miałbym nic do stracenia. Pierwszy raz w karierze prawie dałem się złapać z czymś tak obciążającym. Nagle bardzo polubiłem Alierę.

* * *

Po powrocie do Czarnego Zamku mój żołądek kategorycznie oznajmił, że ma dość. Gdyby znajdowało się w nim cokolwiek, obrzygałbym się, ledwie stanąłem na dziedzińcu, a tak jedynie się burzył. Za to zdecydowanie. Postanowiłem następnego dnia traktować go z niezwykłą delikatnością.

Morrolan kazał zbudować jedną z wież znacznie wyższą od pozostałych. Jest to ogniskowa większości jego mocy, a przynajmniej tak słyszałem. Niewiele osób ma wstęp do tej wieży. Ja mam. Alierą naturalnie też. Podobnie Nekromantka. Wieża jest centralnym miejscem kultu Verry, której służy Morrolan. I to dosłownie służy — zdarzyło mu się już składać jej w ofierze całe wioski.

Wieża zawsze pogrążona była w mroku — oświetlenie zapewniało tylko kilka czarnych świec. Znajdowało się w niej także jedno okno, ale nie widać było z niego dziedzińca. Jeśli miało się szczęście, to w ogóle nic przez nie nie było widać. Jeśli nie, widziało się rzeczy, od których można było stracić rozum.

Ciało Morrolana położyliśmy na posadzce pod oknem, a adeptkę na ołtarzu znajdującym się na środku wysokiej, zajmującej prawie cały poziom komnaty. Jej głowę podparliśmy tak, by spoglądała w okno, gdy zostanie ożywiona. To był mój

pomysł. Co prawda nie planowałem i użyć okna do czegokolwiek, ale ten widok powinien błyskawicznie wprawić ją we właściwy nastrój. Na wszelki wypadek przykuliśmy ją też do ołtarza łańcuchami, a Alierę założyła blokadę ogólną na użycie magii.

A potem przy pomocy Nekromantki zajęła się przywróceniem adeptki do życia, zdejmując naturalnie wcześniej blokadę. Co prawda niewiele osób wiedziało więcej o przenoszeniu duszy i podobnych praktykach od Nekromantki, ponieważ jednak dusza obiektu znajdowała się w Wielkiej Broni Aliery, to ona była ważniejsza na tym okręcie.

Adeptka otworzyła oczy, przez jej twarz przewinął się kalejdoskop uczuć. Ostatnim był strach. Blokada antymagiczna była już z powrotem na miejscu i teraz przysłała moja kolej. Nie miałem zamiaru dać jej czasu na zorientowanie się, gdzie jest, czy dojdzie do siebie. Musiała być naprawdę dobra — inaczej nie wybrano by jej do tej „roboty”. A to znaczyło, że jest twarda. Należało więc walić równo i iść za ciosem, nim się otrząśnie.

Dlatego pierwszą rzeczą, którą zobaczyła, było okno. Chwilowo uprzejmie puste, ale tym niemniej skuteczne. A zanim miała czas zastanowić się, co ją spotkało, ujrzała moją twarz. Stałem nad nią i starałem się wyglądać naprawdę paskudnie.

— I co? — spytałem. — Podobało się?

Nie odpowiedziała. Ponieważ zaciekało mnie, jak to jest, kiedy budzi się po zjedzeniu duszy przez magię, spytałem ją o to.

Nadal milczała.

Oceeniłem, że powinna już zdawać sobie sprawę z własnego położenia, jak i z tego, że magia jej nie pomoże, nie jest bowiem w stanie jej użyć. Odczekałem jeszcze sekundę, żeby dotarło to do niej na pewno, i poinformowałem uprzejmie:

— Alierze spодobało się takie zabijanie. Chce to powtórzyć.

Widać było, że się boi, ale panuje nad strachem.

— Nie mam zamiaru jej na to pozwolić — dodałem. — Sam chcę spróbować. Brak reakcji.

„W porządku, szefie?”

„A co, aż tak widać?”

„Tylko jak się ciebie dobrze zna.”

„Nie jest w porządku, ale nic na to nie poradzę.”

— To pewnie wada — powiedziałem głośno — ale naprawdę lubię wbijać ostrze Morgantich w takie suki jak ty.

Nadal nic.

— I dlatego przywróciliśmy cię do życia — wyjaśniłem i wyciągnąłem sztylet z pochwy.

Pokazałem go jej. Wytrzeszczyła oczy, rozpoznając, z czym ma do czynienia, i potrząsnęła głową.

Nigdy niczego podobnego nie robiłem i nawet biorąc pod uwagę, że chodziło o Morrolana, nie sprawiało mi to przyjemności. Bo obiektywnie rzecz oceniając, adeptka nie zrobiła niczego złego — przyjęła kontrakt na dość typowych warunkach i zrobiła co mogła, by go jak najlepiej wykonać. Zupełnie tak jak ja bym to zrobił. Jej pech polegał na tym, że zadarła z silniejszymi od siebie oraz że potrzebowaliśmy jej współpracy. Nic nie mogłem na to poradzić, ale w pełni ją rozumiałem i było mi jej żal.

Dotknąłem jej szyi płazem dwusiecznej klingi. Czułem, jak sztylet ze mną walczy, próbując obrócić się, by rozciąć skórę, zabić i pić.

Ona też to poczuła.

— Ponieważ jednak jestem uczciwy, muszę cię poinformować, że jeżeli będziesz współpracować, nie pozwolą mi cię zabić tym sztyletem. Będę tego niepomiernie żałował, ale dotrzymam słowa.

Na jej twarzy dało się zauważyć równocześnie ulgę i nienawiść do samej siebie za to, że ją czuła. Cóż, sam nie bawiłem się najlepiej, więc nie traciłem czasu na współczucie. Złapałem ją za włosy i szarpnięciem uniosłem głowę, by mogła dostrzec ciało Morrolana. Okno nadal było uprzejme i pokazywało jedynie nieprzeniknioną czerń.

— Już wiesz, czego chcemy — oznajmiłem. — Mnie prywatnie głównie obchodzi, czy to zrobisz czy nie, ale tym dwóm bardzo na tym zależy. . . Więc osiągnęliśmy pewien kompromis. Spytałem cię, ale tylko raz, czy zdejmiesz blokadę uniemożliwiającą ożywienie go. Jeśli się nie zgodzisz, jesteś moja. Jeśli się zgodzisz, Morrolan zdecyduje, co z tobą zrobić, ale nie zginiesz od ostrza Morgantich.

Zaczęła drzeć.

Dla zawodowca z Domu Jherega kontrakt jest niemal święty. Większość wołałaby stracić duszę, niż go złamać. W praktyce prawie nikt nie staje przed taką alternatywą. . . sam nigdy nie znalazłem się w podobnej sytuacji i miałem nadzieję, że nigdy się nie znajdę. Gdyby do tego doszło, sądzę, że załamałbym się. Choć może i nie — trudno snuć takie domysły.

— No to jak będzie? — spytałem chrapliwie.

Po wyrazie jej twarzy widać było, że targają nią sprzeczne uczucia.

Zacząłem siebie nie lubić. . . może jednak powinienem być zostać złodziejem?

Złapałem jej suknię i zadarłem ją, ukazując nogi. Kiedy ująłem kolano, Loiosh, tak jak uzgodniliśmy, syknął głośno.

— Nie! — oświadczyłem. — Dopiero jak z nią skończę!

Polizałem palec lewej dłoni i zaznaczyłem linię na wewnętrznej stronie jej uda. Powoli i starannie. Widać było, że jest bliska łez, a więc i bliska załamania.

— No cóż. . . — oświadczyłem z zadowoleniem, opuszczając sztylet.

Ostrze dotknęło skóry.

— Nie! Przestań, na bogów! Zrobię to!

Odsunąłem sztylet i złapałem ją za włosy, by miała w zasięgu wzroku ciało Morrolana, i skinąłem głową Alierze, by zdjęła na moment blokadę. Jeśli adeptka udawała, to teraz miała okazję podjąć walkę, ale musiała zdawać sobie sprawę, że z nami nie wygra.

— No to zdejmij blok! — warknąłem. — Nim zmienię zdanie.

Skinęła głową i skoncentrowała się.

— Zrobione — odezwała się pierwszy raz tego wieczoru Nekromantka.

Puściłem adeptkę. Rozplakała się.

Nekromantka podeszła do ciała Morrolana i zabrała się do pracy. Nie patrzyłem, co robi. W komnacie słychać było jedynie szloch adeptki i nasze ciche oddechy.

Nekromantka wstała po paru minutach, wyglądając przez moment na prawie szczęśliwą. Morrolan oddychał spokojnie i miarowo. Po paru sekundach otworzył oczy. Jego pierwszą reakcją był gniew. Potem zrozumienie i zaskoczenie. Rozejrzał się i spytał:

— Co się stało?

— Wpadłeś w zasadzkę — poinformowałem go.

Potrząsnął głową i wyciągnął rękę. Pomogłem mu wstać.

Przyjrzał się kolejno obecnym, aż jego wzrok spoczął na nadal pochlipującej adeptce. Spojrzał na Alierę, potem na mnie.

— Kto to? — spytał.

— Adeptka Lewej Ręki — wyjaśniłem. — Podnajęta przez tego, kto zgodził się wykonać kontrakt na ciebie. Miała dopilnować, by nie dało się ciebie przywrócić do życia. I zrobiła to. Ale ponieważ ten, kto założył magiczny blok, może go także zdjąć przekonaliśmy ją, aby tak właśnie zrobiła.

Morrolan przyjrzał się jej z nowym zainteresowaniem.

— W takim razie jest całkiem dobra? — upewnił się.

— Niezła — potwierdziła Alierka.

— Lepsza niż niezła — uśmiechnął się ponuro. — Dostałem, jak tylko pojawiłem się w tym. . .

— Magazynie — odpowiedziałem.

— Magazynie. Ktoś praktycznie od ręki zneutralizował całą moją magię obronną. Podejrzewam, że to ona. . . To ty, moja piękna?

Adeptka spojrzała na niego pustym wzrokiem i nie zareagowała.

— Na pewno ona — potwierdziłem. — Po co wynajmować dwóch adeptów, skoro wystarczy jeden dobry?

Morrolan pokiwał głową.

Wsunąłem sztylet do pochwy, odpiąłem pochwę od pasa i podałem mu ją. Morrolan zbierał broń Morgantich, a ja nie chciałem tego sztyletu więcej widzieć na oczy. Spojrzał na sztylet, w jego oczach błysnęło zrozumienie i bez słowa schował broń do wewnętrznej kieszeni peleryny.

— No to możemy już stąd wyjść — oceniłem.

Skierowaliśmy się ku drzwiom. Alera spoglądała na mnie, a wyraz twarzy miała dziwny, ale nic nie mówiła.

— Co z nią? — spytałem Morrolana, wskazując adeptkę. — Obiecaliśmy, że nie zginie od ostrza Morgantich, ale to ty zdecydujesz, co dalej. Innych obietnic nie było.

Kiwnął głową i zawrócił w stronę ołtarza, wyciągając z pochwy zwykły sztylet.

Alera, Nekromantka i ja wyszliśmy, nie mając żadnej ochoty oglądać finału.

Rozdział trzynasty

*„Rany po ukąszeniu yendi
nigdy nie da się do końca wyleczyć”*

Morrolan dogonił nas, nim doszliśmy do biblioteki. Sztylet miał już w pochwie i zachowywał się tak, jakby nic się nie stało. Też próbowałem zapomnieć o całym zajściu, ale naturalnie mi się nie udało.

Najśmieszniejsze w tym wszystkim było to, że zabiłem czterdzieści jeden osób jak do tej pory i żadne zabójstwo nie obeszło mnie w najmniejszym nawet stopniu. A tym razem nie tknąłem dziwki, a jeszcze przez wiele lat budziłem się, widząc we śnie jej twarz. Być może rzuciła na mnie jakiś urok, ale wątpię w to. A tak w ogóle to chciałbym po prostu o wszystkim zapomnieć.

Fentor czekał w bibliotece. Gdy zobaczył Morrolana, prawie się rozplakał. Rzucił się na kolana i pochylił tak nisko, że byłem pewien, iż zrobiło mu się niedobrze. Morrolan lepiej rozumiał, co się dzieje.

— Wstawaj — polecił szorstko. — A teraz siadaj i powiedz wszystko po kolei.

Fentor wykonał polecenie, Morrolan wskazał mu krzesło i nalał wina do kielicha. Fentor wypił go prawie duszkiem, ignorując bukiet i rocznik. My także usiedliśmy, gdzie kto chciał, i zajęliśmy się winem, choć znacznie mniej łapczywie.

— Dziś rano, milordzie, otrzymałem wiadomość — zaczął Fentor.

— Jak? — spytał Morrolan.

— Telepatycznie.

— Dobrze, mów dalej.

— Rozmówca przedstawił się jako Jhereg i powiedział, że ma na sprzedaż pewne informacje.

— Jakiego rodzaju informacje?

— Nazwisko, milordzie. Powiedział, że spróbują zabić Mellara, który jest naszym gościem, bo zabójcy zasady nic nie obchodzą. — Fentor wzruszył nieco bezradnie ramionami. — Powiedział, że zabójca jest wystarczająco dobry, by poradzić sobie z naszym systemem bezpieczeństwa.

Morrolan spojrział na mnie pytająco, jako że to ja odpowiadałem za system, a częściowo sam go wymyśliłem i uaktualniałem.

— Każdego można zabić — poinformowałem go rzeczowo.
Uśmiechnął się leciutko i ponownie skupił uwagę na Fentorze.
— Jesteś pewien, że są gotowi rozpętać następną wojnę między naszymi domami? — spytał.
Już miałem odpowiedzieć, ale się rozmyśliłem. Lepiej niech Fentor dokończy relację.
— Obawiałem się że tak. A poza tym doszedłem do wniosku, że lepiej jest znać to nazwisko, tak na wszelki wypadek.
— I uwierzyłeś, że ten ktoś poda ci nazwisko zabójcy?! — spytałem z niedowierzaniem.
— Mówił, że gwałtownie potrzebuje pieniędzy, dowiedział się o tym przypadku, a lord Morrolan na pewno będzie zainteresowany.
— Jak mniemam, nie przyszło ci do głowy poinformować mnie o tym, nim podjąłeś jakiegokolwiek działania? — pytanie Morrolana było w zasadzie retoryczne.
Fentor przez chwilę milczał, a potem odpowiedział pytaniem:
— A pan by tak postąpił, milordzie?
— Naturalnie że nie — oznajmił Morrolan.
Stłumiłem niewczesną wesołość.
— Tak też sobie pomyślałem — przyznał Fentor. — A ponieważ do moich obowiązków należy dopilnowanie, by nic się nie przytrafiło pańskim gościom, doszedłem do wniosku, że taka informacja może okazać się pomocna, gdyby zabójca rzeczywiście próbował tutaj zrealizować kontrakt na Mellara.
— Ile chciał? — spytałem.
— Trzy tysiące imperiali w złocie.
— Tanio — oceniłem. — Biorąc pod uwagę, co ryzykowałby, gdyby to była prawda.
— Skąd wzięłeś złoto? — zaciekawił się Morrolan.
Fentor lekko wzruszył ramionami.
— Nie jestem aż tak biedny — wyjaśnił. — A ponieważ zdecydowałem się załatwić to samodzielnie...
— Tak podejrzewałem. — Morrolan uśmiechnął się. — Zwrócę ci tę kwotę.
— Nie ma potrzeby, milordzie. Nie tknęli złota.
Tym razem ja się uśmiechnąłem — w końcu mieliśmy do czynienia z zawodcami.
— Teleportowałem się zgodnie z koordynatami, które mi podałeś — podjął opowieść Fentor. — I ledwie się tam zjawiłem, zostałem ogłuszony. Potem mnie zwiążali, założyli opaskę na oczy i ocucili, a na koniec zabili. Nie miałem pojęcia, dlaczego i o co tu właściwie chodzi, dopóki lady Alera mnie nie wskrzesiła. Wtedy zobaczyłem... pańskiego trupa, milordzie. A potem zgodnie z poleceniem pana Taltosa zająłem się zorganizowaniem teleportacji pana i siebie na zamek.

Poczułem się nieco winny — powinienem go uprzedzić o zwłokach Morrolana leżących kawałek dalej. Fakt — nie miałem wtedy czasu ani też nie byłem w nastroju do towarzyskich pogawędek.

— Zwolniłem go chwilowo ze służby — wyjaśniłem, gdy Fentor milczał dłuższą chwilę, uznając relację za skończoną.

Morrolan wstał i podszedł do niego. Przez chwilę przyglądał się Fentorowi, nim oznajmił:

— W porządku, akceptuję motywy, które tobą kierowały. Ale na przyszłość taka sytuacja nie może się powtórzyć. Mniej samodzielnego działania, więcej myślenia. Zrozumiałeś?

— Tak, milordzie. Dziękuję.

Morrolan poklepał go po ramieniu.

— Doskonale — zdecydował. — Jesteś przywrócony do czynnej służby. Wracaj na stanowisko.

Fentor skłonił się i wyszedł.

Gospodarz zamknął za nim drzwi, usiadł i ujmując kielich, spytał:

— Jak sądzę, chcielibyście wiedzieć, jak mnie podeszli?

— Zgadłeś — odparłem.

Wzruszył ramionami, zły na samego siebie.

— Dostałem telepatyczną wiadomość, prawdopodobnie od tego samego co Fentor osobnika. Twierdził, że mają Fentora, i polecił mi — tu Morrolan skrzywił się — przestać chronić lorda Mellara i usunąć go z mego domu. Zagroził, że jeśli tego nie zrobię, zabije Fentora bronią Morgantich. To samo miało go spotkać, jeśli spróbuję go uratować.

— Więc naturalnie, nic nikomu nie mówiąc, natychmiast pognałeś go ratować — dokończyłem.

— Naturalnie — potwierdził, ignorując mój sarkazm. — Utrzymywałem kontakt tak długo, by wysledzić, gdzie on się znajduje. Uaktywniłem swoją standardową obronę magiczną i teleportowałem się; resztę znacie.

— Fentor wtedy jeszcze żył? — spytałem.

— Tak. W czasie rozmowy z tym kimś zmusiłem go, by mnie z nim skontaktował. Fentor był nieprzytomny, ale żywy. Co do szczegółów... Ledwie się pojawiłem w tym magazynie, znana wam adeptka musiała zainicjować wcześniej przygotowaną pułapkę magiczną, bo w tak krótkim czasie nie mogłaby zlikwidować wszystkich elementów mojej magicznej obrony. Naturalnie wtedy nie wiedziałem, że to ona... atak fizyczny nastąpił tak szybko, że nie zdążyłem nawet wyciągnąć broni... podziwiam ich zgranie czasowe. Ty też byś podziwiał, Vlad. Zanim miałem czas zrobić cokolwiek, najpierw dostałem od tyłu w głowę, a zaraz potem oberwałem nożem w serce. Wykonali to dokładnie tak, jak sobie zaplanowali.

— Wiedzieli, jak się zachowasz i na co cię stać — pokiwałem głową z niesmakiem. — Powinienem się wcześniej domyślić, że spróbują cię usunąć.

— Tak w ogóle to jak na to wpadłeś? — zaciekała się Alieria.

— Powiedziano mi, że główny zainteresowany usunięciem Mellara znalazł sposób, by tego dokonać bez wszczynania wojny z Domem Smoka. Za późno, ale w końcu się domyśliłem, na czym ten sposób polega. Skoro Morrolan zginąłby gdzieś poza terenem Czarnego Zamku i nie dałoby się go ożywić, problem przestałby istnieć i nic nie stałoby na przeszkodzie, by Mellar został stąd wyrzucony. A wtedy już by na niego czekano. Jak tylko się dowiedziałem, że Fentor i Uliron zamienili się dyżurami, wiedziałem, że coś się szykuje, a gdy zrozumiałem co, skontaktowałem się z Alierią. . . resztę już znasz.

W szczegółach naturalnie nie znał, ale nie byłem w nastroju, by mu opowiadać, jak to o mały włos nie zmieniłem samego siebie i kawałka Adrilankhi w chaos.

Morrolan spojrzał na mnie twardo.

— A kto, jeśli można wiedzieć, wpadł na ten oryginalny pomysł? — spytał.

Odpowiedziałem równie twardym spojrzeniem i stwierdziłem spokojnie:

— Tej informacji nie mogę ujawnić nawet tobie.

Przyglądał mi się jeszcze przez chwilę, nim westchnął i opuścił wzrok.

— Cóż, i tak dziękuję.

— Wiesz, co w tym wszystkim jest największą ironią losu? — spytałem.

— O co ci chodzi?

— Od paru dni próbuję znaleźć sposób, by zabić Mellara, nie wywołując przy tym kolejnej wojny, a kiedy ktoś zaczyna taki plan realizować, robię co mogę, żeby mu się to nie udało.

Morrolan pozwolił sobie na przelotny uśmiech.

— Nie sądziłem, że posuną się tak daleko — przyznał. — A ty?

Zacząłem przytakiwać, gdy uświadomiłem sobie, że Demon, skoro już zaczął, nie cofnie się i nie będzie marnował czasu, a celem nie był przecież Morrolan!

— Co się stało, Vlad? — spytała Alieria.

Pokręciłem głową i nawiązałem telepatyczny kontakt z Fentorem.

„Słucham, panie?”

„Wróciłeś już na dyżur?”

„Tak.”

„Sprawdź wszystkie sektory i zobacz, czy gdzieś nie naruszono zabezpieczeń. Wyniki chcę znać zaraz albo jeszcze wcześniej.”

Nie przerywałem kontaktu, zastanawiając się, jak zabrałbym się do zabicia Mellara po usunięciu z pola Morrolana. Ponieważ sam obmyśliłem większość zabezpieczeń, trudno mi było znaleźć ich słabe punkty. Jak najlepiej dostać się do zamku? Tunel odpadał, jako że zamek unosił się milę nad ziemią. Użycie magii też było mało prawdopodobne, bo na to głównie nastawione były zabezpieczenia.

Wykonanie dziury w ścianie trwałoby zbyt długo, więc pozostały tylko drzwi. I to nie główne, bo tam bloki magiczne i czary zabezpieczające były najsilniejsze, a na dodatek cały czas znajdowała się tam lady Teldra. Pozostałe wejścia były pilnowane przez strażników... strażników zaś można było przekupić, a wystarczyłoby tylko dwóch...

Z drugiej strony na wybranie odpowiednich kandydatów i sfinalizowanie propozycji mieli tylko dwa dni, a to strasznie mało... można było usunąć tych, którzy się nie zgodzili...

„Fentor, czy w ciągu ostatnich dwóch dni zginęli jacyś strażnicy?”

„Nie, panie.”

No dobra, to co zostało? Załatwić zastępstwo za niedysponowanego? Ja bym właśnie tak postąpił...

„Fentor, czy jest dziś na służbie jakiś nowy wartownik? Ktoś, kogo zatrudnimy krócej niż trzy dni? Jeśli nie, sprawdź całą służbę, ale strażników najpierw!”

Dla zabójcy rola strażnika czy służącego była wręcz idealna — mógł kręcić się w pobliżu celu, nie zwracając na siebie uwagi i czekając na dogodny moment. Do tego nie musiał nawet przekupywać strażnika, wystarczyło spowodować chorobę czy niedyspozycję któregoś z nich i umieścić swoje nazwisko w aktach zamku...

„Mamy nowego strażnika przy wejściu do sali bankietowej. Pełniący tam zwykle dyżur...”

Przerwałem kontakt, bo już byłem w drzwiach. Usłyszałem zdumione głosy Morrolana i Aliery, ale nie zwolniłem. Oboje ruszyli za mną. Jedyne Nekromantka ani się nie odezwała, ani nie opuściła fotela — w końcu dla niej jeden trup mniej czy więcej to naprawdę nie była żadna różnica.

Biegłem w stronę sali bankietowej najszybciej jak mogłem, choć Loiosh był naturalnie szybszy. Wyprzedzał mnie o dobre dziesięć kroków, gdy dostrzegłem dwóch strażników stojących przy drzwiach. Rozpoznali mnie, bo wyprostowali się i skinęli głowami. Będąc o pięćdziesiąt stóp od nich, zauważyłem, że jeden ma pod uniformem ukryty sztylet, co nie pasowało do zwyczajów Smoków. Chwała Barlenowi, zdążyliśmy!

Morrolan praktycznie deptał mi po piętach. Strażnik z ukrytym sztyletem spojrział mi w oczy i skoczył do sali bankietowej. Loiosh leciał tuż za nim, a Morrolan i ja pędziliśmy jego śladem. Wyciągnąłem najporęczniejszy nóż do rzucania, a Morrolan dobył Blackwanda. Zatrzęsło mną, gdy magia ostrza zetknęła się z moim umysłem, lecz nie zwolniłem.

Z sali dobiegły nas krzyki bez wątpienia będące reakcją na telepatyczne polecenia Morrolana.

Wpadłem do sali i przez moment widziałem tylko tłum gości. Potem zobaczyłem atakującego Loiosha. Usłyszałem krzyk i ujrzałem błysk ostrza.

Zatrzymaliśmy się, widząc Mellara — nie sprawiał wrażenia przejętego, a tym bardziej zdenerwowanego czy przestraszonego. Spojrział pytająco na Morrolana.

Powód tego spojrzenia, fałszywy strażnik, leżał u jego stóp, a inny, prawdziwy strażnik wycierał zakrwawione ostrze ciężkiej szpady. Morrolan podziękował mu ruchem głowy i obaj podeszliśmy do leżącego na posadzce ciała. Wyjąłem z dłoni trupa sztylet i podałem mu bez słowa. Obejrzał go i spojrzał na strażnika:

— Dziękuję, dobra robota.

— Dzięki jheregowi — wyjaśnił ten, przyglądając się Loioshowi z zachwytem. — Gdyby go nie zajął, to bym nie zdążył.

„Wreszcie ktoś mnie docenił.”

„Wreszcie zrobiłeś coś pożytecznego.”

„Dwie martwe teckle na poduszce!”

Ignorując Mellara, wyszliśmy z sali bankietowej.

— Posprzątajcie tam — warknął Morrolan do najbliższego służącego.

Aliera czekała na nas na korytarzu. Morrolan pokazał jej sztylet — była to także broń Morgantich. Jak na mój gust ostatnio w okolicy pojawiło się za dużo tego typu oręża.

— Wiesz, co to znaczy? — spytałem.

Przytaknął ruchem głowy.

— A ty wiedziałeś, że to nastąpi? — zrewanżował się pytaniem.

— Domyśliłem się. Skoro nie udało się ciebie usunąć z drogi, musieli spróbować planu awaryjnego. Mieliśmy szczęście, bo kojarzenie faktów szło mi strasznie opornie. Gdyby Mellar przypadkiem zdecydował się wyjść z sali, już byłoby po wszystkim.

Wróciliśmy do biblioteki, gdzie powitała nas milczącym toastem Nekromantka. Miała dziwny półuśmiech. . . zawsze ją lubiłem, a być może którego dnia będę w stanie ją zrozumieć. . . choć z drugiej strony, może lepiej nie. . .

— Chciałem z tobą porozmawiać od chwili, w której odkryłem obecność obstawy — powiedziałem Morrolanowi, jak tylko usiedliśmy.

— Czyjej obstawy? Mellara?

— Zgadza się. Z tego co wiem, jest ich dwóch.

„Bo jest ich dwóch, szefie.”

„Zamknij się łaskawie, Loiosh.”

— A to wysoce interesujące. . . — mruknął Morrolan. — Kiedy się tu zjawił, nie miał żadnej ochrony osobistej.

Uśmiechnąłem się złośliwie i spytałem:

— Skoro nie ma ich na liście gości, mogę uważać, że jest na nich otwarty sezon polowań?

— Możesz. Wygląda na to, że Mellar nie ma zbyt dużego zaufania do mojego słowa. . .

Coś w tej wypowiedzi nie całkiem mi pasowało, ale nie byłem w stanie określić co konkretnie.

— Możliwe — przyznałem. — Acz bardziej prawdopodobne jest, że znając Dom Jherega, nie wierzy, by perspektywa wywołania wojny powstrzymała zabójców przed wypełnieniem zlecenia.

— Cóż, w tym akurat się nie myli, prawda?

Przytaknąłem i odwróciłem wzrok.

— Kimkolwiek by był w Domu Jherega, musiał narazić się naprawdę potężnym osobom — zauważył po chwili milczenia Morrolan.

— Zgadza się — potwierdziłem.

— Nadal nie mogę uwierzyć, by ktoś w Domu Jherega był aż tak głupi. . . — Morrolan potrząsnął głową z podziwem. — Oba domy zostały prawie zniszczone w pierwszej wojnie, a ostatnia. . .

— Ostatnia? — przerwałem mu zdziwiony. — Myślałem, że była tylko jedna wojna.

Teraz on był zaskoczony.

— Kto ci takich bzdur naopowiadał?! Ale fakt, tego akurat w Domu Jherega na pewno szeroko się nie omawia. W Domu Smoka zresztą też nie. . . sam bym o tym nie wiedział, gdyby mnie Alera nie oświeciła. . .

— A co ci konkretnie opowiedziała? — spytałem słabo.

— To, że były dwie wojny — wtrąciła, Alera. — Druga zaczęła się tak jak pierwsza: Jhereg został zabity przez zawodowego zabójcę w rezydencji lorda z Domu Smoka. Smoki zaczęły się mścić, przedstawiciele twego domu zrobili to samo i. . .

Zamilkła i wzruszyła wymownie ramionami.

— A dlaczego tak niewiele o tym wie? — spytałem.

— Dlatego, że zaraz potem wszystko zaczęło się walić i tak naprawdę nikt nie miał głowy, by to uczciwie spisać i umieścić w archiwach. W skrócie, zabity był przyjacielem lorda z Domu Smoka i pomagał mu w raczej poważnym przedsięwzięciu. Ktoś się o tym dowiedział i zrobił co mógł, by to uniemożliwić. Dom Smoka zażądał wydania zabójcy i tym razem Dom Jherega zgodził się. Być może był to efekt pierwszej wojny, a być może wchodziły tu w grę prywatne porachunki. W każdym razie zabójca uciekł z zaniku lorda, nim go ukarano, zabijając po drodze kilku Smoków, a potem kilku członków rady Domu Jherega. Konkretnie tych, którzy zdecydowali, by go wydać. W końcu został zabity, ale było już za późno, by powstrzymać lawinę wydarzeń.

— Dlaczego? Skoro chodziło o samodzielne działanie pojedynczego zabójcy. . .

— To miało miejsce w czasie rządów dekadentckiego Feniksa, kiedy nikt nikomu nie ufał. Należący do Domu Jherega uważali, że członkowie rady padli z rąk Smoków, a Smoki, że zabójcy zorganizowano ucieczkę.

— I zaraz potem rozpętało się piekło?

— Zginęło zbyt wielu lordów i magów z Domu Smoka i ten, który planował przejście tronu, musiał działać zbyt szybko i zbyt mocno polegać na magii. Bez najlepszych dowódców nie miał innego wyjścia, a bez najlepszych adeptów magia wymknęła się spod kontroli. To, że Cesarz już nie żył, niczego nie zmieniło. . .

Aliera ponownie umilkła, nie kończąc zdania.

A ja zacząłem kojarzyć. Wiedziałem, kiedy była pierwsza wojna między obu domami. Wiedziałem też o rządach dekadentckiego Feniksa. To mogło oznaczać, że druga wojna wybuchła. . . magia wymknęła się spod kontroli. . . no tak!

— Adron! — powiedziałem głośno.

— Mój ojciec — potwierdziła. — Zabity miał swoje powody, by nienawidzić Cesarza, i współpracował z ojcem, by znaleźć sposób otrucia go, kiedy to wszystko się zaczęło. Jak wiesz, Cesarza zabił ostatecznie Mario, gdy ten chciał użyć Kuli przeciwko Domowi Jherega. Inny przedstawiciel Domu Feniksa próbował przejąć władzę i zmusił ojca do zbyt szybkiego działania. A potem było już morze chaosu zamiast miasta, nie było Cesarza, Kuli i Imperium. Prawie dwieście lat minęło, nim pojawiła się Zerika z Kulą.

Otrząsnąłem się jak po solidnym ciosie — zbyt wiele szoków w zbyt krótkim czasie. Przystawałem być zdolny do myślenia.

— A teraz wszystko zacznie się od początku. . . — bąknąłem.

Morrolan kiwnął głową na znak zgody i przez długi czas siedzieliśmy wszyscy w milczeniu.

— Jeśli tak się stanie, Vlad, po czyjej będziesz stronie? — spytał cicho Morrolan.

Nie odpowiedziałem.

— Wiesz, że będę jednym z pierwszych celów Domu Jherega — dodał.

— Wiem. I wiem także, że będziesz robił co w twojej mocy, by zniszczyć organizację. Podobnie jak Aliera. A tak na marginesie, ja będę jednym z pierwszych celów Domu Smoka.

— Zgadza się. Jak sądzisz: zdołasz przekonać zleceniodawcę, by tym razem odpuścił?

— Nie jestem Issolą, Morrolan. Nie mam ani takich umiejętności, ani takiej władzy. A prawdę mówiąc, nie wiem, czy chciałbym. . . Wiem, dlaczego Mellar musi zginąć, i trudno mi się z tym rozumowaniem nie zgodzić.

— A nie da się trochę poczekać? Będzie tu jeszcze tylko parę dni.

— Problem w tym, że czas jest tu niezwykle istotnym czynnikiem. Nie można czekać, aż upłynie okres, na który go zaprosiłeś.

— Rozumiem. . .

I znów siedzieliśmy w milczeniu.

— Nie sądzę, by istniała szansa, abyś ten jeden raz pozwolił nam działać? — spytałem w końcu. — Wystarczy, że go stąd wykopiesz. Nie zamierzałem o to nawet pytać, ale w tej sytuacji. . .

Aliera uniosła głowę i z napięciem czekała na odpowiedź.

— Przykro mi, Vlad. To niemożliwe.

Westchnęła zrezygnowana.

— Nie sądziłem, że to zrobisz — przyznałem.

I znów cisza dzwoniła w uszach.

Przerwał ją Morrolan:

— Wiem, że nie muszę tego mówić, ale zrobię to na wszelki wypadek, żeby nie było nieporozumień, Vlad. Jeżeli cokolwiek przytrafi mu się w moim domu, nie spoczne, póki nie dojdę prawdy. I nie będzie żadnych względów, nawet jeśli chodziło o ciebie. A jeśli okaże się, że zabił go ktoś z Domu Jherega, osobiście wypowiem wojnę temu domowi i wiem, że poprze mnie każdy Smok w Imperium. Od dawna jesteśmy przyjaciółmi i nie raz uratowałeś mi życie, ale ani tobie, ani nikomu innemu nie puszcę płazem zamordowania gościa. Rozumiemy się?

— Gdybym chciał to zrobić tutaj, to nie rozmawiałbym z tobą, tylko wykonał „robotę”. Miałbyś już trupa w sali bankietowej i kłopoty na karku. Znamy się ile... ze cztery lata. Może dla ciebie to krótko, ale jestem zaskoczony, że znasz mnie tak słabo, by sądzić, że dla mnie przyjaźń jest tak mało warta.

— Nigdy nie podejrzewałem, byś zrobił coś takiego, ale musiałem to powiedzieć. Jasno i wyraźnie. Rozumiesz?

— Rozumiem. Zresztą pewnie się o to prosiłem, zadając ostatnie pytanie. Dobra, wróć do siebie i spróbuję to wszystko przemyśleć.

Wstałem. Morrolan zrobił to samo. Wymieniliśmy ukłony, potem skłoniłem się Alierze, która odwzajemniła się im i Nekromantce. Odwróciłem się ku drzwiom, gdy Morrolan złapał mnie za ramię.

— Przykro mi, Vlad. Przepraszam.

— Ja też — powiedziałem cicho.

Rozdział czternasty

*„Wreszcie zacznie być wiadome to,
co dotąd było utajone”*

Cawti znała mnie lepiej niż jakakolwiek żywa istota poza Loiošem. Widząc, w jakim wróciłem nastroju, nawet nie próbowała podejmować rozmowy i pozwoliła mi spokojnie zjeść w ciszy. Stłumiła w zarodku mój pomysł, że zajmę się gotowaniem, skoro ostatnim razem ona gotowała za mnie, i podała mi coś odżywczego i nieciekawego, dzięki czemu nie musiałem chwalić podsuniętych mi dań.

Sprytna dziewczyna.

Mieszkanie mieliśmy niewielkie, na drugim piętrze. Miało dwie niewątpliwe zalety: było jasne i z dużą kuchnią. Mieszkanie kogoś z Domu Jherega odróżnia od wszystkich innych jedna rzecz — brak magicznych alarmów antywłamaniowych czy pułapek na włamywacza. Powód jest prosty — żaden z należących do organizacji złodziei nie ruszy mieszkania innego jej członka, a nie zrzeszony może dokonać skoku tylko przez pomyłkę. Jeśli takowa pomyłka się wydarzy, to w ciągu najdalej dwóch dni pechowiec odstawi wszystko z powrotem. Gdyby tego nie zrobił, na trzeci dzień będzie miał połamane ręce i nogi. Reguła ta nie obowiązuje jedynie wysokiej klasy specjalistów, takich jak Kiera, pracujących na zlecenie i mających ukraść konkretną rzecz. A dla takich zawodowców żadne alarmy czy pułapki nie stanowią przeszkody, więc szkoda sobie głowę zawracać i ponosić zbyteczne koszty.

Tak więc czuliśmy się całkowicie bezpiecznie, siedząc w kuchni, gdy spytałem:

— Wiesz, na czym polega problem?

— Proszę?

— Za każdym razem, gdy próbuję wymyślić sposób, jak to zrobić, kończy się na myśleniu, co będzie, jak tego nie zrobię.

— Nadal z trudem mogę uwierzyć, że Demon świadomie rozpocznie z tego powodu następną wojnę, więc doskonale cię rozumiem.

Pokiwałem smętnie głową i spytałem:

— A tak naprawdę ma jakiś wybór?

— A co ty byś zrobił na jego miejscu?

— I tu mnie masz... wydaje mi się, że też byłbym gotów rozpocząć wojnę. Fakt, zostalibyśmy zmasakrowani, ale jeśli Mellarowi ujdzie na sucho ten numer, organizacja jest skończona. Każdy uliczny cwaniak będzie uważał, że może spróbować tego samego. W końcu któremuś się uda i sytuacja będzie jeszcze gorsza. A najpierw ucierpią na tym nasze lokale, biura i domy.

Powtarzałem to, co powiedział mi Demon, ale taka była prawda. Jedynym zaś sposobem, by do urzeczywistnienia tej ponurej wizji nie dopuścić, było zabicie Mellara tak, by nie wywołać przez to wojny. Sposób taki istniał — Demon go znalazł.

Dlatego chciał się ze mną spotkać powtórnie — uczciwie dał mi szansę. A że ja nie zrozumiałem, o co chodzi, to już nie jego wina. Musiałem przyznać, że zachował się honorowo. Ale i tak nie wiedziałem, jakie będzie jego następne posunięcie. Miał trzy cele do wyboru — mnie, Morrolana i Mellara. Powinien spróbować powtórnie zabić Mellara, bo czas zaczynał być coraz ważniejszy, skoro już zaczęły krążyć plotki. Oznaczało to, że zdoła utrzymać sprawę w tajemnicy jeszcze z dzień, dwa przy dużym szczęściu. W tym momencie dotarło do mnie, że Cawti coś mówi.

— Masz rację: trzeba go zabić.

— A ja nie mogę go tknąć, jak długo przebywa w Czarnym Zamku.

— A Demon nie będzie czekał, aż go opuści.

Nie będzie. Czyli zaatakuje na wariata, bo dzień na przygotowania oznacza brak przygotowań, tym bardziej że Morrolan zaostrzył środki bezpieczeństwa. Ja natomiast mogłem coś zrobić dopiero jutro, bo prędzej do niczego nie będę się nadawał.

— To się nazywa znaleźć się między młotem a kowadłem — oceniłem. — Albo między wódką i zakąską. Albo między smokiem a dzurem.

— Zaraz! Właśnie! Dzur! Nie mógłbyś wmanewrować któregoś Dzura-bohatera, żeby to za ciebie załatwił? Kogoś młodego, kto nie wie, z jak dobrym szermierzem miałby do czynienia, a najlepiej maga. Bohaterami łatwo jest manipulować...

Potrząsnąłem smętnie głową.

— Nie da się, kochanie. Nie wspominając już o tym, że Morrolan domyślił się, czyja to sprawa, ten młodzian nie będzie miał cienia szansy, by go zabić w pojedynku.

— Ale gdyby Morrolan się nie dowiedział...

— Ale się dowie. Domyśli się natychmiast, a prawdy dojdzie w krótkim czasie. Dla niego to, że Czarny Zamek stał się sanktuarium dla każdego, kogo on zaprosi, jest tak ważne, że dojdzie do prawdy. Znam go i wiem, że tak będzie.

„Że też wszyscy muszą być tak cholernie honorowi. Przecież to tylko utrudnia życie!”

„Loiosh, zajmij się łaskawie swoim talerzem.”

„To twój talerz.”

— A poza tym jak byś się czuła, gdybyś przyjęła zlecenie, a cel ukrył się w domu Norathar? — spytałem bez złośliwości.

— Norathar by zrozumiała — odparła Cawti po namyśle.

— Jesteś pewna?

— Tak... nie... chyba nie.

— Właśnie. I jeszcze drobiazg: poprosiłabyś ją o to?

Tym razem zastanawiała się nieco dłużej.

— Nie — powiedziała zdecydowanie.

— Tak mi się też wydawało.

Cawti westchnęła ciężko i przyznała:

— W takim razie nie widzę żadnego sposobu.

— Ja też. Trzeba by go przekonać, żeby dobrowolnie opuścił Czarny Zamek, i dorwać, gdy tylko to zrobi. Możemy go oszukiwać, jak uznamy za stosowne, ale nie możemy użyć przeciwko niemu magii czy czarów, jak długo znajduje się na terenie zamku.

— Moment! Morrolan nie zgadza się na użycie magii, ale gdyby na przykład Mellar dostał pisemną wiadomość, która skłoniłaby go do opuszczenia Czarnego Zamku, wtedy wszystko byłoby w porządku?

— Tak.

Sądząc po jej minie, miała na ten temat dokładnie takie zdanie jak ja. Potwierdziły to jej słowa:

— Przecież to śmieszne! Nie mówiąc już o tym, że głupie. Co za różnica, jak go wywabimy na zewnątrz? I dlaczego Morrolan z takim uporem czepia się użycia magii?

— Przyjaźnię się z Morrolanem, ale to nie znaczy, że go rozumiem — powiedziałem łagodnie. — Zresztą czy ktokolwiek potrafi zrozumieć Smoka?

— Ale...

— Generalnie Morrolanowi chodzi o to, byśmy nie byli w stanie Mellarowi nic zrobić.

— A oszukanie go to co?

— A z tym to jest tak: po pierwsze, na to Morrolan nie ma wpływu. Po drugie, nie uwzględnił tego w swej obietnicy. Po trzecie, to już jest kwestia wolnego wyboru: każdy może się zorientować i nie dać oszukać, natomiast poza adeptem, i to dobrym, nikt nie zorientuje się, że jest pod działaniem magicznej sugestii. Oszustwo daje ofierze szansę, więc jest w pewien sposób uczciwe, magia jej nie daje. Podejrzewam też, że istnieje czwarty powód: Morrolan sądzi, że nie będziemy w stanie tego zrobić. Mellar wie, że jest celem, i powinien cały czas mieć się

na baczności. Także przed takimi pomysłami. Prawdę mówiąc, sam nie bardzo wiem, jak mielibyśmy to przeprowadzić. . .

— Ja też — przyznała ze smutkiem.

— Kragar miał pogrzebać w jego przeszłości; może znajdzie tam jakiś słaby punkt, który da się wykorzystać. . . albo coś innego da się spożytkować. Ale prawdę mówiąc, nie wiąże z tym zbyt wielkich nadziei.

Cawti nic nie odpowiedziała.

— Zastanawiam się — odezwałem się długo potem — co Mario by zrobił.

— Nie przyjąłby kontraktu z granicą czasową. I mógłby sobie spokojnie poczekać, aż Mellar opuści Czarny Zamek. Obojętne kiedy i jak by to nastąpiło, byłby tam i wykonałby „robotę”.

— Problem w tym, że Demon nie może czekać. . .

— Na Maria musiałby.

— I dlatego Mario nie dostał tego kontraktu.

— Raczej go nie wziął — poprawiła mnie cicho.

Nie zareagowałem, jako że była to prawda, co sam Demon zresztą powiedział mi przy pierwszym spotkaniu.

— No, a poza tym jest tylko jeden Mario — dodała.

Z tym także nie sposób było się nie zgodzić.

— A co zrobiłybyście wy z Norathar? — spytałem.

Zastanawiała się długo nad odpowiedzią.

— Nie jestem do końca pewna, ale jedno nie ulega wątpliwości: Morrolan nie był naszym przyjacielem, więc pewnie wyprowadziłybyśmy Mellara, używając magii i starając się, by Morrolan tego nie odkrył.

Zgodne z prawdą, ale zdecydowanie mało pomocne.

— Zastanawiam się, jak Mellar by postąpił — zacząłem rozmyślać na głos. — Z tego co wiem, nim wszedł do rady, był nie najgorszym zabójcą. Trzeba byłoby go o to zapytać. . .

Cawti roześmiała się.

— Jedyńy sposób, by go o to zapytać, to odwiedzić go w Czarnym Zamku. Jak rozumiem, ostatnio nader niechętnie go opuszcza.

Nie odpowiedziałem, przyglądając się, jak Loiosh wylizuje nasze talerze. Po-tem przeszedłem do salonu. Posiedziałem, gapiąc się na brązową ścianę. Bez efektu. Nadal coś mi nie dawało spokoju. . . coś, o czym rozmawiałem z Morrolanem. . . próbowałem sobie przypomnieć, co to było. . . coś o ochroniarzach. . .

— Cawti!

— Tak? — dobiegło z kuchni.

— Wiesz, że Mellar ma dwóch ochroniarzy?

— A co w tym takiego dziwnego?

— To, że muszą być naprawdę dobrzy, bo nie zauważyłem ich, rozmawiając z nim.

— Powiedziałaś o nich Morrolanowi?
— Tak. Wyglądał na zaskoczonego.
— Ja myślę. Wiesz, że nie obejmuje ich ochrona? Skoro wśliznęli się bez zaproszenia, nie są gośćmi.

— Zgadza się. I to jeszcze potwierdza, że są dobrzy. Wśliznięcie się do Czarnego Zamku to nie jest zadanie dla amatorów, nawet gdyby zabezpieczenia były tylko w połowie tak dobre, jak sędzę, że były. Naturalnie wtedy stosowaliśmy jeszcze standardową procedurę, ale...

Skończyła sprzątać i usiadła obok mnie. Oparłem głowę na jej ramieniu — odsunęła się i poklepała mnie po kolanie. Wyciągnąłem się wygodnie, a Loiośh usadowił się na moim brzuchu. Nadal coś mi nie pasowało z tymi ochroniarzami, ale nie byłem w stanie określić co. Prawdę mówiąc, w tej sytuacji było coś dziwnego, czego nie potrafiłem zrozumieć, a równocześnie dokładnie sprecyzować.

— Jak myślisz? — spytała po jakimś czasie Cawti. — Dałoby się przekupić któregoś z nich?

— Jak to: przekupić? Jeśli masz całą organizację, by sobie wybrać członków osobistej ochrony, to chyba znajdziesz w stanie znaleźć choć dwie w pełni godne zaufania osoby? Zwłaszcza jeśli dysponujesz dziewięcioma milionami w złocie ekstra. O przekupstwie możemy zapomnieć.

— Chyba masz rację — przyznała. — Z drugiej strony, nie tylko pieniądze mogą wchodzić w grę...

— Biorąc pod uwagę, że mamy tylko dwa dni? Naprawdę wątpię, Cawti.

Pogładziła mnie delikatnie po włosach.

— A nawet gdyby to się udało, na niewiele się przyda — powiedziała. — Skoro nie można go zabić w zamku, to, czy ochroniarz odsunie się we właściwym momencie czy nie, jest bez znaczenia.

Nagle wszystko wskoczyło na swoje miejsce!

Usiadłem tak gwałtownie, że Loiośh mało nie spadł — uratowało go wczepienie się pazurami w mój kaftan. Pochyliłem się i pocałowałem Cawti.

— A to za co? — spytała. — Nie żebym narzekała, ale chciałabym wiedzieć.

Ująłem jej dłoń, spojrzałem w oczy i skoncentrowałem się na kontakcie telepatycznym. A gdy go nawiązałem, przypomniałem sobie całą sekwencję od biegu do sali bankietowej aż do widoku martwego zabójcy, zwracając szczególną uwagę na drobiazgi, które rejestruje tylko człowiek mego fachu. Nie zdałem sobie wówczas z nich sprawy i dlatego właśnie coś ciągle nie dawało mi spokoju.

„Szefie, mam powtórzyć jak go dorwałem?”

„Następnym razem, Loiośh.”

„Obiecanki — macanki.”

Skończyłem na momencie, gdy podałem Morrolanowi sztylet.

— Czy coś wydało ci się dziwne? — spytałem.

Zastanowiła się szybko.

— Cóż... Mellar był dziwnie spokojny jak na kogoś, kogo omal nie zabito dopiero co i to bronią Morgantich. Ale poza tym...

— Mógł nie zdawać sobie sprawy, że to broń Morgantich. To rzeczywiście nieco dziwne, ale nie o to mi chodzi.

— W takim razie nie wiem o co.

— Chodzi mi o zachowanie się jego ochrony podczas próby zamachu.

— Jakie zachowanie?! Z tego co widziałam, to w ogóle nie zareagowali.

— Właśnie!

Powoli skinęła głową, rozumiejąc, co mam na myśli, ale na wszelki wypadek i tak wyjaśniłem:

— Gdyby strażnik się spóźnił, Mellar byłby martwy, co nie pasuje nijak do naszego wniosku, że jego obstawa to kompetentni zawodowcy. Mellar też miał czas zdobyć broń, a tego nie zrobił, co również jest dziwne. A jeszcze dziwniejsze jest to, że żadnego z jego ochroniarzy nie było w pobliżu. A powinien być przynajmniej jeden i to właśnie on powinien ukatrupić zabójcę, zanim strażnik Morrolana zdążyłby to zrobić.

„Ahem!”

— A Loiosh musiał jeszcze zająć zabójcę, bo strażnik nie zdążyłby, a nikt nic nie robił poza nim — dodałem.

„I tak bym musiał. Na pewno nie są aż tak szybcy.”

— A może po prostu nie było ich tam? — spytała Cawti. — Może Mellar wysłał ich, by coś załatwili?

— Właśnie o to mi chodzi. Ponieważ jest to zachowanie bezsensowne ze strony ofiary, istnieją tylko dwie możliwości: albo nagle zidiociał, albo to, co im zlecił, było dlań ważniejsze od własnego bezpieczeństwa.

— Są jeszcze dwie możliwości. Pierwsza: byli na miejscu, uznali, że strażnik da sobie radę, więc nie muszą interweniować. Druga: Demon ich przekupił.

— Jeśli zaszła pierwsza, to są lepsi, niż podejrzewaliśmy, a to wysoce niepokojące.

— Wiesz, czy nadal są na sali?

— Nie wiem, ale sprawdzę.

Skontaktowałem się z dyżurnym i błyskawicznie uzyskałem potrzebne informacje.

— Nadal są na sali — poinformowałem Cawti.

— A więc ich nie przekupił, a Mellar zaakceptował ich zachowanie podczas zamachu.

— A to się zaczyna robić coraz dziwniejsze. I zamierzam od samego rana się tym zająć. A teraz idziemy do łóżka.

Spojrzała na mnie niewinnie, otwierając szeroko oczy.

— A co mój pan zaplanował?

— Niby dlaczego miałem coś zaplanować?

— Bo zawsze coś knujesz — odparła, wchodząc do sypialni. — Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że tym razem nie masz żadnych planów?

— Od chwili gdy zająłem się tą „robotą”, nic nie daje się zaplanować. Będziemy musieli improwizować.

* * *

Pierwotnie sądziłem, że wykonam zlecenie w dwa dni. Okazało się to niczym nie uzasadnionym optymizmem.

Rano pojawiłem się w biurze wcześniej, mając nadzieję stworzyć konkretny plan lub przynajmniej jego zarysy. Już się cieszyłem, że jestem wcześniej niż Kragar, który wstaje w środku nocy, gdy usłyszałem z drugiej strony biurka znaczące chrząknięcie. Oczywiście tkwił na swoim miejscu z miną mówiącą: siedzę tu już od kwadransa, może byś mnie dostrzegł.

Prawie pokazałem mu język.

— Czego się dowiedziałeś? — spytałem mało życzliwie.

— Cóż... może zaczniemy od złych wieści, żeby potem spokojnie przejść do złych wieści i dla odmiany zakończyć także złymi wieściami?

— Jesteś taki radosny, że można się powiesić.

Wzruszył ramionami i milczał.

— Dobra. Zaczynaj tę litanię złych wieści!

— Plotki krążą.

— Nie mów?! A kiedy nie krążą? Na ile są zgodne z prawdą?

— Jeszcze nie za bardzo. Jak na razie nikt nie połączył finansowych kłopotów Domu Jherega i poszukiwań Mellara.

— Zdążą połączyć w ciągu dwóch dni?

— Na pewno. No i ktoś będzie musiał zacząć udzielać odpowiedzi. Może być jutro. Idealnie byłoby dziś.

— Ujmijmy to inaczej: czy pojutrze będzie za późno?

— Prawdopodobnie.

— Cóż, w takim razie to nie ja będę się martwić pytaniami.

— To miłe. Aha, byłbym zapomniiał: jest też dobra wiadomość.

— Nie może być! W takim razie może będziemy świętować? Poślę cię po flaszkę albo po co...

„Po zdechłą tecklę!”

— To nie jest aż tak dobra wiadomość, żeby od razu pić. Dorwaliśmy tę adeptkę, którą kazałeś.

— Tę od plotek? Doskonale. Daj zabójcy premię za szybkość!

— Już dałem. Mówi, że miał szczęście: znalazła się we właściwym miejscu, więc wykorzystał okazję.

— Dobrze. Ale takie okazje się stwarza, więc gość wart jest zapamiętania na przyszłość.

— Jasne.

— No to wracaj do tych złych wieści. Znalazłeś coś o Mellarze.

— Mnóstwo. — Wyjął z kieszeni notes. — Ale wątpię, żeby coś z tego nam się przydało.

— Zobaczmy. Przestań krakać. Sprawdźmy, kim jest, potem będziemy się martwić, czy to coś nam da czy nie.

Kragar pokiwał głową i zaczął czytać:

— Jego matka żyła sobie szczęśliwie jako mieszaniec Smoka i Dzura. Skończyła, jak było do przewidzenia, jako dziwka. Ojciec był zabójcą, ale miał masę innych zainteresowań. Zabójcą nie najgorszym, jak wynika z tego, co zdołałem sprawdzić. Zginął podczas niszczenia Dragaery i najprawdopodobniej wtedy też zginęła matka. Nasz ulubieniec przeczekał gdzieś inwazję ludzi i pojawił się dopiero, gdy Zerika zasiadła na tronie. Próbował przyłączyć się do Domu Smoka, powołując się na więzy krwi, ale naturalnie go nie przyjęto. Próbował tego samego z Domem Dzura — z identycznym rezultatem.

— To było, zanim wywalczył sobie przynależność? — upewniłem się.

— Tak, zaraz po Bezkrólewiu. Tak naprawdę nazywa się Leareth. Pod tym nazwiskiem zresztą pierwszy raz dołączył do Domu Jherega.

— Że co?!

— Przecież mówię. To zabrało mnóstwo czasu, ale się dokopaliśmy. Używał nazwiska Leareth i w naszych archiwach nie ma o nim ani słowa.

— To skąd. . .

— Z archiwów Domu Lyorna. Kosztowało nas to dwa tysiące imperiali i dało ciekawe wyniki. Ktoś wcześniej zdołał przekupić paru archiwistów i zniknęły zapisy dotyczące Mellara i jego rodziny, które powinny tam być. Na dobrą sprawę przez przypadek trafiliśmy na to, czego nie znaleźli albo do czego nie mieli dojścia. Gdyby nie to, nie znaleźlibyśmy nic. Dobry plan i nie najgorsze wykonanie. . .

— Właśnie. A ja znalazłem młodą damę z Domu Lyorna, która nie mogła oprzeć się moim oczywistym wdziękom.

— Jak zdołała zauważyć twoje istnienie?

— Wiesz, one zawsze robią to, kiedy już jest za późno. . .

Przyznaję, że byłem pod wrażeniem. Tak osiągnąć Kragara, jak i Mellara. Już przekupienie kogoś z Domu Lyorna, by dotrzeć do archiwów, nie jest łatwe. Przekupienie, by zmienili coś w nich, trafia się niezwykle rzadko — ja sam zetknąłem się z czymś takim pierwszy raz. To zupełnie tak, jakby udało się przekupić zabójcę, by podał nazwisko zleceniodawcy. Cóż, istniały też inne metody. . .

— Technicznie rzecz biorąc, nie wszedł wtedy oficjalnie do Domu Jherega — dodał Kragar. — Dlatego właśnie mieliśmy takie problemy z ustaleniem czegośkolwiek. Pracował dla organizacji jako niezależny.

— Nie wierzę! Kragar, na ilu jeszcze zabójców się natkniemy? Zaczynam się czuć jak członek stada!

— Coś musi być w powiedzeniu, że w nocy w mieście nie jest bezpiecznie — uśmiechnął się złośliwie.

Bez dalszego gadania wskazałem mu barek. Co prawda było trochę wcześniej, ale szok od rana źle wpływa na organizm i potrzebowałem czegoś, by wrócić do równowagi.

— Dobry był? — spytałem.

— Kompetentny — odparł, nalewając każdemu z nas po lampce koniaku. — Brał tylko niewielkie zlecenia, ale żadnego nie spartaczył. Wychodzi na to, że nie tykał kontraktów powyżej trzech tysięcy sztuk złota.

— Da się przeżyć — oceniłem.

— Da, a z drugiej strony takie „roboty” nie pochłaniają zbyt wiele czasu. A na dodatek nie brał zleceń częściej niż dwa razy do roku.

— Co?!

— Właśnie. Bo cały czas, którego nie spędzał na „robocie”, poświęcał nauce fechtunku.

— Aha!

— Żebyś miał pełen obraz: uczył go lord Onarr.

Usiadłem tak gwałtownie, że Loiosh mnie obsobaczył, gdyż omal nie wylądował na podłodze.

— No, proszę... to w ten sposób zdołał pokonać siedemnastu Dzurów-bohaterów — powiedziałem wolno.

Kragar przytaknął posępnie.

— Wiesz może, co skłoniło Onarra do przyjęcia go na ucznia?

— Wiem. Wzruszająca historia śmierząca na odległość. Żona Onarra zachorowała, gdy panowała jedna z zaraz szalejących podczas Bezkrólewia. Mellar, albo raczej Leareth, bo tego nazwiska używał, znalazł czarownicę, która ją uzdrowiła. Wiesz, że magia wtedy nie działała, a naprawdę niewielu ludzi chciało pomagać Dragaerianom, obojętne za jaką cenę. A jeszcze mniej Dragaerian znało się na czarach.

— Wiem — uciąłem krótko.

Spojrzał na mnie, zaskoczony tonem mojego głosu.

— Mój ojciec zmarł podczas zarazy — wyjaśniłem. — Długo po Bezkrólewiu, kiedy już nie były takim wielkim zagrożeniem. Nie znałem na tyle dobrze magii, by go uratować. Znałem czary, a jeszcze lepiej znał je mój dziadek. Mogliśmy go uzdrowić bez trudu, ale się nie zgodził. Bo czary były za bardzo ludzkie, a on chciał być Dragaerianinem, kretyn jeden. Dlatego kupił tytuł w Domu Jherega

i zmusił mnie do nauki waszej szermierki i magii. No i wydał na to tyle pieniędzy, że nie stać nas było na wynajęcie wystarczająco dobrego maga. Umarłbym zresztą na tę samą chorobę, gdyby nie dziadek.

— Nie wiedziałem, Vlad — powiedział cicho.

— Bo nie ma się czym chwalić. Mów dalej.

— Cóż, jeśli się jeszcze nie domyśliłeś, to Mellar najpierw wynajął czarownicę do sprowadzenia zarazy, a potem do wyleczenia chorej, gdy już umierała. Onarr był mu tak wdzięczny, że zgodził się go uczyć. Mieszkańca nie należącego do żadnego domu. Wzruszające, no nie?

— Interesujące. Czuć rękę znajomej organizacji. . .

— I coś jeszcze: zaczął realizować ten plan, zanim pierwszy raz spróbował się dostać do Domu Smoka czy Domu Dzura. Co oznacza, że spodziewał się, że ani tu, ani tu go nie przyjmą.

— Zgadza się. I to stawia sprawy w nieco innym świetle. Po co w takim razie próbował zostać Smokiem, a potem Dzurem? I jeszcze jedno: to oznacza, że planował te wszystkie zmiany znacznie dłużej niż przez dwanaście lat. Coś koło dwustu, tak?

— Dłużej.

— Fakt, mówiłeś, że krótko po Bezkrólewiu. . . czyli będzie około czterystu, zgadza się?

— Zgadza się. Robi wrażenie, prawda?

Nie mogłem zaprzeczyć.

— Wiesz coś jeszcze? — spytałem.

— Uczył się u niego w tajemnicy przez prawie sto lat. Kiedy uznał, że jest gotów, wywalczył sobie miejsce w Domu Dzura, a resztę już znasz.

Było zbyt wcześnie na wyciąganie jakichkolwiek wniosków, ale i tak przeanalizowałem usłyszane rewelacje, chcąc jak najprędzej i jak najlepiej zrozumieć przeciwnika.

— Dowiedziałeś się, dlaczego chciał się dostać do Domu Dzura drugi raz?

Kragar potrząsnął przecząco głową.

— No cóż, szkoda, bo chciałbym to wiedzieć. Co z magią, też się kształcił?

— Z tego co wiem, to nie i niewiele umie.

— Czary?

— Nie.

— Coś już wiemy. . . choć pojęcia nie mam, na co się to może przydać — oceniłem, racząc się koniakiem.

Zacząłem powoli przyswajać sobie informacje. . . szermierzem musiał być znakomitym, więc nie miałem szans. . . wywalczył sobie przynależność do Domu Dzura tylko po to, by z niej zrezygnować i dołączyć ponownie do Domu Jherga. . . dojść na szczyt i ściągnąć na siebie gniew całej rasy. . . po co. . . by udowodnić, że to potrafi. . . Był w części Dzurem, więc nie było to niemożliwe, ale

jakoś mnie nie przekonywało... no i to całe staranne, długofalowe planowanie...
Dziwne.

— Wiesz, Kragar: jeśli kiedykolwiek miałbym z nim walczyć, to chyba znalazłbym się w kłopotach.

Kragar prychnął rozbawiony.

— Masz talent do eufemizmów, Vlad. Posiekałby cię na plasterki.

— Niekoniecznie. Pamiętaj, że fechtuję po ludzku, a nie tak prymitywnie jak wy, co powinno utrudnić mu zadanie. Przynajmniej z początku.

— Ale nie na długo.

— Też prawda.

Posiedzieliśmy sobie w milczeniu i dopiliśmy koniak.

— A ty co znalazłeś? — Kragar w końcu przerwał milczenie. — Coś ciekawego?

— Owszem. Miałem wczoraj pracowity dzień.

— Niemożliwe? Biedaku, tak ci się pechowo trafiło!

Żeby przestał się nabijać, zdałem mu relację z wczorajszych wydarzeń. Loiosh naturalnie dopilnował, żeby jego udział został należycie doceniony. A Kragar był równie zaskoczony jak ja, gdy się dowiedział o postępowaniu ochroniarzy.

— To bez sensu — skomentował w końcu. — Niby gdzie ich wysłał?

— Pojęcia nie mam. Tylko że po tym, czego się od ciebie dowiedziałem, widzę inne wyjaśnienie, które zupełnie mi się nie podoba.

— Jakie?

— Że ochroniarze są w rzeczywistości wynajętymi magami, nie za bardzo umiejącymi się bić, a Mellar obmyślił sobie, że z fizycznym atakiem sam sobie poradzi.

— Przecież nie wyciągnął nawet broni!

— Ano właśnie. Może liczył, że strażnicy załatwią zabójcę, co w końcu zrobili. Z niewielką a istotną pomocą — dodałem szybko.

Kragar nie wyglądał na przekonanego.

— Liczyłybyś na kogoś w takiej sytuacji? — spytał.

— No cóż... nie. Ale ja nie jestem takim dobrym szermierzem jak Mellar — wyjaśniłem, lecz bez przekonania.

— Jedyne, co ma jakikolwiek sens, to to, że gdzieś ich obu posłał, uważając, że jeden może nie dać sobie rady, i miał pecha, że w tym momencie zmusiłeś zabójcę do działania — ocenił Kragar.

— Może... Zaraz, chyba zaczyna mnie męczyć skleroza: przecież to można zaraz sprawdzić!

— Co można sprawdzić?

— Poczekaj.

Skoncentrowałem się i wywołałem telepatycznie strażnika, z którym rozmawiałem w sali bankietowej. Co prawda jego nazwisko mi umknęło, ale zapamiętałem go.

„Kto?”

„Lord Taltos.”

„Słucham, milordzie.”

„Miałeś oko na tych dwóch ochroniarzy Mellara?”

„Próbowałem, milordzie. To śliskie sztuki.”

„Nie szkodzi. Miałeś wczoraj służbę w trakcie próby zamachu?”

„Miałem, milordzie.”

„Ochroniarze byli na sali?”

„Nie. . . zaraz! Tak. Na pewno obaj byli na sali.”

„Jesteś pewien?”

„Jestem, bo sprawdziłem tuż przed atakiem. A po ataku zrobiłem to odruchowo i też byli obecni.”

„Dobra robota. Dzięki, to wszystko.”

Zakończyłem połączenie telepatyczne i streściłem Kragarowi, czego się właśnie dowiedziałem.

— Następna miła teoria poszła. . . — ocenił, kręcąc głową.

— Dokładnie.

W tej sprawie nic nie miało sensu! Kolejny raz próbowałem uporządkować fakty i kolejny raz ożywały mi w rękach, wykazując denerwującą ruchliwość. Nie mogłem zrozumieć postępowania ani Mellara, ani jego osobistej ochrony. Ponieważ jednak wszystko w przyrodzie ma swój sens, i te zachowania musiały mieć logiczne wytłumaczenie, tylko ja nie potrafiłem go dostrzec. Zacząłem bawić się nożem, a Kragar nagle się uśmiechnął.

— Powiedzieć ci coś zabawnego? — spytał.

— Co? Pewnie, nie ma to jak dobry dowcip, zwłaszcza teraz.

— Biedny Mellar.

— Też coś! — prychnąłem. — Na żale ci się zebrało? Może byś tak nas pożałował, co? On to wszystko zaczął, a my przez to dostaniemy w dupę, aż będzie furczało.

— Dostaniemy, ale nie o to mi chodzi. Ten biedny kretynek tak sobie ślicznie wszystko obmyślił. Trzysta lat z hakiem planował, przygotowywał się i w końcu ukradł to złoto. A i tak pójdzie do piachu. Zamiast pożyć i nacieszyć się dziewięcioma milionami, zginie bez możliwości ożywienia i jeszcze przy okazji poważnie zaszkodzi dwóm domom.

— Z tego ostatniego powodu na pewno nie będzie rozpaczał. . . — zacząłem i urwałem gwałtownie.

Kragar nazwał go „biednym kretynek”, a przecież obaj wiedzieliśmy, że kim jak kim, ale głupcem Mellar na pewno nie jest. Nielogiczne było, że ktoś taki

spędził setki lat i wydał tysiące imperiali, przygotowując skok, i nie wziął pod uwagę czegoś tak oczywistego, że Dom Jherega podejmie wszelkie możliwe kroki, by go zabić, nawet posuwając się do wszczęcia wojny, bo było to lepsze, niż pozwolić mu ujść bezkarnie. Takie postępowanie sugerowałoby idiotę albo szaleńca, a w żaden sposób nie mogłem go uznać ani za jednego, ani za drugiego. Albo znał wyjście z tej sytuacji, o którym nie miałem pojęcia, albo. . .

Klik. . . klik. . . klik. . . kawałki układanki kolejno wpadały na miejsce, nie próbując już ożywać. Klik. . . klik. . . Jest! Wyraz twarzy Mellara. . . zachowanie jego obstawy. . . wywalczenie sobie przynależności do Domu Dzura. . . wszystko zaczynało pasować. A ja zacząłem innymi oczyma patrzeć na Mellara.

Plan był wspaniały i genialny!

Co bynajmniej nie oznaczało, że mi się podoba.

— Co jest, Vlad?

„Co jest, szefie?”

Potrząsnąłem głową. I zapomniałem o nożu, którym się bawiłem, tak dalece, że go nie złapałem. Trafił w mój but i tylko ślepy traf spowodował, że rękojeścią, nie czubkiem. Podejrzewam, że nawet gdyby wbił mi się w stopę, i tak bym tego nie zauważył. Plan Mellara był tak doskonały, że w pierwszym momencie aż żał było interweniować. Najlepsze zaś było to, że przez cały ten czas Mellar nie popełnił żadnego błędu! Niewiarygodne! Zaczynało brakować mi przymiotników.

— Vlad, do cholery! Gadaj, co się dzieje! — zdenerwował się Kragar.

— Powinieneś wiedzieć.

— Co?!

— Sam mi to powiedziałeś, wczoraj. . . a może przedwczoraj. . . i to parę razy. To dopiero dwa dni? . . . Szlag, czuję się, jakby to były lata. . .

— Zaraz się poczujesz pobity, jeśli mi nie powiesz, o co chodzi!

— Sam powiedziałeś, jak to musi być parszywie, kiedy jest się mieszańcem, i co taki ktoś musi czuć i uważać.

— I co z tego?

— Ano to, że my cały czas myśleliśmy o nim i traktowaliśmy go jak Jherega.

— No bo jest Jheregiem.

— Genetycznie nie jest.

— A co ma do tego genetyka? — Kragar nie mógł wyjść ze zdziwienia.

— Wszystko. Powiniennem był się domyślić, gdy Alera powiedziała mi, jak to jest wywodzić się z pewnego domu. Nie rozumiesz? . . . Nie, nie zrozumiesz, bo nie jesteś Jheregiem z natury, a my mamy inne podejście do tych spraw. Tym niemniej to prawda. Dragaerianin nie może psychicznie wyrzec się domu, z którego pochodzi. Weźmy na przykład ciebie: by uratować mi życie, musiałeś zlekceważyć moje polecenie. Jhereg tak by nie postąpił, Jhereg złamałby rozkaz szefa tylko w jednym przypadku: gdyby chciał go zabić. Za to Smok zrobiłby to, gdyby doszedł do wniosku, że jest to jedyny sposób realizacji zamysłów dowódcy.

W związku z tym postąpiłby tak i zaryzykował sąd wojenny za niewykonanie rozkazu. To, że ostatnim razem uratowałeś mi życie, wynikało z faktu, że należysz do Smoków, o których masz zresztą niezbyt dobrą opinię. Dla każdego przedstawiciela twojej rasy to, z którego domu się wywodzi, przesądza wszystko. To, w jaki sposób żyje, jakie ma cele, umiejętności, pragnienia, słabości... wszystko. Nic nie ma na niego większego wpływu i chodzi o dom, w którym się urodził, a nie ten, w którym go wychowano. Z ludźmi jest na odwrót i powinienem sobie z tego zdać sprawę! Wszystko na to wskazywało!

— Vlad, bo ci naprawdę przykleję! Mów, chłopie, z sensem! — jęknął Kragar.

— Pomyśl przez chwilę. To nie tylko Jhereg, on ma także bohaterskie skłonności Dzura i żądzę krwi Smoka.

— No to co?

— No to właśnie to, że powinieneś wrócić do archiwum poszukać informacji o jego ojcu, o którym było tam dziwnie mało, prawda?... Siedź, powiem ci, co znajdziesz. Jego ojciec był zabójcą i krótko przed Bezkrólewem zabił innego Jherega zabójcę. Chronionego przez lorda z Domu Smoka, konkretnie przez lorda Adrona. Mellar nie planował ukraść złota i przeżyć. On zaplanował sobie, jak zginąć. Planował to przez ponad trzysta lat, mając świadomość, że prawie na pewno zostanie zabity bronią Morgantich. I zostanie zabity, a wówczas cała historia tego, jak wszedł do Domu Dzura, wyjdzie na jaw i ich ośmieszy. W tym samym czasie dwa inne domy, których nienawidzi najbardziej: Dom Smoka i Dom Jherega, wezmą się za łby i być może zniszczą się nawzajem. Jego jedynym motywem jest zemsta, Kragar! Zemsta za śmierć ojca i za upokorzenia, których doznał jako mieszaniec. Zemsta przeprowadzona z odwagą Dzura, zaciekleścią Smoka i sprytem Jherega. O to w tym wszystkim chodzi.

Kragar przyglądał mi się okrągłymi jak spodki oczyma, nie mogąc wykrztusić słowa. Widać było, jak dokonuje tego samego rozumowania co ja i dochodzi do dokładnie tych samych wniosków.

— O cholera! — jęknął z podziwem.

Pokiwałem głową, całkowicie zgadzając się z jego wnioskiem.

Rozdział piętnasty

*„Wpatrując się w paszczę smoka,
każdy błyskawicznie uczy się mądrości”*

Sala bankietowa Czarnego Zamku wyglądała tak samo jak ostatnim razem. Kilka innych twarzy, kilka tych samych twarzy, większość beztwarzowych twarzy. Na chwilę zatrzymałem się w drzwiach, nim wszedłem. Chciałem zebrać myśli i dać żołądkowi czas na ostateczny powrót na swoje miejsce, zanim zacznę poważne zajęcia.

„I kto by pomyślał, że ten ciągły bajzel podoba się Morrolanowi.”

„Znasz gusty Smoków, Loiośh.”

Kragar potrzebował godziny, by zweryfikować domysły dotyczące ojca Mellara. Okazało się, że miałem rację — to jego działanie spowodowało drugą wojnę Domu Jherega z Domem Smoka, o której zresztą Kragar też wcześniej nie słyszał. Informacje jej dotyczące w archiwach Lyornów były rozsiane, ale jednoznaczne. Wojna miała miejsce, a jej przebieg był w ogólnych zarysach zgodny z tym, co mi powiedziano.

Wszystko doskonale pasowało. A ja nie byłem ani o krok bliżej znalezienia rozwiązania niż wczoraj. I to właśnie było najbardziej irytujące. Poza satysfakcją z rozwiązania zagadki te informacje powinny spowodować przełom. A tymczasem wiedziałem, co się nie ma prawa udać, skoro Mellarowi nie zależy na przeżyciu, ale nie miałem żadnego pomysłu, jak go załatwić. Wychodziło na to, że im więcej się dowiaduję, tym bardziej utrudnia to moją sytuację, zamiast ją ułatwiać. Może powinienem zorganizować coś, żeby część zapomnieć. . .

Pozostawała jeszcze jedna zagadka — niezbyt wielka i niezbyt trudna do rozwiązania, ale byłem ciekaw, po co Mellar ściągnął ochroniarzy, skoro nie po to, by uratowali mu życie. Teraz nie mogłem już sobie pozwolić na przeoczenie niczego, choćby wydawało się to, błahym szczegółem. Właśnie dlatego wróciłem na salę balową — żeby się przyjrzeć i sprawdzić, czy mogę się czegoś dowiedzieć, domyśleć lub choćby coś wyeliminować.

Przemieszczałem się wśród tłumu gości, wymieniając uśmiechy, uprzejmości i powitania, cały czas z kielichem w dłoni, lecz pijąc niewiele. Po kwadransie

zauważyłem Mellara. Przywołałem z pamięci dwie twarze umieszczone tam przez Loiosha i parę stóp od niego dostrzegłem obu ochroniarzy.

Podszedłem do nich na bezpieczny dystans i przyjrzałem się uważnie. Obaj umieli walczyć — mieli specyficzną postawę i ruchy doświadczonych szermierzy pewnych swych sił i umiejętności. Obaj byli wysocy i masywni. I umieli przepartywać tłum, nie dając tego po sobie poznać. I marnowali się tu, jako że byłem już pewien, że nie mieli zamiaru powstrzymać zabójcy. A więc byli tu z innego powodu, ciekawe jakiego. . .

Słumiałem chęć załatwienia obu tu i teraz — nie miałbym z tym kłopotów, ale bez sensu byłoby to zrobić, dopóki nie znałem prawdziwego powodu ich obecności. Obaj mieli długie, ciężkie rapiery i pasujące do nich sztylety, ale u żadnego nie zauważyłem ukrytej broni. Ciekawe. . .

Po pięciu minutach obserwacji doszedłem do wniosku, że gapieniem się nie zwiększę swego stanu wiedzy, toteż zacząłem się ostrożnie wycofywać. Prawie dotarłem do drzwi, gdy usłyszałem ostrzeżenie Loiosha:

„Masz jednego za plecami, szefie!”

Odwróciłem się spokojnie. Jeden z nich rzeczywiście się zbliżał, więc poczekałem na niego. Stał gdzieś stopę przede mną, czyli w zasięgu zastraszenia, jak to nazwałem. Mnie jest dość trudno zastraszyć, ale miał prawo o tym nie wiedzieć. Zresztą nie tracił czasu ani na uprzejmości, ani na wstępy, tylko od razu przeszedł do rzeczy:

— Pierwsze i ostatnie ostrzeżenie, wąsaty. Nie próbuj!

— To razem dwa — poinformowałem go niewinnie. — A czego?

Obelgę zignorowałem, tym bardziej że często słyszałem ją, gdy jeszcze nie miałem wąsów — elfy z zazdrości nazywały tak wszystkich ludzi, chcąc im ubliżyć. Zdążyłem się przyzwyczaić i uodpornić.

— Czegokolwiek — warknął.

Przez parę sekund mierzył mnie jeszcze wzrokiem, nim odwrócił się i odszedł.

Niech to szlag! Właśnie się okazało, że Mellar mnie rozszyfrował. Nie chciał mnie tak naprawdę powstrzymać, ale założył, że nie wiem, o co mu naprawdę chodzi. Punkt dla mnie. Skoro wzbudziłem jego podejrzania — a swoją drogą ciekawe czym, przyglądałem się obstawie, nie jemu — to on nie mógł nie zareagować, bo wypadłby z roli. Punkt dla niego.

Szkoda, że wiedział — nie zmieniałoby to niczego, gdybym chciał go ukatrupić na miejscu, ale poważnie ograniczało możliwości wykręcenia mu numeru, który skłoniłby go do opuszczenia zamku. Teraz mogło poskutkować tylko coś naprawdę dobrego. A ja nie miałem cienia pomysłu, nawet prymitywnego. Zaczynałem czuć się zdesperowany. . .

Słumiałem to uczucie, wyszedłem na korytarz i nawiązałem kontakt telepatyczny z Alierą. Może razem z Sethrą coś wymyśliły? A jeśli nawet nie, uważałem, że powinienem poinformować je, o co tu naprawdę chodzi.

„Słucham cię, Vlad?”

„Mogę wpaść z wizytą? Mam pewne informacje, których chyba nie będziesz chciała wysłuchać.”

„Nie mogę się doczekać. Jestem u siebie.”

Doszedłem do schodów, gdy spotkałem Morrolana. Skinął na mnie, więc ruszyłem za nim do biblioteki i usiadłem, gdy zamknął drzwi. Miałem dziwne wrażenie, że jaśnie pan wezwał pokojowego, by go zrużać za niewłaściwie wyszorowany nocnik. I jakoś nie pasowała mi rola jaśnie pana. . .

— Vlad, może zechciałbyś mnie oświecić, co tu się właściwie dzieje?

— Co?

— Coś się szykuje, tylko nie mam pojęcia co. Czuję to. Przygotowujesz się, żeby załatwić Mellara, tak?

I to by było tyle, jeśli chodzi o zachowanie tajemnicy.

Morrolan tymczasem zaczął wyliczać na palcach:

— Alier jest na mnie wściekła, ma dość tego wszystkiego i nie wie, co zrobić. Ty do wczoraj zachowywałeś się tak samo. Dziś, z tego co wiem, węszyłeś, jeśli można to tak ująć, wokół Mellara. Właśnie widziałem się z Alierą — jest radosna jak rzadko kiedy. Ciebie spotkałem przy schodach, więc sądzę, że szedłeś się z nią zobaczyć. Nagle wyglądasz tak, jakbyś dokładnie wiedział, co chcesz zrobić. Więc pytam: będziesz uprzejmy powiedzieć mi, co planujecie?

Pomilczałem chwilę, po czym powiedziałem, starannie dobierając słowa:

— Jeśli dziś się inaczej zachowuję, to dlatego, że rozwiązałem zagadkę, nie problem. Wiem, co wymyślił Mellar, ale nadal nie wiem, jak go załatwić. Mogę ci powiedzieć natomiast, że nie mam zamiaru zrobić niczego, co naraziłoby cię, twoje słowo lub twój dom. Sądzę, że dałem to wyraźnie do zrozumienia wczoraj, ale dziś mówię wyraźnie. Czy to wystarczy?

„Dalej, szefie! Wygarnij mu!”

„Zamknij się, Loioh!”

Morrolan przyglądał mi się z takim natężeniem, jakby chciał mi czytać w myślach. Tego jednak nie zdołałby zrobić nawet Daymar, tak bym o tym nie wiedział. Poza tym sądzę, że Morrolan jednak za bardzo mnie szanował, by próbować bez pozwolenia. A co się tyczy przenikliwości wzroku, to sporo mu brakowało do lordów z Domu Sokoła.

Kiwnął głową.

— Dobrze więc — zdecydował. — Nie będziemy więcej wracali do tego tematu.

— Prawdę mówiąc, nie wiem, co wprawiło Alierę w tak doskonały humor. Jak się domyśliłeś, szedłem do niej, ale jak na razie niczego nie zaplanowaliśmy. Mam nadzieję, że sama też niczego nie zaplanowała i nie próbuje realizować.

— Nie byłbym tego taki pewien. I nie podoba mi się to.

Wzruszyłem ramionami.

— Skoro poruszyliśmy już tę kwestię. Sprawdziłeś tych ochroniarzy? — spytałem.

— Tak. A o co chodzi?

— To magowie?

— Owszem. Obaj. Całkiem kompetentni — odparł po chwili.

Dobre nowiny wręcz sypały się dziś drzwiami i oknami, żeby je...

— Pięknie! — mruknąłem. — Czy jeszcze czegoś byś może pragnął?

— Nie... tak. Byłbym wdzięczny, gdybyś miał oko na Alierę.

— Mam ją szpiegować?!

— Nie! Chodzi mi o to, że gdyby próbowała zrobić coś, czego raczej nie powinna... myślę, że rozumiesz, co mam na myśli... to spróbuj z nią to przedyskutować, zgoda?

Skinąłem głową, a ostatni fragment układanki znalazł się na swoim miejscu. Mellar bał się tylko jednego i dlatego wynajął magów-ochroniarzy. Nie mógł zostać zabity przez kogoś nie należącego do Domu Jherega, bo wówczas cały plan wzięłby w łeb. Nie przez kogoś takiego jak uzbrojona w Pathfindera Alierę.

To, ma się rozumieć, także nie przybliżyło mnie ani trochę do znalezienia sposobu załatwienia tej sprawy. Pożegnałem Morrolana i udałem się do apartamentu Aliery. Dziwne, ale przez całą drogę czułem na sobie jego wzrok...

* * *

— Co cię zatrzymało? — powitała mnie Alierę.

— Morrolan miał ochotę na pogawędkę.

Alierę faktycznie była w dobrym humorze — oczy jej błyszczały, gdy siedziała wygodnie na łożu, głaskając od niechcienia kota. Nie zostali sobie przedstawieni z Loiošem, toteż przyglądali się sobie niezycliwie.

— Rozumiem... a o czym?

— Jest przekonany, że coś wymyśliłaś. Ja zresztą też tak sędzę. Powiesz mi co?

Uniosła brwi i uśmiechnęła się.

— Może... Ale ty pierwszy.

Kot przewrócił się na plecy, domagając się zainteresowania swoim brzuchem. Nastroszył nieco przy okazji białe futro, odmawiając Loioshowi prawa do istnienia. Alierę podrapała go po brzuchu.

„Szefie?”

„Tak, Loioš?”

„To niesmaczne, że niektórzy tak ulegają zachciankom głupich zwierzków, no nie?”

Nie dałem się sprowokować.

— Zacznę od tego, że nasz ostatni pomysł nie zadziała — oznajmiłem.

— Dlaczego?

Nie wydawała się tym specjalnie zaniepokojona. I to zaczęło mnie niepokoić.

— Z wielu powodów, ale najważniejszy jest taki, że Mellar nie zamierza opuścić zamku żywy. . . — po czym wyjaśniłem jej plan Mellara.

Zaskakujące, ale jej pierwsza reakcja była identyczna jak moja — podziw. Dopiero potem jej oczy stopniowo zaczęły przybierać metalicznie szary kolor.

— Nie pozwolę na to, Vlad — oznajmiła spokojnie. — Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?

Może nie zdawałem sobie w pełni, ale obawiałem się podobnej reakcji.

— A co zamierzasz zrobić? — spytałem cicho.

Nie odpowiedziała, ale jej dłoń spoczęła na rękojeści Pathfindera.

Dołożyłem starań, by mówić opanowanym, przyjaznym tonem:

— Jeśli to zrobisz, zmusisz Morrolana, by cię zabił.

— I co z tego? — spytała. — To niczego nie zmienia.

— A dlaczego nie poszukać lepszego sposobu?

— Jak na przykład?

— Nie wiem, do ciężkiej cholery! — moje opanowanie prysnęło. — Myślisz, że nad czym wysilam umysł przez ostatnie dwa dni?! Jeśli jakoś doprowadzimy do tego, by stąd wyszedł, możemy go wyśledzić i zabić, gdziekolwiek by się znalazł! Gdybym tylko miał więcej czasu!

— A ile masz?

To było dobre pytanie. Przy ogromnym szczęściu ze trzy dni, nim plotka zmieni się w informację nie do podważenia. A na to, że zdążę, nie mogłem liczyć. Co gorsza, Demon też nie. Nie miałem pojęcia, jaki będzie jego następny ruch ani jaką będę miał szansę, by mu pokrzyżować plany. Zdrowy rozsądek podsuwał na to ostatnie pytanie odpowiedź, która zdecydowanie mi się nie podobała.

— Dziś i jutro — odparłem.

— A co się stanie potem?

— Otworzy się Brama Śmierci. Szeroko. Już nic nie będę w stanie zrobić, bo po paru dniach ktoś znajdzie moje czterodniowe zwłoki, więc nie będę miał okazji obejrzeć uczciwej wojny Domu Jherega z Domem Smoka. Ty będziesz miała taką okazję. Szczęściara.

Uśmiechnęła się paskudnie i rozmarzyła:

— Może mi się nawet spodobać. . .

— Może, ale wątpię — sprowadziłem ją na ziemię.

— Fakt, Dom Smoka na pewno dobrze na tym nie wyjdzie.

Przyznałem jej rację.

— Z drugiej strony, jeśli go zabije, nie będzie problemu, bo nie będzie wojny. Ucierpi Dom Dzura, ale kogo to obchodzi? No dobra, można spróbować wymyślić jakiś sposób przechwycenia tej informacji, nim staną się pośmiewiskiem dla całego Imperium.

— To akurat nie jest problemem — poinformowałam ją poirytowany. — Problemem jest to, że albo skończysz jako trup, albo będziesz zmuszona zabić Morrolana. Żadne rozwiązanie nie wydaje mi się dobre.

— Nie mam najmniejszego zamiaru zabijać swego kuzyna — zapewniła.

— Doskonale. Więc zostawisz go żywego, tylko z martwą reputacją.

Wzruszyła ramionami.

— Nie żeby mnie nie interesował honor Morrolana — poinformowała mnie. — Tylko bardziej interesują mnie konsekwencje takiego precedensu jak ten dla całego Domu Smoka.

— Jest jeszcze jeden drobiazg.

— Jaki?

— Nie jestem całkiem pewien, czy zdołasz go zabić. Ma dwóch ochroniarzy: dobrych szermierzy i kompetentnych magów, a mówiłem ci, u kogo i ile czasu się uczył. Wywalczył sobie przynależność do Domu Dzura i jest zdecydowany; chce, by to Jhereg go zabił. Biorąc to wszystko pod uwagę, nie jestem taki pewien, czy ci się uda.

Wysłuchała mnie spokojnie, uśmiechnęła się i podsumowała:

— Jakoś dam sobie radę.

Zdecydowałam się zmienić temat. Mogłam spróbować jeszcze tylko jednego i to z dużym prawdopodobieństwem, że zostanę przy okazji zabity. Ponieważ nie miałem na to specjalnej ochoty, spytałem:

— Tak przy okazji, to gdzie jest Sethra?

— Wróciła do Góry Dzura.

— Dlaczego?

Aliera zainteresowała się posadzką, potem kotem, a w końcu powiedziała:

— Przygotowuje się.

— Do czego?

— Do wojny.

Pięknie! Cholera, wręcz cudownie!

— Myśli, że tak się to właśnie skończy?

Aliera przytaknęła i po chwili dodała:

— Nie powiedziałaś jej, co chcę zrobić, więc jej założenie jest jak najbardziej słuszne.

— I chce dopilnować, by Dom Smoka wygrał — dodałem.

— Nie jest naszym zwyczajem walczyć, by przegrać.

Westchnąłem, wiedząc, że nie mam wyjścia. Teraz albo nigdy.

„Szefie, nie chcesz tego zrobić!”

„Masz rację, ale za to mi płacą. A teraz siedź cicho.”

— Ostatnia sprawa — powiedziałem.

Zmrużyła oczy — najwyraźniej coś w moim głosie wzbudziło jej czujność.

— Czyli...?

— Nadal pracuję u Morrolana. Płaci mi, toteż jestem mu winien określoną lojalność. To, co chcesz zrobić, jest całkowicie niezgodne z jego pragnieniami. Nie pozwolę ci na to.

Zanim skończyłem, Pathfinder godził w moje serce.

— Myślisz, że uda ci się mnie powstrzymać? — spytała, przyglądając mi się uważnie.

Przyjrzałem się jej tak samo.

— Prawdopodobnie nie — przyznałem, widząc, że gotowa była zabić mnie od ręki. — Za to Loiosh na pewno zabije twego kota.

Żadnej reakcji — straciła poczucie humoru czy co?

Przyjrzałem się dwóm stopom dzielącym czubek ostrza od mojej piersi... i mojej duszy. Przypomniała mi się podobna sytuacja, w której znaleźliśmy się z Morrolanem. Cóż, należało zdecydować się, czego najlepiej użyć... Zatrute strzałki odpadały: trucizna działała szybko, ale nie aż tak szybko. Chyba żebym trafił w nerw, na co istniała niewielka szansa. Musiałem ją zabić, nic innego nie miało realnych szans powodzenia. Tym razem zresztą byłem w gorszej sytuacji — Morrolan nie wyciągnął wtedy broni.

Spojrzałem jej w oczy — po oczach zawsze najprędzej widać, kiedy ktoś zdecyduje się uderzyć. W prawym rękawie na nadgarstku miałem nóż tak umieszczony, że przy gwałtownym ruchu ręką w dół jego rękojeść wsuwała się w dłoń, a ostrze opuszczało pochwę. Wystarczył krótki wyrzut w górę i nóż trafi w jej szyję. Z tej odległości nie mogłem chybić. Alier zresztą też nie. Najprawdopodobniej zginę pierwszy i to bez możliwości ożywienia, ale postawię na swoim — martwa nikogo nie zabije.

„Szefie, tylko słowo, a wydrapię jej oczy, zanim...”

„Dzięki, Loiosh, ale weź jeszcze na wstrzymanie.”

Wtedy Morrolan się rozmyślił, bo doszedł do wniosku, że zamiast mnie zabić, lepiej będzie mnie zatrudnić, a ja ugryzłem się w język, nim go śmiertelnie obraziłem. Tym razem nie byłem pewien, czy Alier zmieni zdanie. Kiedy się na coś decydowała, dążyła do tego z uporem równym mojemu — w końcu w dziwny sposób, ale nadal byliśmy spokrewnieni.

Cóż, skoro oboje się zdecydowaliśmy, czas było przystąpić do akcji — czekanie nikomu niczego nie dawało, a oboje nas męczyło. Dopiero w tym momencie dotarło do mnie, że od chwili przyjęcia kontraktu cały czas spędziłem na szukaniu sposobu zabicia Mellara albo ryzykowaniu życia, by uniemożliwić innym rozwiązanie tego problemu.

Wyrównałem oddech i sprężyłem się wewnętrznie... no to... zaraz! Stop! W końcu zacząłem myśleć — jak to mówią, lepiej późno niż wcale. Co mi dawało zabicie Aliery albo to, że zginę z jej ręki? Odpowiedź była prosta i oczywista — nic. Gorzej — pozabijamy się nawzajem, ja przy okazji splamię honor Morrolana, mordując jego gościa. Tyle że nie tego co trzeba. Mellar będzie nadal cieszył się dobrym zdrowiem i postawi na swoim. Jedyne, co się zmieni, to to, że Alera będzie martwa. . .

— Czekaj! — oznajmiłem. — Mam!

— Masz... co? — spytała podejrzliwie.

I nie opuściła Pathfindera — za dobrze mnie znała, żeby tak od razu uwierzyć.

— Prawdę mówiąc — powiedziałem już spokojnie — to ty masz.

— A co, jeśli można wiedzieć, mam?

— Wielką Broń.

— W rzeczy samej, mam. Jesteś niezwykle wręcz spostrzegawczy.

— Ta broń jest nierozzerwalnie związana z twoją duszą — dodałem.

Zachowała uprzejme milczenie, czekając na ciąg dalszy i nadal mierząc w moje serce.

Uśmiechnąłem się. I po raz pierwszy od ładnych paru dni było mi naprawdę radośnie.

— Otóż, moja droga Alerio: nie zabijesz Mellara — oznajmiłem wesoło. — To on zabije ciebie!

Rozdział szesnasty

*„Dodanie pojedynczego splotu
może zmienić cały strój”*

Jedna rzecz nie ulegała najmniejszej wątpliwości — za często się teleportowałem w ostatnich dniach. Zmusiłem się do kilkuminutowego odpoczynku na podęście używanym jako platforma teleportacyjna, nim ruszyłem do swojego biura. Przemknąłem obok sekretarza, zanim zdążył się odezwać, i poleciłem:

— Powiedz Kragarowi, żeby do mnie przyszedł. Zaraz.

I zamknąłem za sobą drzwi.

Nim mój żołądek ustatkował się ostatecznie, pogrążony już byłem w intensywnej pracy koncepcyjnej, w wyniku czego cały plan zaczynał nabierać realnych kształtów. Zgranie czasowe stanowiło podstawę, ale to akurat nie było niczym nowym. Musiałem sprawdzić kilka rzeczy, by mieć pewność, że są wykonalne, ale jeśli okazałoby się że nie, co do większości miałem zastępcze pomysły. Jedynym naprawdę poważnym problemem było to, że będę zmuszony polegać na innych znacznie bardziej, niżbym chciał. Cóż, życie jest pełne ryzyka.

Zacząłem opracowywać szczegóły, kiedy spostrzegłem, że Kragar grzecznie siedzi na swoim miejscu i cierpliwie czeka, bym go zauważył. Westchnąłem zrezygnowany, zastanawiając się retorycznie, czy on nigdy nie nauczy się pukać.

— Jakie wieści? — spytałem.

— Plotki nadal krążą, ale jeszcze nie jednoznaczne. Za to pochodzą z kilku źródeł.

— Czyli jest źle...

— Źle. Nie zdołamy długo utrzymać ich na obecnym poziomie: zbyt dużo osób zbyt wiele wie i strzępi języki. Trupy też już przestały pomagać na gadatliwość.

— Trupy?

— Dwie adeptki Lewej Ręki znaleziono dziś rano.

— Aha, jedna to ta, o której rozmawialiśmy. A druga?

— Nie nasza „robota”. Sądzę, że Demon też uciszył największą plotkarę.

— Może... Zginęła od jednego ciosu nożem w serce?

— Tak. — Kragar wyglądał na nieco wstrząśniętego. — Skąd wiesz?
— I miała nałożoną blokadę uniemożliwiającą przywrócenie do życia?
— Miała. Kto to był, Vlad?
— Nie wiem, jak się nazywała. Była, jak powiedziałeś, adeptką Lewej Ręki. Brała udział w zabiciu Morrolana, co on wziął sobie do serca, jeśli można to tak powiedzieć. Nie wiedziałem, jak ją zabił, ale wiem, jak jego załatwili: cios w serce i blokada. Najwidoczniej uznał, że w ten sposób wyrówna rachunki. . . on ma takie poetyckie poczucie sprawiedliwości.

— Rozumiem.
— Jeszcze coś godnego uwagi?
— Tak. Na twoim miejscu nie wychodziłbym dzisiaj.
— Tak? A dlaczego?
— Bo wygląda na to, że Demon przestał cię lubić.
— Wręcz cudownie! — zgrzytnąłem zębami. — Skąd wiesz?
— Mamy kilku przyjaciół w jego organizacji. Słyszeli pogłoski.
— Aha. Wynajął już kogoś?
— Tego nie da się sprawdzić, ale nie byłbym zaskoczony.
— Pięknie, cholera, pięknie! Może go zaproszę na przyjacielski konkurs rzutu nożem do celu i zakończymy sprawę. . .

Kragar tylko prychnął.

— Myślisz, że zrezygnuje, gdy załatwię Mellara? — spytałem.
— Może. Najprawdopodobniej tak, jeśli zdążysz, nim prawda wyjdzie na jaw. A to już niedługo nastąpi, z tego co słyszałem. Członkowie rady zaczynają odczuwać ciężar wydatków i nie zdołają zbyt długo unikać wyjaśnień.

— Nic nie szkodzi, nie będą musieli.

Kragar siadł prosto i spytał z nadzieją:

— Masz coś?

— Ano. Nic, z czego byłbym specjalnie dumny, ale powinno się udać. Przy-
najmniej w części.

— W której części?

— Najtrudniejszej.

— Czyli. . . ?

— Poczekaj moment.

Wstałem, podszedłem do okna i odruchowo spojrzałem w dół na ulicę. A po-
tem otworzyłem okno.

„Loioosh, spróbuj poszukać Daymara, a jak ci się uda, poproś, żeby się tu zja-
wił.”

Loioosh wyjątkowo niczego nie skomentował, tylko poleciał.

— No dobrze, czyli. . . ?

— Rozpuść plotkę, że pilnie muszę zobaczyć się z Kiera. Potem weź ze skarbc-
ca tysiąc sztuk złota i przynieś tutaj.

- Co...?
- Zrób to. Wyjaśnię później, kiedy wszyscy się zjawią.
- Wszyscy? To ilu w sumie?
- Poczekaj, niech policzę... pięciu... nie sześciu.
- Sześciu?! Co to ma być? Aukcja czy imieniny?
- Sio!

Usiadłem wygodnie i zabrałem się do doszlifowania planu. Wszystko zależało od tego, czy Kiera zdoła dokonać zamiany. Jeśli ktoś mógł to zrobić, to tylko ona, ale podejrzewałem, że nawet jej może to sprawić kłopot.

O drugim problemie wolałem nie myśleć.

Nagle wokół zawyło, zadzwoniło i załomotało. Padłem na podłogę, przetoczyłem się i znieruchomiałem z nożem w każdej dłoni. Drzwi otwały się z trzaskiem i do środka wpadł mój sekretarz z rapierem w prawej i sztyletem w lewej ręce. Dałem mu znak, by nie atakował — w centrum pomieszczenia unosił się Daymar, siedząc sobie spokojnie trzy stopy nad podłogą. Sam kazałem zdjąć parę dni temu blokadę teleportacyjną, ale jakoś zapomniałem o alarmach. Cóż, nikt nie jest doskonały.

Z przyjemnością natomiast odnotowałem, że nim Daymar zdążył stanąć na podłodze, w gabinecie znalazło się w sumie czterech moich pracowników — każdy z bronią w garści i gotów do walki.

Wstałem, schowałem noże i wyjaśniłem:

— Panowie, to był fałszywy alarm. Ale wykazaliście doskonały refleks. Dziękuję.

Daymar rozejrzał się z zainteresowaniem, obserwując, jak kolejno wychodzili, obrzucając go średnio przyjaznymi spojrzeniami.

— Uruchomiłem jakieś alarmy? — domyślił się.

— Powiniennem je wyłączyć, skoro cię zaprosiłem. Skleroza. Dzięki za szybkie przybycie.

— Żaden problem. Czego potrzebujesz?

— Pomocy, przyjacielu. Siadaj, jeśli chcesz — zaproponowałem i dałem dobry przykład, zajmując drugi fotel. — Jak dobry jesteś w iluzjach?

Zastanowił się nad odpowiedzią.

— W tworzeniu czy w niszczeniu?

— W tworzeniu. Możesz szybko wykreować dobrą iluzję?

— Rozumiem, że mówiąc „szybko”, masz na myśli to, by nikt nie zauważył etapów pośrednich, tak?

— Tak. I byłoby niewiele czasu na rozgrzewkę. Dałbyś radę?

— A czy Kiera dałaby radę okraść pijaka?

— Zabawne, że to ci przyszło na myśl, bo też powinna się tu zjawić. I to wkrótce, jeśli będę miał szczęście.

— Doprawdy? W takim razie zapowiada się interesująco! O co chodzi, jeśli nie masz naturalnie nic przeciwko temu, że pytam?

— Nie mam, ale nie chcę się powtarzać. Wyjaśnię, gdy wszyscy się zbiorą.

— Dobra, nie spieszy mi się. Pozwolisz, że sobie pomedytuję.

Co miałem robić? Pozwoliłem.

Daymar siadł w kucki w powietrzu, zamknął oczy i znieruchomiał. Czyli medytował.

Loiosh zapukał w szybę, więc otworzyłem okno. Wleciał, usiadł mi na prawym ramieniu i syknął zdziwiony, widząc nieruchomego Daymara.

Poszukałem telepatycznie Cawti, znalazłem ją i zaproponowałem:

„Mogłabyś się zjawić w moim biurze, kochanie?”

„Naturalnie. Czyżbyś miał dla mnie „robotę?”

„Nie. Ale mam coś atrakcyjnego.”

„Wymyśliłeś.”

„Aha.”

„Co...? Nie. Poczekaj. Zaraz będę.”

Powtórzyłem cały proces z Alierą, która zgodziła się teleportować. Tym razem zdążyłem wyłączyć alarmy, nim się pojawiła.

— A więc to jest twoje biuro — rozejrzała się z zainteresowaniem. — Wygląda na funkcjonalne.

— Stokrotne dzięki. Ciasne, ale pasuje do mojego skromnego stylu życia.

— Aha.

Dopiero w tym momencie zauważyła Daymara lewitującego sobie trzy czy cztery stopy nad podłogą i wzniosła oczy ku niebu. Zadziwiająco, że Cawti zareagowała dokładnie tak samo, kiedy ostatni raz zobaczyła go w tej pozycji. Daymar otworzył oczy i stanął.

— Witaj, Aliero — powiedział spokojnie.

— Witaj, Daymar. Zapuściłeś ostatnio sondę jakiejś teckli?

— Nie — przyznał z kamienną twarzą. — A znalazłaś jakąś, którą chciałabyś, abym sprawdził?

— Nie, ale zapytaj mnie w następnym Cyklu.

— Na pewno.

I nie ulegało wątpliwości, że to zrobi, jeśli oboje będą jeszcze żyli.

Cawti zjawiła się w tym właśnie momencie, dzięki czemu przestali sobie dogryzać. Powitały się z Alierą nader ciepło i zaszyły w kącie, by poplotkować. W ciągu ostatnich miesięcy zaprzyjaźniły się dzięki wspólnej sympatii do lady Norathar — najpierw Smoka, potem Jherega, a teraz znów Smoka — która była partnerką Cawti. Alierą doprowadziła do przywrócenia jej należnego tytułu i majątku w Domu Smoka. Ja po trosze też, ale to już inna historia.

Norathar zresztą w pewien sposób również została w to wplątana — para jej dobrych przyjaciół będzie próbowała zabić się wzajemnie... dlatego postanowi-

łem jej o niczym nie informować. I przestałem o tym myśleć. Byliśmy tu między innymi po to, by nie musiała decydować, po stronie którego z domów tak naprawdę chciałyby się opowiedzieć.

Chwilę później weszła Kiera, a w ślad za nią Kragar. Wręczył mi sporą sakiewkę, którą natychmiast przekazałem Kierze.

— Znów masz dla mnie zajęcie, Vlad? Powinam cię jednak nauczyć fachu. Zaoszczędziłbyś sporo czasu i pieniędzy.

— Kiera, w życiu się nie nauczę połowy tego, co ty zapomniałaś. Poza tym doba byłaby dla mnie za krótka, a co ważniejsze, mój dziadek nie pochwała złodziejstwa. Chcesz mi i tym razem pomóc? Zaręczam, że w słusznej sprawie.

Zważyła w dłoni sakiewkę i gotów jestem się założyć, że zorientowała się, jaką kwotę zawiera.

— W słusznej? — spytała ironicznie. — Co mi tam, i tak bym ci pomogła.

Uśmiechnęła się już bez złośliwości i rozejrzała po obecnych.

— A tak — przypomniałem sobie o obowiązkach gospodarza. — Kiero, to Alier a'Kieron. . .

— Znamy się — przerwała mi Alier a.

Uśmiechnęły się do siebie i z zaskoczeniem stwierdziłem, że szczerze. Przez moment obawiałem się, że Kiera ukradła kiedyś coś należącego do Aliery, a tymczasem — proszę bardzo, przyjaźń rozkwita w najdziwniejszych okolicznościach.

— W takim razie, skoro wszyscy się znają, przejdźmy do rzeczy — zaproponowałem. — Bo wszyscy się znają, prawda?

Nie rozległ się żaden sprzeciw.

— Doskonale. Proszę zatem usiąść, gdzie kto chce.

Kragar bez uzgodnienia ze mną upchnął jakoś w biurze sześć krzeseł, dobre wino i odpowiednią liczbę naczyń. Napełnił je i porozdawał, nim sam usiadł. Jedynie Daymar zignorował krzesło, wybierając lewitację. Pozostali usiedli, Loiośh swoim starym zwyczajem na moim prawym ramieniu.

Zacząłem czuć się z lekka zdenerwowany — zebrałem tu naprawdę niecodzienne towarzystwo. Najlepszą złodziejkę w mieście, lorda z Domu Sokoła, szlachetnie urodzoną mogącą wywieść swą linię wprost od Kierona Zdobywcy, byłego Smoka wyrzuconego nie wiadomo za co z Domu Smoka i parę renomowanych zabójców. A wszyscy zjawili się, bo ja ich o to prosiłem. Zupełnie jakbym był kimś ważnym albo co. . .

Dostrzegłem wbity w siebie wzrok Aliery. Było w nim zaufanie i spokój. Caw-ti także cierpliwie czekała, bym przedstawił wyjście z całego tego bagna. . . Oto kim byłem: bratem jednej, mężem drugiej, przyjacielem trzeciej. . . i jedynym, który być może wiedział, jak uniknąć niepotrzebnej wojny.

Odchrząknąłem, przeplukałem gardło i uporządkowałem myśli.

— Przyjaciele — zacząłem — chciałbym wam podziękować, że zjawiliście się tu i zgodziliście pomóc mi w tej sprawie. Leży to naturalnie w interesie czę-

ści z was, ale nie wszystkich to dotyczy. Jestem zaszczycony, że mi zaufaliście. Wszystkich zaś, zwłaszcza tych, którzy nie mają w tej sprawie niczego do zyskania, zapewniam, że jestem wdzięczny i nie zapomnę.

„Szefie, do rzeczy!”

„Cicho, Loiosh!”

— Jeśli chodzi o sam problem, to wiecie w ogólnych zarysach, o co chodzi. W skrócie rzecz ujmując, lord Mellar z Domu Jherega przebywa w Czarnym Zamku pod ochroną lorda Morrolana z Domu Smoka. Nie później niż jutro musi on zostać zabity poza terenem zamku albo spowoduje rozpoczęcie serii wydarzeń nader niefortunnych dla części z nas.

Aliera prychnęła, słysząc ten eufemizm.

Kiera zachichotała.

— Najważniejsze, o czym musimy pamiętać, to granica czasowa — podjąłem. — Ze względów, których wolałbym dokładniej nie omawiać, mamy do dyspozycji tylko dziś i jutro. Dziś byłoby lepiej, ale obawiam się, że będzie to niewykonalne, bo po prostu nie zdążymy. Trzeba dograć szczegóły, poćwiczyć... Druga nader istotna sprawa jest taka, by w żaden sposób nie skompromitować Morrolana jako gospodarza. Dlatego nie możemy zmusić Mellara do opuszczenia zamku ani groźbą, ani magiczną sugestią czy czymś podobnym. I naturalnie nie mogę go zabić na terenie Czarnego Zamku. Wydaje mi się, że znalazłem sposób. Pozwólcie, że zademonstruję wam to, co najistotniejsze, zanim zacznę opisywać szczegóły. Kragar, wstań na moment, proszę.

Wstał. Obszedłem biurko i dobyte rapier. Uniósł pytająco brwi, ale nie odezwał się.

— Załóżmy, że masz ukrytą w ubraniu i na sobie różną broń w poręcznych miejscach.

Uśmiechnął się i trudno mu się było dziwić. Nie był aż takim chodzącym arsenałem jak ja, ale nie tak znowu wiele mu do tego brakowało.

— Wyciągnij rapier — poleciłem — i stań w pozycji do walki.

Zrobił to, ustawiając się frontem do mnie i trzymając broń tak, że czubek ostrza znalazł się przed moimi oczami. Jego rapier był dłuższy i cięższy od mego, a w tej chwili tworzył prostą linię łączącą jego oczy i moje. Lekko zgięty łokieć, dłoń palcami do dołu — była w tym pewna elegancja, choć ludzka pozycja wyjściowa *en garde* wydaje się znacznie wdzięczniejsza i bardziej elegancka. Przez moment staliśmy tak bez ruchu, po czym zaatakowałem, udając klasyczne dragaeriańskie cięcie w głowę tuż pod jego klingą. Sparował w najoczywistszy sposób, opuszczając łokieć, by trzymać rapier ostrzem w górę, jak się należy. W ten sposób przygotował się do cięcia mnie w głowę, ale zanim zdążył to zrobić, natarłem, prześlizgując się pod ostrzem jego rapiera...

I coś dotknęło lekko mego brzucha. Spojrzałem w dół i dostrzegłem tam wyprostowaną lewą dłoń Kragara, tak jak się zresztą spodziewałem. Gdyby była to

rzeczywista walka, trzymałby w niej sztylet. Gdybyśmy byli sami, też dzierżyłby sztylet, tyle że by mnie nie dźgnął. Przy tylu świadkach nie chciał jednak pokazywać, gdzie ma ukrytą broń. Wyprostowałem się, zasalutowałem mu rapierem i wsunąłem go do pochwy.

— Skąd wyjąłbyś sztylet? — spytałem.

— Z pochwy na lewym przedramieniu — odpowiedział natychmiast.

— A gdybyś go musiał wyjąć skądinąd w takiej sytuacji, to skąd?

Zastanowił się, nim odpowiedział.

— Zakładałem, że na przedramieniu mam sprężynową pochwę przeznaczoną do użycia lewą ręką. Jeśli miałbym normalną, z której trzeba wyjąć sztylet, musiałbym to zrobić prawą, czyli nie mógłbym w pojedynku z niej skorzystać. Ponieważ sprężynowe noże nosi niewielu, sądzę, że najprawdopodobniejsza byłaby zwykła pochwa przy pasie z prawej strony. W ten sposób mógłbym atakować tym samym ruchem, którym bym go wyjął. Prawe przedramię odpada, bo wyjmując sztylet, przeszkadzałbym sobie w parowaniu twego ewentualnego ciosu. Lewe udo też nie jest dobre, bo musiałbym za bardzo opuścić rękę, na co zwróciłbyś uwagę. O innych miejscach nie warto wspominać.

— Zgadza się — przytaknąłem. — Cawti, zgadzasz się z nim czy chciałabyś coś dodać?

— Nie, nie mam nic do dodania — powiedziała po chwili namysłu. — I zgadzam się z Kragarem: sztylet wyjąłabym z któregoś z tych dwóch miejsc.

— Doskonale. Kragar, postaraj się o dwa sztylety Morgantich — poleciłem.

Przez moment spoglądał na mnie zaskoczony, nim kiwnął potakująco głową.

— Jak silne?

— Na tyle, by każdy wiedział, z czym ma do czynienia, gdy je złapie za rękojeść, ale nie tak, by ujawniały się, będąc w pochwach — zdecydowałem.

— Z tym nie będzie problemów. Co do wymiarów, to zgaduję, że jeden ma pasować do naramiennej pochwy, drugi do zwykłej przy pasie?

— Doskonale zgadujesz. Czekać, niech no sobie przypomnę. . .

Mellarowi przyglądałem się na tyle uważnie, że mogłem przywołać z pamięci jego obraz. Co prawda sprawdzałem wówczas, gdzie i jaką broń ma, a nie jakiej jest ona wielkości, ale to nieduża różnica. Kiedy się odwrócił, dostrzegłem rękojeść sztyletu przy pasie, wyglądał na standardową robotę. . . a tamto wybrzuszenie też musiało kryć sztylet. . . zaraz, jaką ono miało długość. . .

— Sztylet przy pasie: długość czternaście cali, z czego ostrze to połowa, i szerokość pół cala — oznajmiłem. — Sztylet na przedramieniu: długość sześć cali, ostrze i szerokość przy jelicu około jednej trzeciej cala. Będą problemy?

Pytanie sprowokowała mina Kragara.

— Nie wiem, Vlad. Powinienem zdobyć tę broń, ale nie mam pewności. Pogadam z dostawcą, ale te wymiary mnie martwią. . .

— Wiem, ale nic na to nie poradzę. I tym razem sztylety nie muszą być czyste. Nikogo nie będzie obchodziło, kto go zabił, tylko to, że nareszcie ktoś to zrobił.

— To mi ułatwi sprawę.

— Cieszę się — stwierdziłem i zwróciłem się do Kiera: — Czy będziesz w stanie pozbawić Mellara tych dwóch sztyletów tak, by tego nie zauważył ani on, ani jego obstawa?

Tylko się uśmiechnęła.

— A zdołasz je zwrócić tak, by tego nie zauważyli?

— Jak to zwrócić... aha, zamienić na dostarczone przez ciebie. Tak?

Przytaknąłem i dodałem:

— Pamiętaj, że to broń Morgantich.

Machnęła lekceważąco dłonią.

— To akurat jest bez znaczenia, jeśli będę w stanie to zrobić... — umilkła, jej oczy stały się puste, za to dłonie drgnęły kilkakrotnie: właśnie obliczała, ile i jakich ruchów będzie musiała wykonać. — Z tym przy pasie nie będzie żadnych problemów... ten drugi... słuchaj, on ma sprężynową pochwę czy normalną?

Skupiłem się ponownie, ale wybrzuszenie było na tyle małe, że nie potrafiłem tego określić.

— Nie wiem — przyznałem. — Na pewno na przedramieniu od wewnętrznej strony, ale jaki typ pochwy, nie mogę określić. Natomiast coś mi właśnie zaświtało: skoro to normalna pochwa, musiałby użyć prawej ręki, a w niej będzie miał rapier, więc nie zdoła go wyjąć. Możemy założyć, że...

— Vlad, on został wyuczony przez mistrza — odezwał się nagle Kragar. — A sztylet tak umieszczony nada się do walki wręcz, tylko jeśli jest w sprężynowej kaburze i sam wskakuje w dłoń przy odpowiednim ruchu. On jest przede wszystkim szermierzem, dopiero potem zabójcą.

Zgodziłem się z jego rozumowaniem.

— Masz taką pochwę, Vlad? — spytała Kiera.

Zrobiło mi się lekko nieswojo, ale zdawałem sobie sprawę, dlaczego o to pyta. Kiwnąłem głową potakująco.

— Sprężynową czy zwykłą?

— Zwykłą.

Wstała.

— Ze zwykłej łatwiej zająć, ale szansę się wyrównują, bo jesteś uprzedzony. Zobaczmy, co da się zrobić...

Przeszła przed Cawti i Kragarem i stanęła przed moim biurkiem, po czym odstawiła kielich w pobliże mojego. Trzymałem go luźno, a mankiet miałem otwarty, co powinno jej ułatwić zadanie.

Patrzyłem cały czas na nasze ręce i z tego, co widziałem, jej dłoń ani na moment nie znalazła się bliżej mojej niż na jakieś trzy cale.

Kiera wróciła na krzesło i usiadła.

— I co? — spytała.

Odciągnąłem mankiet i sprawdziłem — w pochwie tkwił ten sam co zwykle nóż do rzucania.

— W porządku — odparłem — poza drobiazgiem. . .

I urwałem, widząc jej uśmiezek. Znałem go aż za dobrze, więc nie było sensu się wygłupiać. Sięgnęła w fałdy sukni i wyjęła z nich sztylet. Usłyszałem ciche westchnienie — Kragar wpatrywał się weń jak urzeczony.

Wykonał krótki ruch lewym nadgarstkiem i w jego dłoni pojawił się sztylet. Spojrzał na niego jak na wyjątkowo jadowitego węża i zamarł z opuszczoną szczęką. Potem zamknął ją z kłapnięciem, przełknął i podał broń Kierze. Zrewanżowała mu się.

— Odwrócenie uwagi — wyjaśniła.

— Zostałem przekonany — oznajmił Kragar.

— Ja też — przyznałem.

Wyglądała na zadowoloną.

Nagle poczułem się lepiej — to się mogło udać.

„Wszystko widziałem, szefie.”

„I bardzo dobrze, Loiosh.”

— Doskonale — oceniłem. — Alier, obserwowałaś tę pozorowaną walkę dokładnie?

— Tak.

— Możesz zaatakować w ten sam sposób co ja?

— Sądzę że tak.

— W porządku, popracujemy nad tym. Atak musi być idealny i szybki.

Kiwnęła głową ze zrozumieniem.

A ja spojrzałem na Cawti.

— Tobie przypada w udziale prosta likwidacja — powiedziałem.

— W jakiś konkretny sposób?

— Szybko, cicho i niezauważenie. Zajmę się odwróceniem uwagi obecnych, ale musimy mieć pewność, że nikt się nie zorientuje, co zrobiłaś, bo inaczej Mellar zbyt szybko uświadomi sobie, co się dzieje, i nic z tego nie wyjdzie.

— Kogo mam zabić?

— Nieproszonego gościa, na którego śmierć ani strażnicy, ani Morrolan nie zareagują.

— W takim razie nie sądzą, bym miała z tym jakiś problem.

— Pamiętaj, że to mag i to ponoć niezły, a nie będziesz miała czasu, by go sprawdzić.

— No to co? Magów jadam na śniadanie.

— To przy okazji poproszę jednego z rusztu.

Uśmiechnęła się lekko i spytała:

— Ma zwyczaj używać jakichś ochronnych blokad czy czegoś takiego?

Spojrzałem pytająco na Alierę, która miała obu sprawdzić pod tym kątem.

— Nie — odpowiedziała — obaj są na tyle dobrzy, że mogą je szybko utwożyć, więc nie używają stałej ochrony magicznej. Sądzę, że wolą nie używać magii na terenie Czarnego Zamku, jak długo nie muszą, by nie zwracać na siebie zbytnej uwagi.

— Mówisz „obaj” — Cawti zmarszczyła brwi. — Którego mam załatwić?

— Tu jest właśnie mały problem, bo nie wiadomo — wyjaśniłem. — Tego, który znajdzie się z lewej strony Mellara, a nie mamy możliwości dowiedzieć się, który to będzie, bo zmieniają stanowiska. Czy to poważnie skomplikuje ci zadanie?

Uśmiechnęła się tajemniczo i w jej prawej dłoni pojawił się nóż. Podrzuciła go, złapała i schowała gdzieś jednym płynnym ruchem. Uznałem, że dostałem odpowiedź.

— Daymar, chodzi mi o to, byś rzucił na mnie iluzję — przeszedłem do następnego punktu. — Szybko, dokładnie i tak, by nie sposób było to wykryć.

Stracił sporo na pewności siebie, słysząc ostatnie wymaganie.

— Nie da się — ocenił rzeczowo. — Morrolan będzie wiedział, że używam magii, jakkolwiek delikatnie bym to zrobił.

— Morrolana nie będzie na miejscu i nim nie musisz się martwić. Chodzi o to, by nie zorientował się obecny tam kompetentny mag. Fakt, będzie w tym momencie nieco zajęty.

Daymar zastanowił się.

— Ile ma trwać ta iluzja? — spytał.

— Około pięciu sekund.

— A, w takim razie nie ma problemu.

— Świetnie. Teraz posłuchajcie: plan jest taki...

* * *

— Podoba mi się, ale tylko do momentu teleportacji — ocenił Kragar. — Bo potem znajdziesz się w opłakanej sytuacji. Dlaczego nie wrócić do pierwotnego planu, który opracowaliście z Alierą?

— Nie przemyślałeś tego do końca — zwróciłem mu uwagę. — Cała operacja to skomplikowane oszustwo, które trzeba rozegrać tak szybko, by Mellar działał odruchowo, pod wpływem zaskoczenia i dezorientowania. Musimy doprowadzić do tego, by spanikował, a jak wiemy, niełatwo poddaje się panice. Nawet jeśli to nastąpi, nie potrwa długo; jeżeli damy mu czas na myślenie, zorientuje się, co się dzieje, i po prostu teleportuje z powrotem. I znajdziemy się w punkcie wyjścia.

— Sądzisz, że da się przekonać Morrolana, by założył blokadę uniemożliwiającą teleportację do Czarnego Zamku? — spytał Kragar. — Może Alera zdoła to zrobić?

— Alera nie będzie się nadawała do stania o własnych siłach, więc wybij to sobie z głowy. A co się tyczy Morrolana, to po fakcie nie zdążycie mu o tym powiedzieć, przed faktem zaś lepiej go o niczym nie informować. Ma tak dziwaczne podejście do kwestii gościnności, że gotów się wtrącić i wszystko zepsuć.

— A gdyby go od początku wtajemniczyć? — spytała Cawti.

Alera odpowiedziała za mnie:

— Nigdy się nie zgodzi, żebyśmy zrobiła to, co uzgodniliśmy, nawet gdyby przystał na resztę planu, czego zresztą nie robi.

— Dlaczego?

— Bo taki po prostu jest. Po wszystkim, jeśli plan się powiedzie, przyzna, że zrobiliśmy dobrze, i nie będzie żywił urazy, a najprawdopodobniej poczuje podziw. Lecz gdyby wiedział wcześniej, próbowałby nas powstrzymać.

— Co masz na myśli, mówiąc, że nie zgodziłby się, byś wykonała swoją część planu? — zacięła się Cawti.

— To, co powiedziałam. Stanąłby na głowie, żeby mnie powstrzymać.

— Dlaczego? Przecież skoro nie będzie ci groziło niebezpieczeństwo. ..

— Nie powiedziałam, że nie będzie mi groziło — przerwała jej cicho Alera.

— Nie będę udawała, że rozumiem Wielką Broń — przyznała Cawti — lecz jeśli to niebezpieczne. . .

— Nic nie jest „bezpieczne”. Daje mi to większą szansę, niż gdybym zrobiła coś, co zmusiłoby Morrolana do zabicia go, ale nie powiedziałabym, że jest to „bezpieczne”.

— Alera, tu chodzi o twoją duszę. . . — zaniepokoiła się Cawti.

— I co z tego? Uważam, że mam dużą szansę to przetrwać, a w ten sposób i problem da się rozwiązać, i honor Morrolana pozostanie nienaruszony. Każdy inny wariant jest czy to dla mnie, czy dla Morrolana, czy też dla nas obojga gorszy, nie mówiąc o tym, że może zakończyć się wojną. Ten jest najlepszy, więc trzeba spróbować.

Cawti nie wyglądała na szczęśliwą, ale też nie poruszała już tego tematu.

— A gdyby Daymar rzucił drugą iluzję, żebyśmy mógł do ciebie dołączyć? — zaproponował Kragar.

— A kto nas wtedy teleportuje? — spytałem. — Sami nie możemy tego zrobić, bo będzie to użycie magii w stosunku do gościa. Teleportacją i równoczesnym blokowaniem miejsca przeznaczenia przed magią śledzącą dotąd zajmowali się ochroniarze Mellara i ten, który przeżyje, musi się tym zająć jutro.

— A jeśli Mellar każe tobie to zrobić?

Spojrzałem pytająco na Alerę.

— Vlad nie może ich teleportować — wyjaśniła. — Mellar musi opuścić zamek samodzielnie lub przy pomocy swoich ludzi, bez aktywnego udziału któregoś z nas, albo Morrolan uzna to za brak szacunku dla ustalonych zasad.

— Upierdliwy facet — ocenił Kragar. — Musi istnieć jakiś sposób, byśmy byli w stanie ci pomóc.

Wzruszyłem ramionami.

— Jeśli nie zdąży wystarczająco szybko założyć blokady, będziecie w stanie mnie wyśledzić i teleportować się z pomocą. Sądzę, że Alierą zdoła odszukać mnie przy pomocy Pathfindera, gdy dojdzie do siebie — udało mi się pamiętać, by nie powiedzieć „jeśli dojdzie do siebie”.

— A jak długo to potrwa? — spytał Kragar.

— Nikt tego nie wie, bo z tego, co mi wiadomo, nikt dotąd nie próbował czegoś podobnego — oświeciła go spokojnie Alierą.

— Nikt wam nie broni próbować — odparłem. — Ale spodziewam się, że on jednak zdąży postawić jakiś blok. Na pewno nie tak trwały jak ten, który tyle czasu uniemożliwiał znalezienie Mellara, ale bez Pathfindera i tak stracie sporo czasu na jego przełamanie.

— Z tego, co słyszałam, Vlad — Cawti odwróciła wzrok — nie jesteś równie dobrym szermierzem jak Mellar.

— Zdaję sobie z tego sprawę i nie zamierzam staczać z nim pojedynku. Zamierzam go zabić, nim sobie uświadomi, że nie jestem tym, kogo się spodziewał.

— Natomiast jeśli ci się to nie uda, musisz cały czas go czymś zajmować — dodała Alierą.

— Sądzę, że to już sam załatwi — oceniłem. — Dlaczego?

— Ponieważ gdy zorientuje się, co się dzieje, a dasz mu trochę czasu, teleportuje się z powrotem do Czarnego Zamku.

— Racja — przyznałem. — Ile mu to zajmie, jak sądzisz?

— Teleport? Jeśli go dobrze oceniłem, to dwie czy trzy sekundy mu wystarczą.

— Czyli nie mogę mu dać więcej niż dwie sekundy spokoju, gdyby doszło do starcia — wstrząsnęło mną to raczej solidnie. — No dobrze. Jak już powiedziałem, wątpię, żeby to on dał mi aż tyle oddechu, gdyby wywiązała się walka. Mam nadzieję, że tak się nie stanie.

— A co zrobisz, jeśli to tobie każe was teleportować? — Kragar wrócił do zadanego pytania.

— Liczę na to, że tego nie zrobi: szansa jest pół na pół. Jeżeli zwróci się do mnie, udam zszokowanego idiotę. Powinno wyglądać wiarygodnie.

„Na pewno, szefie!”

Daymar nagle klasnął.

— Nekromantka! — oznajmił tryumfalnie. — Ona nie musi śledzić teleportu, może użyć innych sposobów, by do ciebie dotrzeć.

— Tylko jeśli pozostaniemy w kontakcie telepatycznym — ostudziłem jego zapał — a dokładniej mówiąc, blok na magię śledzącą musi blokować telepatię. Dlatego nie brałem pod uwagę twoich umiejętności, bo nie będziesz w stanie skontaktować się ze mną. Podobnie jak i ja z tobą.

— Och... — mruknął rozczarowany.

— Cóż... — powiodłem spojrzeniem po wszystkich obecnych. — Czy ktoś jeszcze o czymś pomyślał, czegoś nie rozumie czy może ma lepszy pomysł? Albo zauważył coś, co ja przeoczyłem?

Odpowiedziała mi cisza.

— Tak też myślałem — podsumowałem bez złośliwości. — W takim razie wszyscy wszystko wiedzą. A więc bierzmy się do pracy!

Kragar wyszedł załatwić sztylety, a pozostali, by poćwiczyć swoje role. Ja zaś udałem się do zbrojowni i znalazłem dwa identyczne sztylety — długie, o siedmioletowych ostrzach, cienkie i wytrzymałe.

Potem wróciłem do siebie i jeden troskliwie naostrzyłem, tracąc na to prawie godzinę. Nie pokryłem go czarnym barwnikiem, bo to akurat, czy odbije światło czy nie, w tym wypadku było bez znaczenia. Co prawda zabić można każdym nożem, ale czuję się lepiej, wiedząc od początku, którego ostrza użyję. Wybrałem dwa identyczne, żeby jednym poćwiczyć, a drugiego użyć. Włożę go do pochwy, dopiero udając się jutro do Czarnego Zamku, dzięki czemu nie będzie na nim mojej aury i będę mógł spokojnie zostawić go w ciele, jeśli nie da się inaczej. To zresztą lepsza metoda, niż dać się złapać z takim nożem później, jako że nie sposób jest ukryć związku między ofiarą a narzędziem mordy.

Wziąłem duplikat, sprawdziłem jego wyważenie i wykonałem serię cięć i pchnięć tak prawą, jak i lewą ręką. A potem skupiłem się na używaniu go lewą ręką, równocześnie prawą dobywając rapier. I ćwiczyłem rzuty do celu między paradą, blokiem i ciosem. W normalnych warunkach nikomu nawet by do głowy nie przyszło rzucać sztyletem podczas walki na szpady, ale warunki dalekie były od normalnych i to właśnie mogło okazać się niezbędne.

Sprawiłem każdy styl i każdy sposób rzutu, jaki znałem, zmieniając siłę i kąt uderzenia. W końcu poczułem się usatysfakcjonowany — to było dobre ostrze. Wprawdzie nie do cięć, ale wysoce wątpliwe było, bym w ogóle musiał użyć go w ten sposób, za to bardzo dobre, choć nie idealne, do rzutów i pchnięć. A co ważniejsze — doskonale leżało mi w dłoni.

Dobrałem doń stosowną pochwę i po namyśle przypiąłem ją do zewnętrznej strony lewej nogi tuż nad kolanem. Sztylet był nieco za długi, by dał się całkowicie ukryć w tym miejscu, ale idealnie umieszczony, bym mógł wydobyć go szybko i sprawnie w trakcie szermierki. Lepsze mogło być jedynie umieszczenie go na plecach między łopatkami, ale wówczas musiałbym zmienić chwyt po wyciągnięciu go, a przed użyciem. A na to mogłem nie mieć czasu, jeśli Mellar był rzeczywiście tak dobry, jak sądziłem.

Loiosh obserwował moje przygotowania w milczeniu. W końcu nie wytrzymał.

„Jest pewien problem z tym planem, szefie.”

„Jaki?”

„Chodzi o „odwrócenie uwagi”.”

„A dokładniej?”

„Jeśli będą zajęty odwracaniem uwagi obecnych, to nie zdążę się teleportować razem z wami.”

„Wiem.”

„I to mi się nie podoba!”

„Prawdę mówiąc, stary, mnie też nie.”

Rozdział siedemnasty

*„Najlepszy nawet mag z nożem w plecach
poważnie traci na umiejętnościach”*

Każdy obywatel Imperium ma stałe połączenie z Imperialną Kulą okrążającą głowę panującego Cesarza czy Cesarzowej. Jej barwy zmieniają się zgodnie z nastrojem władcy. Połączenie to może mieć wielorakie zastosowanie. Dla większości obywateli najważniejszym jest możliwość czerpania mocy z Wielkiego Morza Chaosu, dzięki czemu użycie magii jest nader powszechne. Moc ta może być kształtowana i użyta praktycznie do wszystkiego przez każdego posiadającego odpowiednią wiedzę — naturalnie w zależności od jego umiejętności.

Jedną z mniej ważnych, choć najczęściej wykorzystywanych właściwości jest to, że wystarczy się lekko skoncentrować i wie się dokładnie, która jest godzina według Imperialnego Zegara.

Posiadam pewne, choć niezbyt imponujące umiejętności magiczne. Mogę dzięki nim rozpalić ogień, teleportować się czy zabić — choć to ostatnie tylko przy dużym szczęściu i w partacki sposób. Z drugiej strony, rzadko używam tych umiejętności. Za to Imperialny Zegar jest moim wieloletnim przyjacielem.

Codziennie osiem godzin po wybiciu południa Morrolan sprawdza posterunki. Robi to osobiście, chyba że na dłużej wybywa z Czarnego Zamku. Teleportuje się z wieży na wieżę, sprawdza strażę na murach i poza nimi. Sprawdzanie owo ma formę rozmowy z podwładnymi — nader rzadko zachodzi potrzeba poprawienia czegoś czy skrytykowania. Takie postępowanie ma jednak ogromny, pozytywny naturalnie, wpływ na morale. I jest to jedna z niewielu rzeczy, które Morrolan robi regularnie.

Dziś także dokonywał inspekcji, a to oznaczało, że nie mógł w tym czasie znajdować się w sali balowej.

Ja mogłem.

Poza mną byli w niej także wszyscy uczestnicy operacji. Daymara miałem przy boku, Cawti kręciła się w pobliżu, podobnie jak Kiera. Jedyne Alera czekała w korytarzu.

Starałem się nie rzucać w oczy. I naturalnie niczego nie piłem — głównie dlatego, by nikt nie zauważył, jak mocno drżą mi dłonie. Rozglądanie się załatwiłem

zaraz po przybyciu — dostrzegłem Mellara i od tej pory dyskretnie miałem na niego oko. Kiera stała jakieś dziesięć stóp za nim, nieco z boku. Rozglądała się nieznacznie, najwyraźniej szukając mnie. Pogratulowałem sobie w duchu — skoro nawet ona mnie nie dostrzegła, naprawdę skutecznie się zamaskowałem. Jeżeli uda mi się pozostać nie zauważonym przez najbliższych parę minut, moje szanse gwałtownie wzrosną.

Dobrze, teraz trzeba się odprężyć... zrelaksować... przestać myśleć o bzdu-
rach i brać się do „roboty”.

Kiwnąłem leciutko głową Kierze, odpowiedziała mi równie niedostrzegalnym gestem. Już nie byłem zdenerwowany.

Z miejsca, w którym stałem, miałem doskonały widok na Mellara, Kierę i obu ochroniarzy. Kiera minęła jednego z nich, przechodząc obok Mellara, sięgnęła po kielich wina obok jego ramienia i poszła dalej. Choć obserwowałem ją cały czas, niczego nie zauważyłem i już się zastanawiałem, czy nie zrezygnowała, gdy spoj-
rzała mi w oczy i mrugnęła. Przeniosłem spojrzenie na jej prawą rękę opuszczoną
wzdłuż ciała — dłoń miała zaciśniętą w pięść, a wyprostowane tylko dwa palce.
Czyli podmieniła oba sztylety. Doskonale. Skinąłem lekko głową i rozejrzałem
się.

Teraz nadeszła pora improwizacji, gdyż nie sposób było przewidzieć, kto
w danej chwili będzie obecny na sali ani też w którym jej rejonie się znajdzie.
Przy stole stojącym jakieś dwadzieścia stóp ode mnie dostrzegłem lorda z Domu
Sokoła, który poprzedniego dnia rozmawiał z Mellarem. Szczęśliwe zrządzenie
losu — byłem mu coś winien od ostatniego spotkania. Podszedłem powoli, obser-
wując zgromadzonych przy stole i wtapiając się w tłum bez trudu. Równocześnie
zaś przekazałem Loioshowi szczegółowe instrukcje uwzględniające aktualną sy-
tuację.

„Wszystko jasne, Loiosh?” — zakończyłem.

„Martw się o swoją część, szefie. Ja mam wrodzony talent: wystarczy, że będę
działał zgodnie z naturą.”

Pochyliłem się nad stołem, spojrzałem wyniośle i rozkazałem tonem urodzo-
nego księcia:

— Podaj no mi kielich tego Kieretha rocznik czterysta trzydzieści siedem, jeśli
łaska.

Przez moment myślałem, że przegiąłem, bo mój wybraniec zaczął wykonywać
polecenie. Zorientował się jednak na czas — znieruchomiał, a potem odwrócił się
do mnie.

— Nie usługuję Jheregom! — oznajmił lodowato. — Ani ludziom!

I o to właśnie chodziło! Udałem rozbawienie.

— Doprawdy? — spytałem ze złośliwym uśmieszkiem. — No tak, strach
przed ubliżeniem lepszemu od siebie... to zrozumiałe.

Złapał za rękojęść rapiera, ale przypomniało mu się, gdzie jest i puścił ją.

— Muszę spytać Morrolana, dlaczego wpuszcza tu hołotę — wycedził.
Miałem ochotę dopilnować, by to zrobił, dla samej przyjemności obejrzenia reakcji Morrolana, ale nie o to tym razem chodziło.

— Też mnie to ciekawi. Będzie pan łaskaw przekazać mi, jak uzasadnił pańską obecność tu, wśród dobrze urodzonych i wychowanych.

Kilka osób już się nam przyglądało, zastanawiając się, czy Sokół powinien mnie wyzwać, czy od razu zaatakować. Tak się składało, że było mi to całkowicie obojętne.

On też się zorientował, że ma świadków.

— Twierdzisz pan, żeś równy Dragaerianom?

— Przynajmniej równy — odparłem z uśmiechem.

Też się uśmiechnął, trzymając już nerwy na wodzy.

— Dziwaczne podejście — ocenił. — Dragaerianinowi nie przeszłoby nawet przez myśl tak się do kogoś odezwać, gdyby nie był gotów słów poprzeć stałą.

Roześmiałem się.

— Zawsze do usług — zapewniłem — Doskonale. Moi sekundanci zgłoszą się do pana rankiem.

Udałem zaskoczenie.

— Rzeczywiście? Moi zgłoszą się do pana w alejce.

Odwrociłem się i odszedłem.

— Co?! — ryknęło za mną wściekle.

Zrobiłem trzy kroki, nim usłyszałem charakterystyczny odgłos wyciąganej z pochwy stali. Nie zwolniłem kroku.

„Teraz, Loiosh!”

„Już lecę, szefie!”

Poczułem, że opuścił moje ramię, i nie zwalniając kroku, szedłem przed siebie. Teraz nadszedł moment, w którym będę potrzebował wszystkiego, czego Kiera nauczyła mnie lata temu.

— Ugryzł mnie! — rozległo się z tyłu. — Pomocy!. . . Zabierzcie to bydłę!

A potem dołączyły inne głosy:

— Uzdrowiciela!

— Gdzie ten cholerny Jhereg!

— On umiera!

Wiedziałem, że część obecnych spogląda na mnie. Ochroniarze Mellara tego nie robili. Nie byli też zaniepokojeni, choć musieli zdawać sobie sprawę, że była to klasyczna zagrywka dla odwrócenia uwagi tłumu. Szedłem ku Mellarowi, a on przyglądał mi się spokojnie. Nie mogłem nie poczuć podziwu — przygotował wszystko, by tu zginać, i teraz spokojnie oczekiwał na zbliżającą się śmierć. Czyli na mnie. Wątpię, czy potrafiłbym tak beczynnie stać i czekać, wiedząc, że mogę zginać od broni Morgantich. . . Nie, to nie była prawda — na pewno bym tak nie czekał.

Uśmiechnąłem się w duchu — czekała go niezła niespodzianka. Nadal szedłem ku niemu, ale zachodząc łukiem od tyłu i wtapiając się coraz bardziej w tłum. Coraz mniej i mniej osób zdawało sobie sprawę z mojej obecności i po krótkim czasie wszyscy zachowywali się tak, jakbym przestał istnieć. Żeby mnie spostrzec w tym momencie, trzeba było naprawdę wysokich umiejętności — znacznie lepszych, niż posiadali obaj magowie-ochroniarze. Tak poruszali się w tłumie tylko najlepsi zabójcy i najlepsi złodzieje.

Mellar nie odwrócił się, gdy zniknąłem mu z pola widzenia. Stał wyprostowany i czekał na ostrze noża. Flirtował z młodą dziewczyną z domu Tsaltho grającą głupiutką Tecklę, udając, że jej wierzy. Dziewczę spoglądało teraz na niego naprawdę ogłupione, gdyż zamilkł w połowie zdania.

A potem zaczął się uśmiechać.

„Teraz, Alierą.”

„Już się robi.”

Oby Verra ochroniła duszę tej, która była moją siostrą. ..

Uśmiech zniknął z twarzy Mellara, gdy ponad gwar wypełniający salę wzbili się ostre i zdecydowane pijany głos:

— Gdzie on jest? Gdzie to ścierwo, które hańbi honor mojego kuzyna?!

Przed Alierą otworzyła się wolna droga, zupełnie jak za sprawą magii. Zobaczyłem zaskoczoną Nekromantkę — nieczęsto spotykany widok. Może by coś zrobiła, by przeszkodzić Alierze, lecz była za daleko. . .

A właśnie: za daleko.

„Loioosh?”

„Jestem zajęty! Próbuje się do ciebie dostać, ale ci tu uparli się. . .”

„Więc nie próbuj. Nie możemy ryzykować, najlepiej ukryj się i przeczeka.”

„Ale. . .”

„Nie!”

Oboje z Alierą zbliżyliśmy się do Morrolana — ona otwarcie z przodu, ja skrycie od tyłu.

„Powodzenia, szefie.”

Zająłem pozycję i zobaczyłem, że Mellar już nie jest spokojny ani odprężony — musiał rozpoznać broń w dłoni Alierę. Podejrzewam, że wszyscy w sali ją rozpoznali.

Usłyszałem, jak Mellar klnie pod nosem.

— Powstrzymajcie ją! — polecił swym ochroniarzom.

Obaj zagroździ Alierze drogę. A raczej próbowali, bo ona była szybsza — z jej uniesionej nagle lewej dłoni wystrzeliła zielona błyskawica i zobaczyłem coś, o czym dotąd jedynie słyszałem: błyskawica rozdzieliła się w locie i trafiła w pierś obu magów równocześnie. Polecieli do tyłu i ciężko łupnęli o posadzkę. Gdyby dać im chwilę czasu, pojęliby, że Alierą nie może być pijana, skoro posługuje się magią z taką wprawą. Ale tego czasu nie mieli. Choć musiałem przyznać, że

byli dobrzy — zdołali częściowo zablokować cios i przeżyli. Ba, nawet zaczęli podnosić się na nogi.

W tym momencie Cawti, moja droga żona i do niedawna „Sztylet Jherega”, uderzyła.

Cicho, szybko i idealnie.

Wątpię, by ktokolwiek to zauważył — wszyscy gapili się na Alierę wywijającą Pathfinderem nad głowę. Ja wiedziałem, co nastąpi, dlatego dostrzegłem, że jeden z wstających nie dokończył ruchu, tylko padł z powrotem, próbował krzyknąć — odkrył, że nie może, i znieruchomiał z artystycznie poderżniętym gardłem.

Zaraz potem poczułem mrowienie — znak, że iluzja Daymara zaczęła działać. Daymar rzucił natychmiast drugą i martwy mag zniknął. O dwa kroki od niego stałem ja, wyglądając tak jak on. Razem z moim „partnerem”, który pozbierał się tymczasem, ruszyliśmy ku Mellarowi, ale oczywiste było, że nie zdążymy. Podejrzałem, że mojego „partnera” wzrusza to bardziej niż mnie.

Mellar także zorientował się, że Alierą dotrze do niego pierwsza. Pozostały mu tylko dwie możliwości — pozwolić jej się zabić i zaprzepaścić kilkaset lat wysiłków lub walczyć. Wybór był prosty.

Dobry rapier i przyjął stosowną pozycję — wiedział, że musi ją zabić lub tak ciężko zranić, by nie była zdolna do dalszej walki. Wiedział także, że jego jedyną szansą jest zrobić to tak, by można ją było ożywić, czyli nie mógł zadać żadnych ciosów i w miarę możliwości ciąć tak, by czegoś nie odrąbać. Musiał teraz gorączkowo planować taktykę walki i obserwować jej poczynania.

— Milady, jest pani pijana... — zaczął, próbując zyskać na czasie, ale nie dała mu skończyć i zaatakowała natychmiast, gdy tylko znalazła się dość blisko.

Pathfinder zatoczył łuk, celując w prawą stronę głowy — gdyby atak był bardziej wyrafinowany lub Mellar okazał się nieco wolniejszy, ten cios załatwiłby sprawę. Sparował go jednakże na czas, a Alierą poszła za ciosem i odsłoniła się częściowo.

Był zbyt dobrym szermierzem, by nie skorzystać z okazji. A na lewym przedramieniu miał sprężynową pochwę. Jeden gwałtowny ruch lewej ręki i trzymał w dłoni sztylet — kontynuacja tego ruchu i ostrze zagłębiło się w brzuchu Aliery.

Tuż zanim trafił, musiał zdać sobie sprawę, że coś jest nie w porządku, ale nic już nie był w stanie na to poradzić. A potem już wiedział. Nawet ja poczułem w umyśle radość świadomości przebywającej w użytej broni Morgantich.

Alierą krzyknęła. Mogło to być zagrane, mogło być prawdziwe, ale był to naprawdę przeraźliwy krzyk. Wstrząsnął mną, ale bardziej zszokował mnie wyraz jej twarzy, gdy ostrze zagłębiło się w jej ciało. Mellar próbował je wyszarpnąć, ale okazało się to niemożliwe — sztylet po prostu nie chciał wyjść. Alierą osunęła się na posadzkę i umilkła. Sztylet bez oporu opuścił jej ciało i teraz Mellar stał nad zwłokami z bronią Morgantich w garści i tak głupim wyrazem twarzy, że miło było popatrzeć.

Przez sekundę panowała cisza i bezruch. Mellar gapił się na sztylet. Ja i drugi ochroniarz znieruchomieliśmy o dwa kroki od niego i gapiliśmy się na niego. A wszyscy pozostali gapili się albo na nas, albo na ciało Aliery. Do Mellara dotarło, że właśnie stracił ochronę Morrolana — teraz każdy mógł go zabić, tylko musiał się pospieszyć, bowiem gdy tylko Morrolan dowie się, co zaszło, zrobi to własnoręcznie. Cały plan szlag trafił i pozostało mu tylko jedno — ucieczka. Mając czas i pieniądze, wymyślił coś nowego, ale najpierw musi przeżyć.

I w tym momencie — zgodnie z moimi oczekiwaniami — wystarczył drobiazg, by panika wzięła górę nad rozsądkiem. A tym drobiazgiem była podjęta na chama przez Daymara próba sondowania psychicznego.

Mellar ją poczuł, krzyknął i spanikował.

— Wydostań nas stąd! — polecił.

Niestety mnie.

Ponieważ byłem na to przygotowany, nie zareagowałem w żaden sposób. Gapilem się nadal na leżącą na podłodze Alierę z tak głupim i zszokowanym wyrazem twarzy, na jaki tylko mogłem się zdobyć. Iluzja ma to do siebie, że mimikę i gesty powtarza niezwykle wiernie. Tłum zaczynał reagować i miałem nadzieję, że Nekromantka nie dopadnie Mellara przed teleportacją. On też zdał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, bo polecił mojemu towarzyszowi:

— Rusz się! Zabieraj nas stąd!

W jego głosie słychać było panikę.

Równocześnie jednak coś musiało do niego dotrzeć, gdyż odwrócił się ku mnie i wytrzeszczył oczy. Albo iluzja Daymara przestawała działać, albo czymś musiałem wzbudzić jego podejrzenia, bo zaczął się cofać, gdy sala wokół nas zniknęła.

Musiałem podjąć błyskawiczną decyzję. Gdyby Mellar zwrócił się do drugiego ochroniarza, nadal niczego by nie podejrzewał i nie byłoby problemu — zabiłbym go i spróbował dogadać się z ochroniarzem. Albo jego także spróbowałbym zabić, gdyby mi się nie udało. Teraz sytuacja wyglądała odmiennie — mogłem zlikwidować tylko jednego z nich w tak krótkim czasie. Gdybym spróbował równoczesnego ataku na obu, istniała zbyt duża szansa, że nie zabiłbym żadnego z nich. Problem sprowadzał się do tego, kogo wybrać. Mag zajęty był blokadą uniemożliwiającą wyśledzenie miejsca docelowej teleportacji za pomocą magii, za to Mellar już sięgał po broń. Mimo to zdecydowałem, że pierwszym celem będzie mag-ochroniarz.

Powodów było kilka. Po pierwsze, gdybym się z nim nie dogadał, byłby groźniejszym przeciwnikiem, bo umiejętności magiczne dawały mu zbyt wielką przewagę. Po drugie, Mellara musiałem zabić tak, by nie można go było przywrócić do życia. Nie jest to łatwe, jeśli ma się do czynienia ze świadomym tego i na dodatek przygotowanym do starcia przeciwnikiem. Gdybym zdołał go zabić, ale nie ostatecznie, ochroniarz na pewno nie gadałby ze mną, tylko walczył. A gdy-

by mnie pokonał, wystarczyłoby, żeby ożywił Mellara lub teleportował się wraz z jego ciałem do kogoś, kto to potrafi, i cała akcja poszłaby na marne.

W rzeczywistości nie przeprowadziłem naturalnie całego tego wywodu myślowego świadomie — wniosek, że należy zabić maga, pojawił się nagle w moim umyśle i wprowadziłem go natychmiast w życie. Prawą ręką sięgnąłem po rapier, lewą po trzy zatrute strzałki. Cisnąłem je i rzuciłem się w tył.

Pierwszy cios Mellara był chybiony — znalazłem się poza zasięgiem ostrza. Przewróciłem się na ziemię i poderwałem, równocześnie wyciągając rapier. I zablokowałem w ostatnim momencie drugi cios, który rozłupałby mi czaszkę.

Miał chłop krzepę — klingi zadzwoniły aż miło. A zaraz potem usłyszałem przyjemny odgłos walącego się na ziemię ciała. Ochroniarza miałem z głowy — nawet jeśli nie ostatecznie, to na pewno na czas walki.

Praktycznie dopiero wówczas zdałem sobie sprawę z tego, gdzie się znaleźliśmy. A znaleźliśmy się na polanie w dżungli, czyli jakieś trzysta mil od Czarnego Zamku albo sto mil na zachód od Adrilankhi. Oznaczało to, że bez Pathfindera przyjaciele nie zdołają wyśledzić teleportu dość szybko, by mi pomóc. Należało założyć, że mag zdążył dokończyć blokadę, Alera tak szybko nie stanie na nogi, więc zdany byłem wyłącznie na własne siły. Nie były to miłe założenia, ale za to rozsądne.

Mellar zaatakował ponownie. Cofnąłem się, mając nadzieję, że nie mam za plecami niczego, o co mógłbym się potknąć. Nie żywiłem złudzeń — nie byłem równie dobrym szermierzem jak on, a na dodatek żołądek niedwuznacznie dawał mi do zrozumienia, że na długo ma dość teleportów, niekoniecznie własnych. Nawet te w cudzym wykonaniu przestały mu odpowiadać. W związku z tym mnóstwo energii poświęcałem na walkę z nim i śledzenie ruchów przeciwnika, a nie na pojedynek. Z drugiej strony, było dowiedzione, iż gorszy szermierz mógł długo dotrzymać pola lepszemu, jeśli nie popełnił kardynalnego błędu i był w stanie się cofać. Moją jedyną szansę stanowił rzut sztyletem, i to celny. I nie mogłem dać się przy okazji zabić. Trafić mogłem się dać, jeśli gwarantowałoby to, że go zabiję. Prawdę mówiąc, szukałem ku temu sposobności.

Mellar jednak nie dawał mi ku temu okazji. Nie wiem, czy domyślił się, co planuję, czy też po prostu taki miał sposób walki, ale ani na moment nie przestawał atakować. I to złośliwie bijąc w moją głowę.

Co gorsza, lewą ręką wyciągnął sztylet z pochwy przy pasie.

A był to sztylet Morgantich, jeden z dwóch podmienionych przez Kierę. Zauważył to i w pierwszym momencie widziałem na jego twarzy zaskoczenie — niestety, nie na tyle duże, bym mógł je wykorzystać. A potem uśmiechnął się naprawdę paskudnie. Nie spodobał mi się ten uśmiech. A jeszcze mniej znalezienie się na niewłaściwym końcu sztyletu Morgantich.

Nadal się cofałem. Temu oraz odmiennemu stylowi walki zawdzięczałem to, że jeszcze byłem cały. Mellar nie był przyzwyczajony do przeciwnika stojącego

bokiem, nie przodem i fechtującego jak ludzie. Sam naturalnie walczył jak wszyscy Dragaerianie, zwrócony przodem ku mnie ze sztyletem gotowym do ataku lub obrony. Albo do magicznego użycia.

Tego ostatniego nie potrafił, bronić też się nie musiał, ponieważ jak dotąd nie miałem okazji przejść do ataku. Teraz na dodatek miał dwa ostrza przeciw mojemu jednemu, a w końcu przystosuje się do walki nowym stylem i wtedy będę skończony. Skoro bowiem dotąd nie zdołałem wyciągnąć noża czy sztyletu, to później nawet nie będzie co o tym marzyć.

Póki co jednak obserwował i uczył się, zmuszając mnie do ciągłego cofania się. W końcu o coś się potknę, a wtedy wszystko się skończy. A moja duszyczka nakarmi jakąś cholerną świadomością zaklętą w siedmiu calach stalowego ostrza.

— Od samego początku wszystko było oszustwem, prawda? — spytał, pierwszy raz przerywając milczenie.

Nie odpowiedziałem. Nie było sensu marnować oddechu.

— Teraz wszystko rozumiem — dodał. — I przyznaję, że to mogło się udać, gdybyś był lepszym szermierzem albo gdybyś zabił mnie, gdy miałeś okazję, zamiast usunąć mojego przyjaciela w czasie teleportacji. Teraz w Czarnym Zamku powinni już znać prawdę, tym bardziej że mają ciała i broń. Mogę spokojnie tam wrócić.

Odbiłem kolejny cios silniej niż dotąd, przez co na moment się odsłonił, ale nim zdążyłem zaatakować, machnął sztyletem, więc musiałem odskoczyć.

— Niestety się złożyło, że potrafię się teleportować — kontynuował. — Inaczej by się udało.

Tylko że na teleport potrzebował paru sekund, a tych nie zamierzałem mu dać. A na takie psychologiczne pogawędki byłem równie podatny co uczciwy kawał skały.

Musiało to do niego dotrzeć, bo przestał gadać. Mnie zaś udało się lewą ręką wyciągnąć sztylet, który wybrałem na narzędzie egzekucji. Przez moment zastanawiałem się, czy nim nie cisnąć, ale musiałbym stanąć frontem do Mellara, co oznaczało, że nim sztylet dotarłby do niego, moja głowa toczyłaby się po trawie. Z drugiej strony, miało to swój urok — jeśli zginę od miecza, sztylet Morgantich przestanie mi zagrażać, by bowiem zadziałał, musi zadać śmiertelną ranę — wbijanie w trupa, nawet świeżego, nie powoduje zniszczenia duszy.

Odrzuciłem ten pomysł — będzie musiał własnoręcznie to załatwić, nie zamierzałem ułatwiać mu zadania. Poza tym nie odpowiadała mi perspektywa leżenia tu samotnie w charakterze nieboszczyka i stania się pokarmem dla jakiegoś ścierwojada, jak na ten przykład jhereg.

Jhereg? Coś chłodnego przemknęło mi po karku — wietrzyk albo inne wspomnienie sprzed lat. Przecież to dżungla... czyżby...? Rozmyślenia zdekcentrowały mnie na moment, przez co prawie nie odbiłem ciosu. Odskoczyłem rozpaczliwie, ale i tak pomacał mnie po żebrach — niegroźnie, ale czułem płynącą

po boku krew. Bok zaczął mnie boleć, natomiast jakby w nagrodę żołądek się uspokoił.

Czary różnią się od magii jedną podstawową sprawą — używa się w nich własnej energii psychicznej, nie zewnętrznej, a rytuały i widzialne objawy towarzyszące rzucaniu czaru mają na celu wymuszenie skupienia umysłu i ukierunkowania tejże energii. Tak naprawdę są wysoce pomocne, ale w sytuacjach kryzysowych człowiek może się bez nich obejść... jeśli jest dobrym czarnoksiężnikiem i niczego nie pomyli.

Skupiłem się i sięgnąłem głęboko w przeszłość, do chwili, gdy przywoływałem matkę Loiosha. Wymagało to intensywnego grzebania w pamięci... jego matka naturalnie od dawna była martwa, ale nie potrzebowałem akurat jej... Trochę abstrakcyjnie zastanawiałem się, czy zdołam powtórzyć wezwanie.

Prawdopodobnie nie.

„Przybądź, krwi mego Domu. Przyłącz się, poluj ze mną, odszukaj mnie.”

Omali się nie potknąłem i nie straciłem głowy — w sensie dosłownym.

Tak jak nauczył mnie dziadek, pozwoliłem działać odruchom — wystarczająco długo ćwiczyłem, by były wbite w podświadomość. I rzeczywiście — moja ręka jakby sama zajęła się fechtunkiem. A ja dzięki temu mogłem skupić się na szukaniu ratunku. Czyli na przypominaniu sobie formułki, coś mi świtało...

„Niech wiatr nocny gna po lesie...”

Coś w wyrazie twarzy Mellara ostrzegło mnie, że mam za plecami drzewo. Zdołałem je ominąć i przeżyć.

„Myśliwego na łów niesie.”

Zaczynałem czuć upływ krwi... i nie miałem czasu na słabość.

„Tchnienie mroku niech zaplata...”

Przelotnie zastanowiłem się, czy Loiosh kiedykolwiek jeszcze się do mnie odezwie. Czy ktokolwiek zdoła jeszcze ze mną porozmawiać...

„Ścieżki losu oraz świata...”

Mellar nagle zmienił taktykę — zamiast ciąć w głowę, pchnął w pierś. Zmusił mnie do rozpaczliwej blokady, ale i tak zahaczył mnie samym czubkiem ostrza. Poczulem się tak, jakby złamał mi żebro. Jeśli tego nie zrobił, to naprawdę nie dlatego, że nie chciał. Odbiłem ostrze sztyletu i odskoczyłem.

„Jheregu! Cichcem nie omiń mnie...”

Znów się zbliżył, nieco zbyt pewny siebie, więc dałem mu nauczkę — opadłem na jedno kolano i pchnąłem prostym sztychem na całą długość ramienia pod ostrzem jego rapiera. Dragaeriańska szermierka nie zna podobnego ciosu, a on nie spodziewał się, że jestem zdolny do ataku. Trafiłem go wysoko w prawy bok — gdyby był człowiekiem, byłby martwy: cios trafiłby w serce. W serce go nie trafiłem, ale przy odrobinie szczęścia może w płuco...

„Wskaż kryjówką duszy swej...”

Okazało się, że nie w płuco. Krew płynęła z rany nawet obficie, ale Mellar atakował równie zaciekle jak dotąd. Mnie bok bolał coraz bardziej, a przed oczyma zaczęły mi latać czerwone płatki. Czułem się wyspany z energii i niewiele brakowało, bym zemdlał. Nigdy nie sądziłem, że rzucenie czaru może tak wyczerpać.

Odruchowo cofnąłem się, dzięki czemu cios sztyletem, którego nawet nie widziałem, przeszył powietrze, zamiast mnie wybebeszyć. Cofnąłem się następnym krokiem, nim Mellar zdążył odzyskać równowagę, i coś mi drgnęło w mózgu... a przynajmniej takie sprawiało wrażenie...

„Kto?” — rozległo się słabe pytanie.

„Ktoś, kto cię potrzebuje.”

Prawie udało mi się przy tym wykopyrtnąć.

„Co oferujesz?”

W pierwszym odruchu chciałem powiedzieć, żeby poszedł w cholerę: nie miałem głowy do targów.

„Długie życie, świeże mięso bez walki. I czasami okazję do zabicia Dragarianina.”

W sumie całkiem atrakcyjna propozycja.

Mellar prawie wywinął młynca, co powinno być niemożliwe przy tak ciężkim rapierze i zdołał płazem trafić mnie w bok głowy. Cios był zbyt lekki, by pozbawić mnie przytomności, co z pewnością nie było jego winą, ale i tak zobaczyłem gwiazdy. Jedyne, co mogłem zrobić, to desperacko zaatakować, celując w jego czoło. Zdołał przechwycić klingę ostrzem sztyletu, ale dało mi to chwilę wytchnienia i gwiazdy zniknęły. Odskokczyłem, nim jego rapier zadał kolejny cios.

Przyszło mi do głowy, że nawet jeśli jhereg przyjmie moją ofertę, może znajdować się zbyt daleko, by zdążyć.

„A czego oczekujesz?”

Mellar znów się uśmiechał — widział, że opuszczają mnie siły, i wiedział, że wygrał. Nie musiał nawet specjalnie się starać — wystarczyło zmuszać mnie do wysiłku i czekać.

„W przyszłości pomocy w eskapadach, przyjaźni i rady. Teraz ratowania życia.”

Mellarowi drugi raz udało się trafić mnie płazem w głowę. Teraz mocniej — zadzwoniło mi w uszach i stwierdziłem, że zaczynam padać. Zobaczyłem, jak unosi sztylet, uśmiechając się szeroko, i...

... i odwraca się zaskoczony. A z boku skrzydlaty pocisk trafia go w twarz.

Mellar cofnął się, machnął na oślep sztyletem. I chybił.

Puściłem rapier i złapałem się najbliższego drzewa, by utrzymać równowagę. Powoli wyprostowałem się i rozejrzałem. Mellar zagonił mnie na skraj polany — jeszcze parę kroków i musiałbym się o coś potknąć albo oprzeć o drzewo. Mój przeciwnik oganiał się oburącz od jherega atakującego z taką wprawą, jakby nic innego w życiu nie robił. Przełożyłem sztylet do prawej ręki. Zrobiłem krok do

przodu i uwiesiłem się na jego lewym ramieniu, odwracając go równocześnie twarzą do siebie. Zobaczyłem w jego oczach panikę. Próbował ciąć mnie rapierem, ale byłem za blisko.

Jak na użycie rapiera. Bo jeśli chodzi o użycie noża, znajdowałem się w idealnej odległości.

Więc go użyłem.

Wyprowadziłem cios w górę, wkładając w niego tyle umiejętności, ile siły. Ostrze trafiło go w lewe oko i aż do jelca pograżyło się w czaszce, a konkretnie w mózgu. Nie było sposobu, by ktoś go teraz wskrzesił!

Mellar zawył — długo, przeciągle i z rozpaczą. Ja zdolny byłem jedynie do zwalania się na pysk.

No, może niedokładnie — zdołałem przekreślić się, padając, i wylądować na plecach na jego ciele. Jedynym, co jeszcze pozostało w powietrzu, było jego lewe ramię. Ścisnął sztylet Morgantich w dłoni. Obserwowałem je, nie będąc zdolnym do czegokolwiek. Ramię powoli zaczęło opadać... opadało... i walnęło w ziemię tak, że sztylet wbił się w glebę obok mojego lewego ucha.

Byłem świadom zawodu świadomości zamkniętej w ostrzu i przez jeden zważony moment nawet mu współczułem — okazja stracona, a tak niewiele brakowało...

A potem usłyszałem zadamawiający się w moim umyśle głosik:

„Zgadzam się.”

Chyba dorobiłem się następnego pyskatego jherega...

* * *

Nie do końca straciłem przytomność, choć także nie byłem w pełni świadom, co się wokół dzieje. Pamiętam, że leżałem, czując się całkowicie bezradny, co mnie zresztą niepomrotnie wkurzało, i obserwując jherega pożywiającego się kawałkami Mellara. Mnie przez ten czas obwąchiwały rozmaite zwierzaki — sędzę, że jednym z nich była athyra, innych nie pamiętam. Za każdym razem jhereg przerywał posiłek i syczał ostrzegawczo.

Pomagało.

Jakiś czas później — może z pół godziny — usłyszałem nagłe zamieszanie. Jhereg uniósł łeb i syknął. No to też podniosłem głowę. Na polanie stali: Alier z Pathfinderem w dłoni, Kragar z rapierem i sztyletem w pogotowiu oraz Cawti z nożem w garści i Loioshem na ramieniu.

Okazało się, że mój nowy jhereg to samiczka — widząc bowiem Loiosha, syknęła wyzywająco. U jheregów samice są stroną dominującą. U Jheregów nadal

nie jest to kwestia rozstrzygnięta.

Cawti i Alera podbiegły do mnie, chowając broń. Alera zabrała się do badania i opatrywania mnie. Cawti, by jej nie przeszkadzać, siadła, położyła moją głowę na kolanach i gładziła mnie po włosach. Prawdę mówiąc, nie bardzo wiem, co mi pomogło bardziej, ale miło było robić za źródło takiego zainteresowania.

Kragar sprawdził, czy oba trupy są i na pewno pozostaną trupami. Magowi dopomógł nieco w osiągnięciu tego drugiego etapu, po czym zaczął przyglądać się poczynaniom Aliery, nie mając nic innego do roboty.

Loiosh podleciał do przedstawicielki swego gatunku i usiadł w pobliżu. Przyglądali się sobie długą chwilę.

Alera coś mówiła — zdaje się, że o sondzie Daymara, ale nie bardzo jej słu-chałem, więc nie dotarło to do mnie.

Loiosh rozpostarł skrzydła i syknął. Panienska rozpostarła skrzydła szerzej i syknęła głośniej. Przez moment panowała cisza. Potem znów wymienili syknienia.

Spróbowałem skontaktować się z Loioshem, ale znalazłem tylko pustkę. W pierwszej chwili sądziłem, że to wyczerpanie, ale potem stwierdziłem, że Loiosh blokuje kontakt. Nigdy dotąd tego nie robił. Zrobiło mi się przykro.

Nagle oba jheregi poderwały się w powietrze. Nie miałem siły, by śledzić ich lot, ale wiedziałem, co się dzieje. I zrobiło mi się jeszcze smutniej. Desperacja dodała mi sił — skupiłem się i wysłałem jedną wiadomość, próbując przełamać jego blokadę:

„Loiosh, wróć!”

Twarz Cawti zaczęła się rozpląwać — najwyraźniej tak moje ciało, jak i umysł miały dość podobnego wykorzystywania i postanowiły zmusić mnie do odpoczynku. Wszystko zaczęło przeradzać się w ciemność, z której dobiegł jednak znajomy głos.

„Szefie: pracowałem jak głupi przez pięć lat bez dnia wakacji. To może będę miał wreszcie parę dni spokoju w miesiącu miodowym, co?!”

Zakończenie

*„Porażka prowadzi, do dojrzałości,
dojrzałość zaś do sukcesu”*

Tym razem spotkanie odbyło się na moich warunkach.

O tej porze „Blue Flame” było miejscem cichym, pustym i spokojnym. W lokalu znajdowali się tylko kelnerzy, posługacz, zmywacz i trzech klientów, mnie nie licząc. Wszystko to byli moi ludzie i każdy z nich miał za sobą co najmniej jedną „robotę”. Tym razem siedziałem twarzą do drzwi, mając za plecami wygodną ścianę. A na stole obok prawej dłoni leżał sobie dobrze wyważony nóż do rzucania.

Żałowałem, że Loiosh jeszcze nie wrócił, ale nie chodziło o względy bezpieczeństwa — tym razem graliśmy moimi kośćmi, według moich zasad. A gdzieś w pobliżu byli jeszcze Cawti i Kragar obserwujący przebieg wydarzeń.

Mógł spróbować, czego chciał. Magii: w tym lokalu nikt nie miał prawa zapalić świeczki za jej pomocą, by Alera o tym nie wiedziała, a jeśli coś jej się nie spodoba. . . Wynająć zabójców? Jedyne Mario dawałby cię szansy, poza tym nie warto było się denerwować.

W drzwiach pojawiła się znajoma postać, potem druga.

Demon przyprowadził dwóch ochroniarzy. Zatrzymali się w progu i rozejrzeli. Jako zawodowcy zorientowali się od razu, co jest grane, więc odbyli szybką a cichą naradę z Demonem. Zobaczyłem, że potrząsa przecząco głową, co było dobrym znakiem. Był niegłupi i miał jaja — zdecydował się wejść, gdyż wiedział, że jest to jedyny sposób, by rzecz załatwić, a miał świadomość, że załatwić ją trzeba.

Obaj pozostali przy drzwiach, a Demon podszedł do mnie samotnie.

Uniosłem się uprzejmie na powitanie i usiedliśmy równocześnie.

— Lordzie Taltos — odezwał się pierwszy.

— Demonie — przypomniałem mu, że przeszliśmy na ty.

Spojrzał na nóż, chciał coś powiedzieć i zmienił zdanie.

W istniejącej sytuacji trudno było mieć pretensje o jego jawną obecność. Ponieważ to ja go zaprosiłem, ja zamawiałem wina. Wybrałem rzadkie różowe półwytrawne robione przez Serioli na pustyni.

— Widzę, że nie ma twego jherega — odezwał się, gdy czekaliśmy na butelkę.
— Mam nadzieję, że nie zachorował.

— Jest zdrow, ale dzięki, że pytasz.

Kelner przyniósł wino. Pozwoliłem, by Demon zdecydował ostatecznie, czy chce go spróbować. Takie drobiazgi świadczą o kulturze gospodarza. Chciał. Po nalaniu wypłem duży łyk — chłodne i słodkawe, ale nie zimne i słodziutkie. Dlatego właśnie wydało mi się odpowiednie.

— Obawiałem się, że zjadł coś niesympatycznego — dodał Demon.

Roześmiałem się — chyba go jednak polubię. Jeśli naturalnie wcześniej nie zabiję.

— Jak rozumiem, ciało zostało znalezione? — spytałem.

— Zostało. Nieco nadgryzione przez jherega, ale to akurat całkiem smaczny akcent.

— Też tak uważałem.

— No i otrzymałem twoją wiadomość — dodał.

— Widzę. Mam to, o czym była mowa.

— Całość?

— Całość.

Czekał grzecznie na ciąg dalszy i rozmowa sprawiła mi taką czystą przyjemność, że zapomniałem o bólu i problemach dnia poprzedniego. Jednym z powodów takich a nie innych warunków spotkania było to, iż nie chciałem, by ktokolwiek obcy widział, z jakim trudem się poruszam. Już samo wstanie sporo mnie kosztowało, a jeszcze więcej ukrycie tego. Alieria była naprawdę dobrą uzdrowicielką, ale wyleczenie i nabranie sił wymagają czasu i nic tego nie zdoła zmienić.

— Skąd wiedziałeś, gdzie jest? — spytał.

— Z jego umysłu.

Tym razem Demon nie zdołał ukryć zaskoczenia.

— Jestem raczej zdziwiony — przyznał. — Nie podejrzewałem, że się podda sondzie telepatycznej.

— Mam dobrych pomocników. No i wzięliśmy go z zaskoczenia.

Pokiwał głową i upił łyk wina.

— Chciałbym, żebyś wiedział, że jeśli chodzi o mnie, uważam sprawę za zakończoną — powiedział.

Czekałem, co powie dalej. W końcu po to właśnie zorganizowałem to spotkanie.

Upił kolejny łyk i dodał, starannie dobierając słowa:

— Z tego, co wiem i co sędzę, nikt w całej organizacji nie ma nic przeciwko tobie, nie życzy ci źle ani też nie odniesie żadnych korzyści, gdyby spotkało cię coś złego.

To ostatnie nie było całkowicie zgodne z prawdą, ale obaj wiedzieliśmy, co miał na myśli. A to, co powiedział, gwarantował swoją reputacją, więc istniała

mizerna szansa, by kłamał. Byłem usatysfakcjonowany.

— To dobrze — oceniłem. — Ja ze swej strony nie żywię urazy za nic, co się stało lub prawie się stało do tej pory. Sądzę, że rozumiem, czym były spowodowane pewne przedsięwzięcia, i nie mam żalu za podjęcie takich a nie innych decyzji.

Przytaknął, starannie ukrywając ulgę.

— Co się tyczy pierwszej kwestii, to jeśli przyślesz do mojego biura konwój, powiedzmy o czwartej, będę w stanie zwrócić ci to, co twoje — dodałem.

Skinął głową, akceptując propozycję, i dodał:

— Pozostaje jeszcze kilka drobiazgów.

— Jak na przykład... ?

Przez moment spoglądał w przestrzeń, nim ponownie spojrzął na mnie.

— Pewni moi przyjaciele są nadzwyczaj zadowoleni z twojej wczorajszej „roboty”...

— Przepraszam, nie rozumiem.

— To ja przepraszam — uśmiechnął się. — Chciałem powiedzieć: z wczorajszej „roboty” twojego przyjaciela.

— A tak. Kontynuuj proszę.

— Uważają oni, że być może na miejscu byłaby premia.

— Rozumiem. Naturalnie przyjmę ją z wdzięcznością w imieniu mojego przyjaciela. Jednak nim przejdziemy do szczegółów, co powiesz, gdybym zaprosił cię na obiad?

— To byłoby bardzo miłe z twojej strony — przyznał z lekkim uśmiechem.

Skinąłem na kelnera. Nie najlepiej spisywał się w tej roli, ale jako kelner był debiutantem. Miał za to inne talenty, z których Demon, jak sądzę, zdawał sobie sprawę.

* * *

Biblioteka Czarnego Zamku bardziej kojarzyła mi się z bazą tej całej operacji niż dom czy biuro, toteż nic dziwnego, że tu właśnie spotkaliśmy się po definitywnym zakończeniu całej sprawy. Z grona wykonawców nie było jedynie Daymara i Kiery, za to obecni byli wszyscy, którzy od początku łamali sobie głowy nad problemem.

— Całe szczęście, że to już koniec — powiedziała Alera. — Dzięki ci, Verro.

Leżałem sobie wygodnie na szezlongu i leczyłem się. Bok nadal mi doskwierał, a we łbie huczało albo kłuło, a generalnie bolało. Mimo to w ciągu trzech dni, które minęły od ostatecznego zejścia Mellara, i dwóch od spotkania z Demo-

nem, które gwarantowało mi bezpieczeństwo, a jemu dało z powrotem dziewięć milionów imperiali w złocie, wróciłem prawie do życia.

Obok mnie siedziała Cawti, a na mnie — konkretnie na piersiach, na tyle blisko ramienia, na ile się dało siedział Loiosh. Jego partnerka okupowała pobliski kawałek szezlonga. Byłem całkiem zadowolony z życia.

Morrolan zajmował fotel naprzeciwko mnie. Wyciągnął wygodnie nogi i spoglądał melancholijnie we własny kielich.

— To jak ją w końcu nazwałeś? — spytał, unosząc głowę.

— Rocza — odparłem.

Słyszając swoje imię, samiczka wyciągnęła szyję i polizała mnie po uchu. Cawti podrapała ją po łebku, a Loiosh syknął ostrzegawczo. Rocza odsyknęła i polizała go po szyi. Ucichł, pokonany.

— Ale sielski obrazek — ocenił Morrolan.

Wzruszyłem ramionami.

On tymczasem nadal z ciekawością przyglądał się Roczy.

— Przyznasz, że wiem o czarach tyle co normalny człowiek — zaczął — i muszę przyznać, że...

— To prawda.

— ...nie rozumiem, jak ci się udało dorobić drugiego jherega. Więż między czarnoksiężnikiem a jego familiarem, z tego co wiem, jest unikalna i nie może powtórzyć się równocześnie z innymi zwierzętami. Na dodatek nigdy nie słyszałem, by familiarem zostało dorosłe zwierzę. Czy nie musisz być ze stworem od małego, by uzyskać właściwą więź?

Loiosh syknął pod jego adresem raczej nieuprzejmie. Morrolan przekrzywił głowę i uśmiechnął się.

— Tak, mówiąc „stwór”, miałem również ciebie na myśli — potwierdził uprzejmie.

Loiosh obsobaczył go powtórnie.

— Dlaczego sam nie spróbujesz? — spytałem. — Jesteś czarnoksiężnikiem, postaraj się o familiara, to będziesz wiedział, jak to jest.

— Jednego już mam — odparł i poklepał pochwę Blackwanda.

Odruchowo mną wstrząsnęło.

— Rocza tak naprawdę nie jest familiarem — wyjaśniłem. — To partnerka Loiosha.

— Ale przybyła na twoje wezwanie, nie będąc nią jeszcze...

— Wysłuchała mojej prośby o pomoc. Dobiliśmy targu podobnego do tego, który musi dobić czarownica z matką, nim otrzyma jajko. Podobnego, nie takiego samego. Użyłem wariantu tego samego czaru przywołującego, by nawiązać kontakt, ale potem była to już kwestia uzgodnienia warunków. Poza tym sądzę, że mnie polubiła.

Rocza spojrzała na mnie i syknęła dziwnie radośnie.

W tym momencie wtrącił się Loiosh:
„Szeffie, nikt nie lubi, kiedy mówią o nim, jakby był meblem albo nieobecnym.”

„Fakt, przepraszam, stary.”

Przeciągnąłem się z lubością i oświadczyłem:

— Pojęcia nie macie, jak się ucieszyłem, kiedy ta parka oznajmiła, że jednak się nie pozabija.

— Hmph! — prychnęła Alera. — Nam o tym nie byłeś w stanie powiedzieć, bo właśnie próbowałeś umrzeć po raz trzeci.

— Aż tak blisko byłem?

— Aż tak blisko.

Wstrząsnął mną dreszcz. Cawti delikatnie pogładziła moje czoło.

— Wychodzi mi, że to działa w obie strony — przyznałem. — Nie bardzo mogłem ci to powiedzieć, ale naprawdę się ucieszyłem, widząc cię żywą na tej polanie. Martwiłem się, jak to wyjdzie.

— Ty się martwiłeś! — zdziwiła się Alera. — To co ja mam powiedzieć?!

— Nadal nie rozumiem, jak to było w ogóle możliwe — odezwał się milczący dotąd Kragar. — W jaki sposób przeżyłaś śmiertelny cios zadany bronią Morgantich?

— Ledwie — odparła zwięźle.

Kragar nie ustępował tak łatwo:

— Kiedy omawialiśmy plan, powiedziałaś, że to powinno się udać, ale nigdy nie wyjaśniłaś jak.

— Po co chcesz wiedzieć? Próbować nie polecam: zjedzenie duszy to marna rozrywka.

— Zwykła ciekawość. . .

— Cóż, skoro tak. . . Podstawowe znaczenie miała tu natura Wielkiej Broni. Pathfinder, jak zresztą każda z nich, jest połączony z właścicielem. Co w praktyce oznacza połączenie z jego duszą. Kiedy sztylet zagroził jej zniszczeniem, Pathfinder zgodnie ze swą naturą zrobił wszystko, by mnie uratować, czyli pochłonął moją duszę. Kiedy zagrożenie zniknęło, uwolnił ją i w ten sposób zdołałam wrócić do swego ciała. Co się tyczy ożywienia, to w pobliżu była Nekromantka. Być może byłaby również w stanie pomóc, gdyby wyniknęły jakieś problemy, ale nie było takiej potrzeby — Alera umilkła na chwilę i dodała: — Z tamtej strony wszystko ogląda się z interesującej perspektywy. . .

— Z tej wyglądało to raczej przerażająco — poinformował ją Morrolan. — Myślałem, że cię straciliśmy.

Alera uśmiechnęła się złośliwie.

— Nie tak łatwo się mnie pozbyć, kuzynie.

— W każdym razie się udało — podsumowałem.

— Owszem — zgodził się Morrolan. — I mam nadzieję, że wyszedłeś na tym raczej dobrze.

— Pod wieloma względami — zapewniłem go. — I nie chodzi tylko o pieniądze. Wygląda na to, że rada naprawdę ucieszyła się ze zwrotu złota, bo zaproponowano mi powiększenie terenu, za który jestem odpowiedzialny. I to duże.

— No i nawet nikogo nie trzeba było w tym celu zabijać — potwierdził z podziwem Kragar. — Natomiast uczciwość nakazuje dodać, że wcale nie przybyło ci odpowiedzialności.

— Nie? — zdziwiłem się uprzejmie.

— Nie. Przybyło ci dochodów. Roboty i odpowiedzialności to mnie przybyło. Kto według ciebie odważa największą harówkę?

— Loioosh.

Kragar prychnął. Loioosh zasyczał radośnie.

„To rozumiem. Rezygnuję ze zdechłej teckli na poduszce, taki jestem wspaniałomyślny!

„Szczęściarz ze mnie.”

Morrolan wyglądał tak, jakby jeszcze coś go męczyło.

— Jeśli chodzi o to złoto... — odezwał się w końcu. — To jak odkryłeś, gdzie je schował?

— Daymar odkrył. I to przypadkiem — wyjaśniłem. — Tym, co ostatecznie zmusiło Mellara do teleportacji, była próba sondowania telepatycznego podjęta przez Daymara. Mellar był już tak spanikowany, że się udało, i Daymar dowiedział się, gdzie ukrył złoto. Przy okazji dowiedział się też, w jaki sposób po jego śmierci miały zostać ujawnione pewne informacje dotyczące Domu Dzura. No to zajaliśmy się i jednym, i drugim.

— A jak to zrobiliście, jeśli chodzi o informacje? — zaciekawił się Morrolan. Spojrzałem wymownie na Kragara, bo to on w zasadzie się tym zajął.

— To nie było trudne — wyjaśnił z lekkim uśmiechem. — Mellar zostawił przyjacielowi zapieczętowaną kopertę. Wzięliśmy tego przyjaciela na spacer do doków, gdzie wcześniej podrzuciliśmy ciało Mellara, i wytłumaczyliśmy mu, że nie ma najmniejszego sensu, by nadal trzymał tę kopertę. Po wysłuchaniu pewnej argumentacji przyznał nam rację i oddał ją. Natomiast przyznam, że nie rozumiem, Vlad, dlaczego nie chciałeś, żeby te informacje ujrzały światło dzienne.

— Powodów było kilka. Po pierwsze, postarałem się, żeby paru Dzurów-bohaterów wiedziało, że spróbuję to zrobić: nigdy nie zaszkodzi, jak tacy narwańcy mają wobec ciebie dług wdzięczności. A drugi powód jest taki, że gdybym tego nie zrobił, Alera pewnością by mnie zabiła.

Alera uśmiechnęła się słodko i nie zaprzeczyła.

— Powiedz mi, Vlad, skoro stałeś się majątny, przechodzisz może na emeryturę? — spytał Morrolan. — Zamek na dobrą sprawę możesz kupić, jaki chcesz,

nawet najbardziej dekadencji. A ciekawi mnie to, bo nigdy nie miałem przyjemności oglądania człowieka-dekadenta.

Wzruszyłem ramionami.

— Może i kupię taki zamek, bo Cawti nadal go chce, może kupię wyższy tytuł w Domu Jherega, ale na pewno nie przejdę na emeryturę.

— Dlaczego? — Morrolan nie ustępował.

— Jesteś bogatszy ode mnie. Dlaczego nie przeszedłeś na emeryturę?

— A niby w jaki sposób? Odkąd sięgam pamięcią, jestem zawodowym nierobem, czyli profesjonalnym dekadentem.

— No to sam. . . Zaraz!

— Tak?

— A może obaj byśmy przeszli na emeryturę? Co byś powiedział na ofertę kupna Czarnego Zamku? Dobrze zapłacę.

— Wybij to sobie z głowy!

— Co, zapytać nie można?

— Można. A tak poważnie, Vlad, dlaczego nie skończysz z organizacją, już jej nie potrzebujesz. Nie musisz już być Jheregiem.

— Myślałem o tym nie raz, ale jak dotąd zdołałem zawsze być szybszy od tych, którzy chcieli, żebym przestał należeć.

— Albo miałeś więcej szczęścia — dodał Kragar.

— Natomiast jeśli chodzi o dobrowolne wystąpienie, to nie wiem — dodałem poważniej.

Morrolan przyjrzał mi się podejrzliwie.

— Czy przypadkiem to, co robisz, nie sprawia ci przyjemności? — spytał.

Zaskoczył mnie i nie bardzo wiedziałem, co odpowiedzieć. Zwłaszcza że najważniejszy powód, czyli nienawiść do Dragaerian, okazał się nie być tym powodem.

— Wiesz, Aliero, nadal nie wiem, jak to jest z tym dziedziczeniem genetycznym poprzez duszę. Owszem, z jednej strony wiem, co czuję, z drugiej jednak przeżyłem, co przeżyłem, i sądzę, że to ukształtowało mnie bardziej, niż myślisz. Jestem tym, kim jestem, oprócz tego kim byłem. Połączeniem. . . Rozumiesz, o co mi chodzi?

Nie odpowiedziała, przyglądając mi się z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. W komnacie zapanowała niewygodna cisza, gdy wszyscy pograżyliśmy się w myślach. Kragar studiował podłogę, Cawti gładziła mnie po czole, a Morrolan najwyraźniej szukał innego tematu. W końcu go znalazł i przerwał milczenie:

— Nadal jednego nie rozumiem, jeśli chodzi o ciebie i o Roczę.

— Czego? — spytałem z ulgą, którą chyba wszyscy podzielali.

Nie podnosząc głowy znad studiowania posadzki, spytał:

— Jak konkretnie zamierzasz nauczyć ją dobrych manier?

Nim zdążyłem odpowiedzieć, dotarł do mnie specyficzny smrodek.

Poczerwieniałem, a Morrolan z kwaśną miną wezwał służbę, by posprzątała.